

Ryszard Szurkowski

ŻYCIE JAK PELETON

JAK SIĘ KOCHAMY W DOMU

M
MAZOWIECKI
TEATR MUZYCZNY
IM. JANA KIEPUY

13, 14 LUTEGO 2021 R.

WIĘCEJ INFORMACJI NA
WWW.MTEATR.PL

na p. 13.04.2021



Narodowe zwierciadło

Krótką pamięć wyborców to narodowe przekleństwo. Korzystają z tego, pełnymi garściami, politycy. Poglądy i dotrzymywanie obietnic to nie są sprawy, które by traktowali dogmatycznie. Po porażkach otrzepują się z kurzu i po liftingu prezentują nam kolejną wersję zbawicieli narodu. Pozwalamy, by postępowali z nami właśnie tak. Podobnie robią oszuści polujący na emerytów metodą na wnuczka. I choć wszyscy są przed nimi ostrzegani, ciągle przybywa oszukanych.

Mam wrażenie, że dla żyjących z polityki jesteśmy jako społeczeństwo tylko wielkim łupem. Grupą ludzi do oskubania. Oczywiście nie dotyczy to jedynie polityków. Taki proceder uprawia u nas większość grup zawodowych. Z jakim hasłem jadą na wieś akwizytorzy sprzedający nawozy sztuczne, środki ochrony roślin czy maszyny rolnicze? Jedziemy rąbać rolasów. Nie wiem, co mówią ci, którzy handlują parafarmaceutykami. Ale wiem, jak gigantyczne są zyski koncernów produkujących złudzenia w tabletkach.

Znam setki relacji ludzi oszukanych przez sprzedawców rozmaitych dóbr i usług. Oszustami są prawie zawsze nasi rodacy. Sami więc siebie okłamujemy i okradamy. Bo przecież to, co się dzieje, jest podręcznikowym złodziejstwem. Opakowanym w banialuki o wolnym rynku. Ale

jeśli jest w tym coś wolnego, to wolność od zasad, moralności i elementarnej uczciwości. Bez nich zaś relacje między ludźmi sprowadzają się do patologicznej opresji wobec słabszych, mniej zaradnych czy bardziej naiwnych.

To, czego doświadczamy od naszych rodaków, spotyka nas tak często, że reagujemy agresją i spadkiem jakiegokolwiek zaufania do otoczenia. Albo stresem i pogłębiającą się bezradnością w kontaktach z ludźmi. Poruszanie się w tym coraz bardziej dwoistym świecie będzie te problemy tylko powiększało. Weźmy choćby sprawę uchodźców. Rządząca partia straszy Polaków cudzoziemcami, a równolegle z tymi bredniami wpuszcza do Polski setki tysięcy imigrantów. Ktoś przecież musi pracować tam, gdzie Polacy za tak skromne wynagrodzenie ani myślą. Mamy więc prymitywną pokazówkę dla elektoratu.

Listę tych, którzy nas na każdym kroku oszukują, każdy ma w głowie. Bez problemu może też wskazać oszustów we własnej rodzinie, wśród znajomych i sąsiadów. Ta patologia jest na tyle masowa, że musi skutkować coraz większym kryzysem zaufania. Do kogokolwiek. Nawet w wielu rodzinach, które kiedyś były ostatnią ostoją.

Także słusznie krytykowany politycy nie trafili na Wiejską z kosmosu. To przecież my. Społeczeństwo w pigułce. Narodowe zwierciadło. I aż strach się w nim przeglądać.

BAKOWSKI



CYTATY

AGNIESZKA GRAFF,

wykładowczyni UW, feministka

Gdybym miała wieszać jakieś doklejki (na billboardach), to brzmiałyby one: „naród z płodem, płód z narodem”.

„Wysokie Obcasy”

KRYSTYNA JANDA, aktorka, reżyserka

Inaczej myślę. Nic już nie musi być, najwyżej może.

„Pani”

W NUMERZE

SYLWETKI

8 Życie jak peleton

Zegnamy Ryszarda Szurkowskiego

KRAJ

13 Służba zdrowia – krajobraz po bitwie

Z dala od lekarzy

16 Nie damy się zastraszyć

– rozmowa z Katarzyną Augustynek,
Babcią Kasią

18 Murem za Ochocką

Dyrektorka szkoły karana za protesty

22 Uwierzyli, że MSZ jest ich!

– II część rozmowy
z prof. Jarosławem Suchopłesem

ZAGRANICA

28 Pół miliona szczepionek dziennie

Wielka Brytania szczepi ekspresowo

30 Polak Polakowi zamknął granicę?

Problemy pracujących w Norwegii

33 Katolik w Białym Domu

Korespondencja z USA

36 Sympatyczny, ale miękiszon

Nowy szef CDU

38 Rewolucja nie gaśnie

Skutki arabskiej wiosny

TECHNOLOGIE

42 Kto zaatakuję giganta?

Cyfrowy rynek wymaga regulacji

HISTORIA

45 NRD przeciw Kohlowi

Konferencja 2+4

48 Narodowa terapia jodowa

Jak podawano płyn Lugola

KULTURA

50 Po weselszej stronie wolności

– rozmowa z Rafałem Księżykiem

54 Pandemia czytelnictwa

Nie taki zły rok dla książek

56 Kulturalia

66 Karolina Jaklewicz. Raj nieutracony

EKOLOGIA

58 Jedzenie i miłość

Komunikacja w świecie zwierząt

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański

Narodowe zwierciadło

21 Jan Widacki

Kosiniak-Kamysz i latarnia

27 Roman Kurkiewicz

Znowu zwycięstwo w przegranej wojnie

41 Tomasz Jastrun

Skrzydła niewolników

53 Wojciech Kuczek

Zakorzeni

57 Agnieszka Wolny-Hamkało

Ryzyko i wypoczynek



38

ZAGRANICA

REWOLUCJA NIE GAŚNIE

Skutki arabskiej wiosny

54

KULTURA



PANDEMIA CZYTELNICTWA

Nie taki zły rok dla książek



58

EKOLOGIA

JEDZENIE I MIŁOŚĆ

Komunikacja w świecie zwierząt

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. TED MATKOWSKI/EAST NEWS



✉ Nasze zdrowie to nie towar

Koncerny widzą swoje miliony, które podobno wydały na badania, a „zapominają”, że korzystają bezpłatnie z wiedzy, która była przez pokolenia tworzona i gromadzona (gigantycznym publicznym kosztem) na państwowych uczelniach i w laboratoriach. Że za państwowe pieniądze wykształcono dla Big Pharma pracowników. Że wiele leków powstało na bazie substancji naturalnych odkrytych w krajach

biednych, dzięki wiedzy miejscowych ziołarzy. Nikomu za to Big Pharma nie zapłaciła, a nawet jeżeli zapłaciła, to ochłapy w porównaniu ze swoimi kolosalnymi zyskami. Daleki jestem od bezmyślnego potępiania i diabolizowania wielkich korporacji – koncentracja kapitału, zaplecza technicznego i ludzi pozwala na realizację projektów, którym nie podoła żadna mała czy średnia firma. Ale też nie można dopuścić, aby giganci pozostawali poza jakąkolwiek kontrolą społeczną i dyktowali warunki. W końcu po to jest rząd (w autentycznej demokracji), aby na pierwszym miejscu stawiał interesy obywateli, szczególnie w sytuacjach kryzysowych.

Radosław, Francja

f Lewicowe stulecie

Lewicowość Piłsudskiego była bardzo pozorna i obliczona bynajmniej nie na wyzwolenie mas proletariackich z ucisku kapitalistycznego oraz kulturowej i świadomościowo-politycznej zależności od klas panujących. Piłsudski przed reprezentantami klas posiadających, np. przed księciem Zdzisławem Lubomirskim, wprost przyznawał, że socjalistą nie jest. (...) Przekazanie władzy Piłsudskiemu w 1918 r. doskonale potwierdzało zamiary „Ziuka”. Żaden przedstawiciel klas posiadających nie zdecydowałby się na taki krok, gdyby na poważnie brał pod uwagę, że Piłsudski to socjalista czy rewolucjonista. (...) „Ziuk” był jak na ówczesne standardy wzorcowym politykiem populistycznym i np. w październiku 1921 r. z ppłk. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim zjawił się na Jasnej Górze, demonstrując przywiązanie do Kościoła katolickiego. Jego zachowania przypominają te, do jakich przyzwyczajają nas politycy w obecnej Polsce.

Paweł Kotras



f Jak toną PPK

Ktoś mógłby w końcu przystępnie wyjaśnić ludziom, że nie ma innego systemu powszechnych emerytur niż system reparytacyjny, a wysokość emerytur zależy od stanu gospodarki i procentu dochodu przeznaczanego dla emerytów. W Polsce większa część dochodu została przejęta przez garstkę i wyłączona z podziału. OFE i reklamy emerytur na Bahamach służyły do odwrócenia uwagi zwykłych ludzi od tego, że zostali okradzeni. Najpierw z majątku, który produkował dochód, a potem z dochodu, który wypracowują.

Zdzisław Nowak

ZDJĘCIE TYGODNIA



Chaos związany z restrykcjami covidowymi trwa w najlepsze. Rząd warunkowo luzuje część obostrzeń, ale branża ślubna pozostaje zamknięta. Nz. protest jej przedstawicieli pod siedzibą PiS w Katowicach 5 lutego.

98 mld zł na 20 tys. projektów **dostały polskie samorządy z Unii Europejskiej** w latach 2014-2020.

Krystian Lupa został laureatem Nagrody im. Tadeusza Żeleńskiego-Boya Polskiej Sekcji AICT za rok 2020, za całokształt osiągnięć teatralnych ze szczególnym uwzględnieniem autorskiego spektaklu „Capi. Wyspa uciekinierów” w Teatrze Powszechnym.

Adelajda Szarzec-Tragarz, pierwsza kobieta kapitan w liniach lotniczych LOT, zakończyła karierę pilota. W powietrzu spędziła ponad 19 tys. godzin. Latała na boeingach 737, 767 i 787.

Pierwszy polski pociąg hybrydowy wyprodukowany przez Newag z Nowego Sącza zaczął jeździć na trasie Szczecin-Kołobrzeg. Za dwa pociągi samorząd województwa zachodniopomorskiego zapłacił 49,2 mln zł.

Praca magisterska Krzysztofa Bielowskiego „Destrukcyjność komentarzy żydowskich na terenach obecnej Polski po 1933 r.”, napisana pod kierunkiem dr. hab. Augusta Grabieckiego na UW, została uznana za najlepszą pracę magisterską o PRL w konkursie im. Mieczysława F. Rakowskiego („Polityka”).

Na miejscu starej bazy na Wyspie Króla Jerzego Polska wybuduje za 88 mln zł nową stację naukową na Antarktydzie. Obiekt pomieści 13 osób zimą i 37 w sezonie letnim.



O 2,8% spadł w 2020 r. nasz produkt krajowy brutto. To najgorszy wynik od 1990 r.

Z powodu pandemii zawiesiło działalność 10,8 tys. hoteli, moteli i pensjonatów, 10,7 tys. taksówek osobowych, 7,2 tys. firm zajmujących się wykończeniem budynków, 6,8 tys. firm prowadzących roboty budowlane i 6,6 tys. firm transportowych.

231 zidentyfikowanych miejsc, gdzie nielegalnie zgromadzono odpady niebezpieczne dla środowiska, to ponad 800 tys. ton bomb ekologicznych. Ministerstwo Klimatu i Środowiska szacuje, że takich odpadów jest w Polsce pięć razy więcej.

Rząd zgłosił polskich kandydatów na sędziów Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Jakoś nas nie dziwi, że są nimi założyciele Ordo Iuris, Aleksander Stępkowski i prof. Elżbieta Karska z UKSW, prywatnie żona europoły PiS Karola Karskiego.

Sylwester Latkowski, autor reportażu „Nic się nie stało” o sopockich klubach, **został oskarżony przez Borysa Szyca o znieważenie.**

Piotr Bąk, starosta zakopiański sądzący się z „Tygodnikiem Podhalańskim”, oprócz sprostowania zażądał, by jego zdjęcie znalazło się na okładce.

PRZEBŁYSKI



900 problemów

Szur, szur. Czy coś słychać? Nie. Bo po cichu pracują członkowie państwowej komisji „do spraw wyjaśniania przypadków czynności skierowanych przeciwko wolności seksualnej i obywatelności wobec małoletniego poniżej lat 15”.

Pewnie trudno uwierzyć, ale taka jest oficjalna nazwa tego czegoś, co ma się zajmować ściganiem pedofilów. Szef komisji Błażej Kmiecik dwa lata był w Ordo Iuris. Ale też współpracował z Niebieską Linią i Helsińską Fundacją Praw Człowieka. Bioetyk z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi głosi, że sprawą pedofilii w Kościele powinni się zajmować świeccy. No to trzymamy go za słowo. Będzie miał co robić. Skoro sam szacuje, że księży pedofilów jest ok. 3%, to by oznaczało, że problem dotyczy 900 osób.

Odłot (historyczny)

Tym razem w naszym cyklu bez konkurencji był Paweł Smoleński. Weteran wielu przegranych batalii dobrał się do „Ognia”. W „Ale Historia”, dodatku do „Gazety Wyborczej”, Smoleński najpierw uczciwie przypomniał część zbrodni Józefa Kurasia „Ognia”. Okrutnego mordercy Polaków, Słowaków i Żydów. Funkcjonariusza UB i pospolitego złodzieja. Kontakt Smoleńskiego z prawdą był niestety chwilowy. Bo tekst skończył kuriozalnie: „Można było pamiętać Kurasia odczarować, wydobyć z błota, którym oblepiał go Polska Ludowa, oplukać, słowem – mówić prawdę...”. I tak urodziła się jeszcze jedna prawda. Prawda Smoleńskiego. I czytelnik sam może sobie wybrać prawdę. Z lewej albo prawej półkuli mózgu Smoleńskiego.



Sousa liczy na cud

No i wyszło szydło z worka. Z naszą reprezentacją piłkarską jest jeszcze gorzej, niż myślą kibice. Portugalczyk Paulo Sousa, któremu prezes Boniek powierzył honor Polaków, nie ukrywa mizerności tego, co zobaczył. Już w pierwszych słowach na naszej ziemi odwołał się do cytatu z Jana Pawła II: „Modłę się z Wami, żeby nigdy się nie poddawać, nigdy nie tracić nadziei i nigdy nie wątpić”.



Czego jak czego, ale nadziei nasi kibice mają ogrom. A skoro tak, to trenerowi spodoba się, jak Polacy żegnają reprezentację po porażkach: „Nic się nie stało! Polacy, nic się nie stało!”.

Plus na minusie

Jeden sygnał od czytelnika – zdarza się. Ale dziesiąty? To już problem. Sieć Plus nie ma dobrej passy. A to zaproponują swojemu klientowi kupno nowego aparatu po cenie wyższej niż na Allegro, a to nie reagują na wygaśnięcie umowy i jadą na starych warunkach. Oczywiście gorszych od tych, które oferuje się nowym plusowiczom. Rzecznik prasowy Plusa jest tak zarobiony, że nie ma czasu na reakcję. Chyba że interwent jest z ekipy dojnej zmiany. Wtedy padają do nóżek.



PYTANIE TYGODNIA

Jakie są największe grzechy TVP Jacka Kurskiego?

KRYSTYNA MOKROSIŃSKA,

dziennikarka, dokumentalistka, honorowa prezeska Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

To już nie telewizja, ale tuba propagandowa rządzącej partii. Jacek Kurski nie kieruje medium publicznym, tylko bierze udział w rozgrywce politycznej. Tak wyraźnie opowiedzenie się po jednej stronie sporu sprawia, że przekaz TVP jest chyba nawet bardziej fundamentalistyczny niż to, co głoszą środowiska, którym tradycyjnie przypisujemy fundamentalizm. To praktyczna realizacja znanych w psychologii technik manipulacji. „Ciemny lud to kupi” i niestety kupuje!

ROBERT KWIATKOWSKI,

członek Rady Mediów Narodowych, były prezes TVP

Najcięższy z nich polega moim zdaniem na całkowitym ubezwłasnowolnieniu telewizji, które zdało ją na łaskę i niełaskę partii w danym momencie będącej u władzy. Doszło bowiem do tego, że większość społeczeństwa nie cierpi państwowego nadawcy, co pokazują choćby sondaże Centrum Badania Opinii Społecznej, zresztą zbliżonego do rządu. Wskaźniki zaufania do TVP runęły – kiedyś oscylowały wokół 80%, teraz blisko im do 40%. Tym samym Jacek Kurski doprowadził do sytuacji, w której zarządzana przez niego instytucja nie może w zadowalającym stopniu liczyć ani na abonament, ani na reklamy. Ten proces, praktycznie nieodwracalny, najpoważniej obciąża obecne kierownictwo telewizji, gdyż ma charakter systemowy. O estetyce aktualnie realizowanych programów nie będę się wypowiadał, bo to kwestia gustu.

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,

politolożka, Uniwersytet Warszawski

Myślę, że najpoważniejszą winą telewizji publicznej pod wodzą Jacka Kurskiego jest pogłębienie polaryzacji społeczeństwa. Wynika to z uczynienia z niej organu jednego ugrupowania, co przejawia się m.in. nieustającą nagonką na polityków opozycji. TVP zawsze miała niedociągnięcia, a nawet grzechy, ale starała się być stacją dla wszystkich. W tej chwili stała się telewizją prywatną, co wykazały nawet organizacje badające przebieg kampanii wyborczych. Z grzechu pierwotnego Kurskiego, jakim jest robienie programów informacyjnych, seriali i rozrywkę pod konkretnego odbiorcę, wynikają kolejne. TVP będzie się starzała razem ze swoimi widzami, a spadki oglądalności będą moim zdaniem nie do odrobienia.

Czytelnicy PRZEGLĄDU



BARBARA KRZEMIŃSKA-SOBCZYK

Traktowanie widzów jak dzieci, które we wszystko uwierzą, mierni dziennikarze, zakłamywanie rzeczywistości, propagowanie kiczu, pomijanie niewygodnych informacji... Nie da się tego oglądać.

WOJCIECH NOCKIEWICZ

Kurski uprawia skrzyżowanie propagandy sukcesu lat 70. z hejtem na opozycję lat 80.

ANNA OSTROWSKA

Niski poziom i wszechobecny kicz.

Not. Michał Sobczyk

Grzegorz Kalinowski

Rok 1973. Wtedy wydarzyło się wszystko, co w moim sportowym życiu było najważniejsze, co stało się punktem odniesienia, na razie nieosiągalnym i wymarzonym. Nie było potem roku, który dostarczyłby takich wzruszeń: remis na Wembley, Jerzy Szczakiel w Chorzowie i Ryszard Szurkowski na Montjuïc. Miałem wtedy siedem lat, ale pamiętam jak dziś. Odjechał im, jakby poruszał się na motorze, a nie na rowerze, choć oczywiście był to najlepszy, jak wtedy wierzyliśmy, rower świata – jaguar na zagranicznych częściach i osprzęcie. Król Ryszard dojechał do mety samotnie, jakiś czas po nim Stanisław Szozda.

W życiu było odwrotnie, osiem lat temu linię mety przeciął Szozda, a 1 lutego Szurkowski.

Spotkałem się z Ryszardem Szurkowskim ledwie kilka razy. Raz w jego domu na Saskiej Kępie, którego garaż był warsztatem rowerowym. Parokrotnie na konferencjach prasowych



ŻYCIE JAK PELETON

RYSZARD SZURKOWSKI 1946–2021

i na Kole, w jego sklepie rowerowym. Było to przy okazji krótkich komentarzy dla radia i telewizji, a to najdłuższe, parogodzinne spotkanie miało miejsce przed pięcioma laty, kiedy pracowałem przy biografii Czesława Langa. Dla kogoś, kto jako chłopak z podstawówki czytał Szurkowskiego jak bohatera narodowego, było to spełnienie marzeń. Ale czy to wystarczający czas, by teraz odczuwać pustkę? Moi rówieśnicy nie mają wątpliwości, że tak, większość może mi tylko zazdrościć tych spotkań, młodszym zaś trzeba to wyjaśnić, choć wiem, że nie będzie łatwo. To złożona historia, rozgrywająca się dawno temu i w bardzo odległej galaktyce.

Ten, którym chcieliśmy być

Dlaczego był dla nas tak ważny, mimo że konkurencję miał wielką?

Pierwszy złoty medalista zimowych igrzysk olimpijskich Wojciech Fortuna, pierwszy indywidualny mistrz świata w jeździe na żuźlu Jerzy Szczakiel, siatkarze, lekkoatleci, Wreszczie Orły Górskiego... Ale woleliśmy kolarza z szóstką na koszulce, bo rok po roku wygrywał Wyścig Pokoju.

To była impreza fenomen, a my stawaliśmy się jej częścią, oczywiście ci, którzy dostąpili łaski posiadania własnego roweru. Rower, najlepiej modny składak, bo kolarzówka była poza zasięgiem marzeń, prowadził w rankingu komunijnych prezentów. Rower był czymś więcej niż oznaką prestiżu, był symbolem, że aspiruje się do bycia mężczyzną, że wyzwoliło się spod władzy matki i weszło w krąg podwórkowej ekipy, dla której jednym z rytuałów były nieustanne wyścigi. W maju startowały zawsze po zakończeniu kolejnego etapu Wyścigu

Pokoju; ledwie wybrzmiał hejnał wyścigu, podwórka, drogi i uliczki wypełniały się małymi kolarzami.

Wyścig Pokoju był świętem, na które czekało się jak na coś, co było połączeniem gwiazdki z wakacjami. Bo gwiazdka trwa krótko, a Wyścig Pokoju dwa tygodnie. Dwa tygodnie netto, bo brutto żyło się nim do końca roku szkolnego, a w naszych głowach startował znacznie wcześniej niż pierwszy etap. I nie tylko dla nas. Kiedy pięć lat temu rozmawialiśmy w jego sklepie rowerowym, Ryszard Szurkowski powiedział: – Szaleństwo zaczynało się dużo wcześniej, już w styczniu, kiedy pojawiały się pierwsze spekulacje, kto pojedzie w Wyścigu Pokoju. Dziennikarze i kibice zastanawiali się, kto powinien pojechać, dyskutowano nad składem. Przyglądano się formie kolarzy, śledzono wyniki i analizowano

miejsca zajmowane podczas zagranicznych wyścigów. Później było coraz goręcej aż do ogłoszenia powołania na Wyścig Pokoju.

Czekano na wyścig, bo w smutnej PRL był corocznym festynem, w tysiącach wiosek, miasteczek i miast dłuższą lub krótszą chwilą, podczas której barwny peleton z szumem przywoził wielki świat. Impreza organizowana przez redakcje partyjnych organów prasowych Polski, Czechosłowacji i NRD była największym wyścigiem po wielkich zawodowych tourach, a organizacyjnie zadziwiała przybyszów z Zachodu. Była też rozrywką, bo w miastach, przez które przejeżdżał wyścig, odbywały się koncerty; była kawałkiem innego świata, brakowało tylko zwycięstw Polaków. Raz jeden wygrał nasz – Stanisław Królak, było to w 1956 r. i nie chciało się powtórzyć. 13 lat później Szurkowski był drugi i dał nadzieję, w 1970 r. wygrał i do tego w tym samym roku zdobył nagrodę Fair Play UNESCO za to, że podczas mistrzostw Polski oddał swój rower Zygmunutowi Hanusikowi, którego maszyna miała defekt. Spłacił w ten sposób dług wdzięczności, bo wcześniej każdy z nich miał szansę wygrać Wyścig Pokoju, ale prezes związku, Włodzimierz Gołębiewski, przypomniał, że liderem drużyny jest Szurkowski i Hanusik ma na niego pracować, a nie z nim się ścigać. W ten sposób Ryszard Szurkowski stał się najjaśniejszą gwiazdą polskiego sportu, idolem milionów ludzi, sportowcem, w którego każdego dnia wcielali się chłopcy jeżdżący na rowerach albo grający w kapsle. Świecił przez kolejne lata, wygrywając Wyścigi Pokoju w roku 1971, 1973 i 1975, w 1973 został pierwszym polskim mistrzem świata w wyścigu ze startu wspólnego. Cztery triumfy w Wyścigu Pokoju, indywidualne mistrzostwo i wicemistrzostwo świata, dwa mistrzostwa i wicemistrzostwa w drużynie, także z drużyną dwa srebra olimpijskie,

Ryszard Szurkowski
zwyciężył w XXVI Wyścigu
Pokoju w 1973 r.

do tego 28 medali mistrzostw Polski. Piotr Kurek z portalu Kurek-Rowery.pl obliczył, że w trakcie 20-letniej kariery Szurkowski stawał na podium 700 razy, z czego połowę stanowiły zwycięstwa. W peletonie mówiono o nim Bibi, ale my, zwykli śmiertelnicy, od

Wyścig Pokoju był świętem, na które czekało się jak na coś, co było połączeniem gwiazdki z wakacjami.

dziennikarza po małego chłopca, mówiliśmy Mistrz albo Król Ryszard i nie zaszkodziły mu słowa Bohdana Tomaszewskiego, który nazwał go „cudownym dzieckiem dwóch pedałów”.

Szurkowski idealny

Czy mógł być lepszy, czy mógł osiągnąć więcej? Z pewnością. Tak jak Adamowi Małyszowi zabrakło mu olimpijskiego złota, podobnie

jak skoczкови zabrakło szczęścia, bo możliwości były. Zdaniem byłego trenera kadry i prezesa Polskiego Związku Kolarskiego, Wacława Skarula, Szurkowski był fenomenem. Jego wytrzymałość, parametry wydolnościowe, pochtanie tlenu

w litrach na minutę, przeliczane teraz na masę ciała, były po prostu znakomite. A mógł być jeszcze silniejszy, doskonalszy, gdyby zaczął trenować wcześniej, tymczasem zaczął w wieku 19 lat, po czym zaraz poszedł do wojska i miał pół roku przerwy, a później wyrwał się na treningi z jednostki wojskowej. Tak naprawdę zaczął trenować jako 22-latek, kiedy zgłosił się do wrocławskiego Dolmela. Rok później zadebiutował w Wyścigu Pokoju, a w kolejnym go wygrał. Paradoksalnie jednak to Wyścig Pokoju przeszkadzał w podbijaniu świata. Impreza, która dała jemu, Szołdzie i Królakowi nieśmiertelność, była jednocześnie ich przekleństwem. Zresztą dla większości kolarzy. Wyścig popularyzował dyscyplinę, miał światową klasę, ale codzienność była dramatyczna. – Bareja niczego nie wymyślił – śmiał się Szurkowski. – Jak był zwykły wyścig, to było 180 kolarzy i 180 kiełbasek. Zdarzało się, że część brała po dwie i ci z końca jedli już tylko chleb z cebulką.

Nie było odczywek, tylko – jak wspominał Czesław Lang – kotlety schabowe, miód albo kogel-mogel. Jeszcze gorzej było ze sprzętem i nawet reprezentanci dokupowali sobie wyposażenie podczas zagranicznych wyjazdów. – Mistrzostwa Polski to 300 kolarzy w jednym internacie, z jedną toaletą na końcu korytarza. Na początku było nieźle, ale przy tej liczbie ludzi toaleta szybko się zapychała – komentował Szurkowski kolarską codzienność. Co innego majowa impreza i najlepsze hotele, bo dla polskich władz i działaczy sportowych wyścig był priorytetem, nie można



było z niego ot tak, po prostu zrezygnować. To, że w 1974 r. Szurkowski zrobił sobie rok przerwy, z czego skorzystał Szozda, wygrywając wyścig, zostało przyjęte niemal jak dezercja. – Działacze sportowi i partyjni powtarzali: takich jak ty 50 na walizkach czeka. Działaczom i trenerom zależało na tym, żeby kolarze byli grzeczni, a jak się dowiedzieli, że ktoś, nie daj Boże, obcego języka się nauczył, to ho, ho... – wspominał Szurkowski.

Kolarze byli jak mięso armatnie, ale godzili się na to, nie mieli wyjścia, dla nich i tak był to niebывały awans finansowy i społeczny. Z małych wiosek, głównie na Ziemiach Odzyskanych, ze skromnych ludowych zespołów sportowych do kadry i klubów w wielkich miastach. Czasami nie wytrzymywali, jak w 1974 r. w Wyścigu Dookoła Polski, w którym niespodziewanie wygrało dwóch początkujących zawodowców z Belgii – André Delcroix i Ludo Peeters. Szurkowski i Szozda byli poza pierwszą dziesiątką. Skąd ta porażka? Gazety grzmiały o konflikcie między Szurkowskim a Szozdą, że zamiast skupić się na wyścigu i drużynie, starali się udowodnić, kto jest lepszy. Sprawa była tak głośna, że nawet w jednym z odcinków „Czterdziestolatka” padają słowa: „Kłóćcie się jak Szozda z Szurkowskim”. Legenda mówi, że na trasie wyścigu ktoś napisał: „Staś i Ryś lubią się gryźć” i że tym ktosiem był młody kibic Tomek, który potem jako Tomasz Jaroński zaśląnął jako jeden z najwybitniejszych komentatorów i znawców kolarstwa. Tyle anegdoty, ale rzeczywistość była dość dramatyczna, prasa, działacze i kibice naręczyli się tak, że żądano wyrzucenia Szurkowskiego i Szozdy z wyścigu oraz dyskwalifikacji. Podobno uratowało ich tylko to, że prezes PZKol był w tym czasie w Bułgarii. Nie byłem w peletonie, nie będę tego oceniał, ale wiem, że Szurkowski i Szozda zostali przyjaciółmi, a w roku 2013, po



Z prezydent stolicy Hanną Gronkiewicz-Waltz podczas inauguracji sieci wypożyczalni rowerów miejskich Veturilo, 2 sierpnia 2012 r.

przedwczesnej śmierci Stanisława Szozdy, Szurkowski odmawiał rozmów: – Proszę wybaczyć, ale nie będzie żadnego komentarza. Zbyt bliski był mi to człowiek. Może za jakiś czas.

Konfliktu i przegranego Tour de Pologne by nie było, gdyby kolarzom pozwolono odchodzić do zawodowego peletonu. Dla Szurkowskiego najlepszy moment był w roku 1973, po zdobyciu podwójnego mistrzostwa świata; miał wtedy 27 lat. Propozycje padały, lecz żadna do Szurkowskiego nie dotarła. „Przychodziło sporo ofert, ale większość lądowała w szufladzie, o której istnieniu nawet nie wiedziałem”, powiedział w wywiadzie dla portalu We Love Cycling. Wtedy zawodników wypuszczano za granicę dopiero po trzydziestce. O niektórych propozycjach działacze bali się nawet wspominać: – W roku 1973, po sukcesie w Barcelonie, przyszła do nas delegacja, na której czele stał sam

Eddy Merckx (najlepszy wówczas kolarz w zawodowym peletonie). Chcieli rozmawiać o przyjeździe naszych kolarzy do zawodowych grup, byli bardzo zainteresowani. Zjedliśmy kolację, miło porozmawialiśmy i na tym się skończyło. Po spotkaniu prezes Gołębiewski powiedział: „Daj spokój, nie myśl o tym, chcesz, żeby nas za to wyp...” – wspominał trener kadry Wojciech Walkiewicz.

Oferty dotarły do Szurkowskiego, kiedy był już poza kadrą, za stary, by być liderem. Dla kolarza, który przez dekadę kolekcjonował nagrody z amatorskich wyścigów, propozycja finansowa nie była przesadnie atrakcyjna, ale najważniejsze było to, że byłby nie liderem, tylko pracującym dla innych robotnikiem. Czy wcześniej mógł zostać liderem? Kilka prób z zawodowcami pokazało, że tak, wygrywał etapy, zagraniczna prasa pisała o nim „Cień Merckxa”.

Była też propozycja z miejsca, które dawało pieniądze i starty, w których byłby liderem. – Ale to był cyrk, nie chciałem tam jechać – powiedział mi o możliwości startów w japońskich wyścigach *keirin*. W Japonii cieszyły się i cieszą wielką popularnością, bo są jedną z nielicznych dozwolonych form hazardu.

Nie wyjechał z Polski, ale zmienił klub, z wrocławskiego Dolmelo

Rady Mistrza dla początkujących kolarzy:

- Uciekajcie od jazdy na rowerze po szosie. Szukajcie bocznych dróg, prowadzących w pole, do lasu, na łąki, nad jeziora.
- Nie unikajcie przebieżek z rowerem, jeśli jest trudny teren do pokonania. Niech to będzie marszobiegi lub marsz z rowerem. Taki ruch jest wielce wskazany.
- Nie musicie jechać 15 km w jedną stronę i później tą samą trasą wracać. Można pokonywać jakąś pętlę o długości 1-2 km w pobliżu domu.

W rozmowie z Piotrem Kurkiem, Kurek-Rowery.pl

przeniósł się do fabrycznej drużyny FSO i ostatnie lata startował w jej barwach.

Życie poza peletonem

Kolejnym etapem jego przygody z kolarstwem była praca z reprezentacją Polski. Lata 1984-1988, w których pracował z kadrą, były najbardziej udanymi od czasów, kiedy sam był zawodnikiem. Lech Piasecki wygrał Wyścig Pokoju i został mistrzem świata, a na igrzyskach w Seulu drużyna zdobyła srebrny medal. „Był znakomitym trenerem. Pomagało mu to, że był wielką osobowością. Potrafił przekazywać nam informacje w taki sposób, że nikt nie myślał o tym, by z nim dyskutować. To, co powiedział, było świętością – czy to podczas wyścigów, czy treningów”, wspomina Piasecki w portalu Naszosi.pl. Szurkowski nie został jednak w kadrze, po igrzyskach odszedł, zostawiając ją swojemu zastępcy, Wacławowi Skarulowi. Przyniósł dobrą zmianę jako trener, ale to czas zapomniany, bo może przykładą się te cztery lata do najlepszych czterech lat jego zawodniczej kariery. Między rokiem

1972 a 1976 wywalczył dwa srebrne medale olimpijskie, trzy mistrzostwa i jedno wicemistrzostwo świata, dwa razy wygrał Wyścig Pokoju i zdobył 16 medali Mistrzostw Polski.

A może kartę Szurkowskiego trenera przebiła karta Szurkowskiego posta? To nie był peleton dla niego, cztery lata w sejmowych ławach, 1985-1989, i start w wyborach 2005 r. były jego porażkami. Jak wielu Polaków wciągnięty został w wir transformacji: przez zaledwie rok prowadził pierwszą zawodową polską grupę kolarską Exbud Kielce, założył klub sportowy Szurkowski, próbował ratować Wyścig Pokoju, przez rok prezesował grupie kolarstwa górskiego MTB Halls Team, był też szefem wyszkolenia Polskiego Związku Kolarskiego. To były mniej lub bardziej udane, ale tylko epizody. Stałą przystanią, podobnie jak dla jego idola, Stanisława Króla, okazał się sklep rowerowy, który założył w 1991 r.

To nie był lekki finisz

W wiek XXI wszedł jako 55-latek, człowiek spełniony, który mówił o życiu i karierze: – Trzeba być upartym,

trzeba być dobrym, trzeba mieć szczęście i czasami właśnie szczęście decyduje o tym, że jedzie się dalej.

W ostatnich 20 latach życia szczęście nie było jednak po jego stronie, los doświadczył go niezwykle ciężko. Kiedy 11 września 2001 r. cały świat przeżywał tragedię World Trade Center, Szurkowski był na zebraniu Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Wtedy dotarła do niego wiadomość o śmierci starszego syna, 31-letniego Norberta. Przez lata nie chciał o tym mówić, w końcu napisał w wydanej w roku 2019 książce „Wyścig. Autobiografia”. „Norbert miał iść do metra, a synowa akurat odwoziła ich córkę do przedszkola. Syn zamknął za żoną garaż, ona ruszyła w prawo, on wyszedł na chodnik i wtedy się zorientował, że nie ma karty z chipem do wejścia na World Trade Center. Odwrócił się i zobaczył, że żonę zatrzymało czerwone światło na skrzyżowaniu. Gdyby jakieś auto stanęło za nią, toby go nie zauważyła. Albo gdyby synowa nie trafiła na czerwone... No ale zdążył, wziął kartę i poszedł do pracy”. Kiedy byłem u Ryszarda Szurkowskiego w sklepie na Kole, nawet na moment nie przyszło mi do

Z ogromnym smutkiem żegnamy zmarłą 1 lutego 2021 r. w Krakowie

prof. dr hab. Elżbietę Paczkowską-Łagowską

Historyka filozofii współczesnej, tłumaczkę, wieloletnią wykładowczynię Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W kręgu jej zainteresowań naukowych były głównie antropologia filozoficzna, epistemologia, filozofia nauk humanistycznych, filozofia życia i historia idei. W latach 1965-1970 odbyła studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim, mając wśród swoich nauczycieli m.in. Bronisława Bączkę, Leszka Kołakowskiego i Jana Legowicza. Od 1970 r. wykładała na UJ, zdobywając kolejne stopnie naukowe, od asystenta do profesora tytularnego. Odbyła wiele staży naukowych na niemieckich i amerykańskich uniwersytetach.

Była wybitną znawczynią współczesnej filozofii niemieckiej. W swoich książkach, artykułach, przekładach i komentarzach przybliżała polskim czytelnikom idee takich myślicieli jak Otto Friedrich Bollnow, Ernst Cassirer, Wilhelm Dilthey, Karl Jaspers, Arnold Gehlen, Golo Mann, Helmuth Plessner. Od 1977 r. przez niemal dwie dekady redagowała – najpierw jako sekretarz, a następnie redaktor naczelny – międzynarodowy rocznik Instytutu Filozofii UJ „Reports on Philosophy”, w którym publikowała dorobek polskich filozofów i historyków filozofii, udostępniając ich prace w języku angielskim i niemieckim.

Prof. Elżbieta Paczkowska-Łagowska była humanistką w głębokim sensie tego słowa, miała wszechstronne zainteresowania, imponującą erudycję. Prócz wyrazistej osobowości i wysokiej kultury wyróżniał ją zupełny brak pychy, snobizmu czy dążenia do uznania i stanowisk. Starannie dobierała przyjaciół i uczniów, których darzyła długotrwałą lojalnością i życzliwością. Wobec studentów i doktorantów była wymagająca, ale również gotowa nieść pomoc, która wykraczała daleko poza sprawy czysto naukowe.

Naszemu Przyjacielowi i autorowi „Przeglądu”

prof. Bronisławowi Łagowskiemu

składamy wyrazy głębokiego współczucia

*Jerzy Domański, Jarosław Dobrzański, Paweł Dybicz, Paweł Kozłowski, Andrzej Kurz, Andrzej Romanowski,
Joanna Schiller-Walicka, Paweł Sękowski, Andrzej L. Sowa, Andrzej Werblan, Jan Widacki, Joanna Wielgat*



Podczas rehabilitacji w Konstancinie po wypadku w Kolonii w czerwcu 2018 r.

głowy, by zapytać o to, co go spotkało przed 15 laty. Było miło, o atmosferę dbała jego trzecia żona, o ponad 30 lat młodsza Iwona. Ze swoją wprawą i jednocześnie opiekuńczością pasowała do wciąż młodego duchem weterana kolarstwa.

Kiedy rozmawialiśmy o dawnych czasach, nie było w nim takich emocji, jakich oczekiwałoby się po kimś, kto relacjonuje swoje sukcesy, które dla reszty Polaków były wydarzeniami legendarnymi. On swoją przeszłością się nie emocjonował, za to oczy Króla Ryszarda błyszczały, kiedy mówił o jeździe na rowerze, o wyjazdach na Majorkę, które organizowali w gronie starych kolarzy. Mówił tak, jakby był małym chłopcem czekającym na koniec szkoły i wakacyjną przygodę.

Może dlatego tylko rok był prezesem Polskiego Związku Kolarskiego. A może po prostu w 2010 r. przyjął tę funkcję, bo związek był w kryzysie, więc sięgnięto po autorytet. Ale nie był z tym szczęśliwy, pamiętam go mocno strapionego, być może po raz pierwszy w kolarskim świecie bezradnego. Po roku zastąpił go, podobnie jak wcześniej w kadrze, Wacław Skarul. W wywiadzie dla Interii Skarul powiedział: „Rysiek, sprawujący funkcję w trudnym okresie dla związku, doszedł do wniosku, że nie jest w stanie tego pociągnąć, chciał pożyczyć rodzinie, dla siebie”.

Jeśli nie był na kolarskim wyjeździe lub nie grał w tenisa, to często jeździł z Wilanowa w kierunku Konstancina, wtapiając się w sznur

kolarzy amatorów, którzy cenią sobie tę trasę. Słyszałem anegdotę: – Jadę sobie i dobija do mnie facet, starszy facet, ale na zawodowym rowerze, ubrany jak trzeba. Proponuje, żebyśmy jechali razem, na zmianę. Super, ale czy da radę? Trzymał się koła, ale kiedy on dał zmianę, to ja ledwo dałem radę, w końcu zatrzymał się i mówi: „Całkiem nieźle! Ale gdybyś miał dobry rower... Wpadnij, na pewno coś dobierzemy”. Na pożegnanie dał wizytówkę – Sklep rowerowy Ryszarda Szurkowskiego, Erazma Ciołka 35, Pawilon 31, 01-445 Warszawa.

W trakcie 20-letniej kariery Szurkowski stawał na podium 700 razy, z czego połowę stanowiły zwycięstwa.

Sklep na Kole, Majorka, trasa do Konstancina i wyścigi dla weteranów. Współczesne kolarstwo go nudziło, drażniły go specjalizacja i wyrachowanie, podłączenie wszystkich do radia, brak inicjatywy, bo o wszystkim decyduje dyrektor grupy. Wyjątek stanowiły Tour de Pologne, bo to po trosze zawsze był jego benefis, oraz igrzyska olimpijskie. – Bo tam zabraniają korzystać z radia i kolarze sami decydują o sobie, trzeba mieć instynkt, wsłuchać się w peleton, a nie w dyrektora sportowego – tłumaczył. Wolał samemu się ścigać, kochał to, mimo że był po siedemdziesiątce.

10 czerwca 2018 r. pojechał w wyścigu w Kolonii. „Kraksa jak kraksa. Nie jechałem zbyt szybko, pewnie

coś ponad 40 km/h, w płaskim, szerokim terenie – opowiadał dziennikarzowi „Przeglądu Sportowego” Kamilowi Wolnickiemu. – Dwóch kolarzy przede mną szepiło się kołami, ja wałęnałem w nich i poleciałem na bruk, a z tyłu najechał na mnie peleton. Gdybym jechał dziesięć pozycji dalej, wpadłbym na kupę ludzi i nic by się nie stało. No ale się stało”.

Złamany kręgosłup, uszkodzenie rdzenia kręgowego, czterokończynowe porażenie i zmasakrowana twarz. Jak mówi Wolnickiemu: „Górna szczeka rozpadła się na trzy części, oczy wisały w zasadzie na sznurkach”.

Seria operacji, rehabilitacja w Konstancinie, walka o powrót do sprawności, o to, by zrobić jeszcze samodzielnie krok, zamienić choć raz wózek na rower. Kiedyś w swoim rodzinnym Świebodowie założył się z kolegami o tabliczkę czekolady, że za cztery lata pojedzie w Wyścigu Pokoju. Zakład brzmiał wtedy niedorzecznie i Szurkowski go przegrał, ale tylko dlatego, że spóźnił się ze startem o dwa lata. Może i teraz by zdążył? Nie zdążył, bo po drodze były kolejne tragedie – odejście młodszego syna, 26-letniego Wiktora, który zmarł 21 sierpnia 2020 r. Ciężko się walczyło o swoje zdrowie, kiedy przeżywa się własnych synów, a jeszcze ciężiej, gdy i tak skrajnie wyczerpany organizm atakuje nowotwór.

Ryszard Szurkowski zmarł 1 lutego 2021 r. Miał 75 lat. I tak my, urodzeni w latach 60., zostaliśmy sierotami. Straciliśmy w krótkim czasie dwóch ludzi, którzy otworzyli przed nami wyobraźnię, wyznaczyli cel, nauczyli marzyć. Najpierw odszedł Henryk Jerzy Chmielewski, Papcio Chmiel, twórca komiksów o Tytusie, Romku i A'Tomku, niedługo po nim Król Ryszard. Mężczyźni są podobno wiecznymi chłopcami, ale wielu z nas nieodwołalnie przestało nimi być.

Grzegorz Kalinowski jest byłym komentatorem sportowym, współautorem biografii Lucjana Brychczego i Czesława Langa, autorem powieści kryminalnych i sensacyjno-historycznych

Służba zdrowia – krajobraz po bitwie

W pandemii Polacy przestali chodzić do lekarzy.
I zaczęło się największe od II wojny światowej umieranie

Beata Igielska

– Zniechęca mnie organizacja pracy przychodni i jakość teleporady. W listopadzie usłyszałam, że mam anginę, zapalenie gardła albo zapalenie krtani. Tyle sama wiedziałam, bo gardło mnie bolało. Gdybym chciała wizytę stacjonarną, mogłabym zostać przyjęta za siedem-dziesięć dni. Ale że jestem

były przygnębiające. Teraz nawet nie chcę myśleć, co się dzieje. Jestem przekonana, że za wszystko będę musiała płacić prywatnie, a na to mnie nie stać. Od dawna nie byłam także u ginekologa, a powinienam. Przez te kolejki machnęłam na wszystko ręką – przyznaje.

A jak z tym jest np. w Warszawie w niektórych poradniach, mogę opowiedzieć z własnego doświadczenia. Już w kwietniu

1000 mieszkańców Polski zgonów mamy 12,7. Podobnie było tylko w roku 1951 – 12,2. Wtedy żniwo zbierały choroby zakaźne: odra, tężec, krztusiec, błonica, polio; umierały też noworodki. Dzisiejsze wskaźniki nakreśliła pandemia po społu z wieloletnimi zaniedbaniami w ochronie zdrowia. Te nadmiarowe zgony, o wiele liczniejsze niż w latach poprzednich, są spowodowane powikłaniami w chorobach przewlekłych, niewydolnością

Prof. Boleśław Samoliński: W roku 2019 były 42 mln porad w przychodniach podstawowej opieki zdrowotnej, w 2020 – o 11,5 mln mniej.

nauczycielką, potrzebowałam L4, bo trudno przy 38-stopniowej gorączce, z bolącym gardłem i kaszlem, przez kilka godzin stale rozmawiać online z uczniami – opowiada Katarzyna z Łodzi. – Teleporady udzielił lekarz, który wcześniej na oczy mnie nie widział. Wątpię, że zajrzał do mojej karty, skoro zapytał, jaki antybiotyk chcę i jakie wcześniej brałam. Myślę, że wiele osób ma takie doświadczenia, więc gdy chorują, leczą się samodzielnie domowymi sposobami.

Beata z małego miasta pod Warszawą nie chodzi do lekarza, bo przeraża ją wizja kolejek większych, niż były przed pandemią. – Jak mam przez to wszystko przebrnąć, od razu odechciewa mi się kontaktu ze służbą zdrowia. Czekam więc na koniec pandemii, żeby zająć się porządnie choćby moimi rozpranymi hemoroidami, które leczę na własną rękę za pomocą maści. Wiem, że powinnam się zgłosić do specjalisty, ale dopóki czuję, że mojemu zdrowiu nie grożą poważne konsekwencje, nie pójdę do lekarza. Dokucza mi też kręgosłup. Powinnam iść do ortopedy i do fizjoterapeuty. Oprócz kolejek boję się zarażenia. Znalazłam więc na YouTube ćwiczenia i w ten sposób się ratuję. Kolejki do specjalistów na NFZ i przed pandemią

roku pandemicznego bez kolejek, w puściutkiej przychodni, miałam zrobione przez wielkiej klasy specjalistę USG na dobrym sprzęcie. Prywatnie taka przyjemność u tego znanego lekarza kosztuje 250 zł. Byłam zaskoczona: krótki termin, spokój. Latem byłam trzy dni na badaniach w szpitalu. Nie zaraziłam się covidem, dowiedziałam się, że nie mam poważnej choroby auto-

pod względem nadmiarowych śmierci jesteśmy liderami wespół z Hiszpanią – 18,4%, Bułgarią – 16,7% i Belgią – 16,6% (dane za OKO.press.).

– Ludzie boją się covidu: dopóki nie boli, nie kłuje, nie idę do lekarza. Albo: poleżę i przestanie, rozchodzę ból. To zaniedbanie, winą leży po stronie pacjenta. Covid jest hasłem, które wyparło inne jednostki chorobowe. Znam starszą panią, która do-

Prof. Cezary Szczylik: Od kilku miesięcy obserwujemy w onkologii przesunięty efekt strachu przed tłumami w przychodniach, kolejkami.

immunologicznej, więc zyskałam zbawienny spokój. Potem bez problemu kilkakrotnie byłam u lekarza na wizytach kontrolnych. Mam to szczęście, że mnie nie zbyto teleporadą. Pewnie wszystko zależy od podejścia danej przychodni. Zdaję sobie sprawę, że moja przychodnia jest pozytywnym wyjątkiem. I właśnie dlatego statystyki umieralności są zatrważające.

Obawa przed covidem

W 2020 r. zmarło ponad 76 tys. osób więcej niż w 2019 r. (wzrost o prawie 16,7%). To najgorsza statystyka od II wojny światowej. Na

piero powalona covidem, w szpitalu, dowiedziała się, że ma zaawansowanego raka trzustki. Wcześniej miała dolegliwości, ale nie szła do lekarza, bojąc się covidu. A teleporada okazała się nietrafiona. Czy to więc dziwne, że boimy się teleporad? W dodatku temat covidowy jest cały czas pompowany przez media, tylko tu szukamy sensacji, skupiamy się na innych, nie na własnym cierpieniu – mówi dr Bogna Szymańska-Kotwica, psycholog w Wojewódzkim Szpitalu Zakaźnym w Warszawie oraz w gabinecie Minds of Hope.

Prof. Boleśław Samoliński, kierownik Zakładu Profilaktyki Zagrożeń Środowiskowych i Alergologii ▶

► Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, współtwórca strategii rozwoju zdrowia publicznego, już w sierpniu 2020 r. stanął na czele niezależnego, interdyscyplinarnego zespołu ekspertów zdrowia Continue Curatio. Już wtedy przewidywali tę dużą śmiertelność. Wystosowali więc do pacjentów i decydentów list otwarty, w którym apelowali o wdrożenie testów różnicujących grype i covid w okresie jesienno-zimowym. Pisali, że owszem, rozwijamy teleporadnictwo i teleopiekę, ale z zachowaniem bezpieczeństwa chorych. Wzywali do stworzenia wytycznych dla każdej specjalności, ze wskazaniem alarmujących objawów. Uważali, że konieczne jest budowanie świadomości zdrowotnej Polaków oraz ich edukacji dotyczącej teleporad, e-recept i e-skierowań. Nie są prorokami, są naukowcami, którzy umieją czytać dane i wyciągać z nich wnioski.

Dziś prof. Samoliński pytany, dlaczego Polacy nie chodzą do lekarzy, odpowiada krótko: boją się covidu. Wina leży po stronie tychże lekarzy, którzy w marcu pozamykali szczelnie przed pacjentami prawie wszystkie placówki medyczne, co było absurdem. Ale też po stronie pacjentów.

– W 2019 r. było 42 mln porad w przychodniach podstawowej

Pacjenci umierali w domach, czekając na karetki. Wydano mniej kart onkologicznych, a przecież ludzie nie przestali chorować na nowotwory. W tym samym czasie POZ nadal nie otworzyła się dla pacjentów, opieka ambulatoryjna została zamknięta decyzją wojewodów, choć nie było takich zaleceń ani z NFZ, ani z Ministerstwa Zdrowia. Wszystkie te czynniki sprawiły, że pacjentom niecovidowym było w Polsce gorzej niż covidowym. Dzisiejsza krzywa zgonów pokazuje krajobraz jak po bitwie. Próbuje wracać do normalności, ale to trudna droga. Najważniejsze jest oddzielenie systemu covidowego od niecovidowego – stwierdza prof. Samoliński.

Efekt „zostańcie w domu”

Prof. Cezary Szczylik, wybitny onkolog, za kryzys zdrowia Polaków wini głównie rząd. – Od początku pandemii był niekonsekwentny i chaotyczny w podejmowaniu decyzji. W ciągu jednego dnia potrafił dać dwa sprzeczne komunikaty. Tymczasem rząd, szczególnie w kryzysie, musi być daleki od emocji. Od kilku miesięcy obserwujemy więc efekty niekonsekwencji w poczynaniach rządu. Najwięcej zgonów jest

szczególnie narażeni na ciężki przebieg covidu, no więc siedzą w domu. Myślę, że w innych specjalizacjach jest podobnie. Uciekanie przed zagrożeniem to odruch, jak w przypadku, gdy poparzymy się i potem cofamy rękę przed gorącym. Z badań fundacji onkologicznej Alivia wynika, że ludzie masowo nie zgłosili się na przesiewowe badania mammograficzne czy kolonoskopię.

– Pamiętamy te apele członków rządu z początku pandemii, by ograniczyć wizyty lekarskie do minimum: jeśli nic wielkiego ci nie dolega, zostań w domu. Konsekwentnie był budowany wielki strach przed covidem – mówi dr Ewa Jarczewska-Gerc, adiunkt na Wydziale Psychologii Uniwersytetu SWPS. – Niechęć i lęk przed diagnozowaniem nowotworów były dość powszechne także przed pandemią. To dlatego są akcje na temat raka szyjki macicy czy raka piersi z udziałem celebrytów. Zawsze boimy się diagnozy, a covid stał się wygodną wymówką. Skoro rząd prosi: zostań w domu, chyba wie, co mówi, i nowotwory wcale tak szybko się nie rozwijają. Oprócz seniorów, dla których kolejka do lekarza to rodzaj życia towarzyskiego, jest grupa, która powinna się badać, a tego nie robiła i nie robi. Ludzie boją się dziś wezwać karetkę, bo przecież mówiono im: radzisz sobie, nie blokuj miejsca innym, którzy naprawdę potrzebują pomocy. Znam przypadek, kiedy karetka została wezwana za późno. I inną tragiczną historię z początku pandemii, gdy 40-letni mężczyzna z otwartym wrzodem żołądka odbijał się od szpitala do szpitala, nigdzie nie chcieli go przyjąć, bo covid. Niestety, nie żyje, zostawił żonę i dwoje dzieci. Teraz więc ludzie boją się, że i tak nie zostaną przyjęci albo że niepotrzebnie zabiorą komuś miejsce. Poza tym działa negatywne doświadczenie: i tak się nie dopcham – podsumowuje dr Jarczewska-Gerc.

Polak „nie ma czasu” na leczenie

Statystyczny Polak ocenia swoje zdrowie na trójkę z plusem. Pod koniec stycznia 2020 r. w badaniu wykonanym przez ABC Rynek i Opinia na pytanie, dlaczego nie chodzi do lekarza, najczęściej odpowiadał: nie mam czasu na umówienie wizyty, szkoda

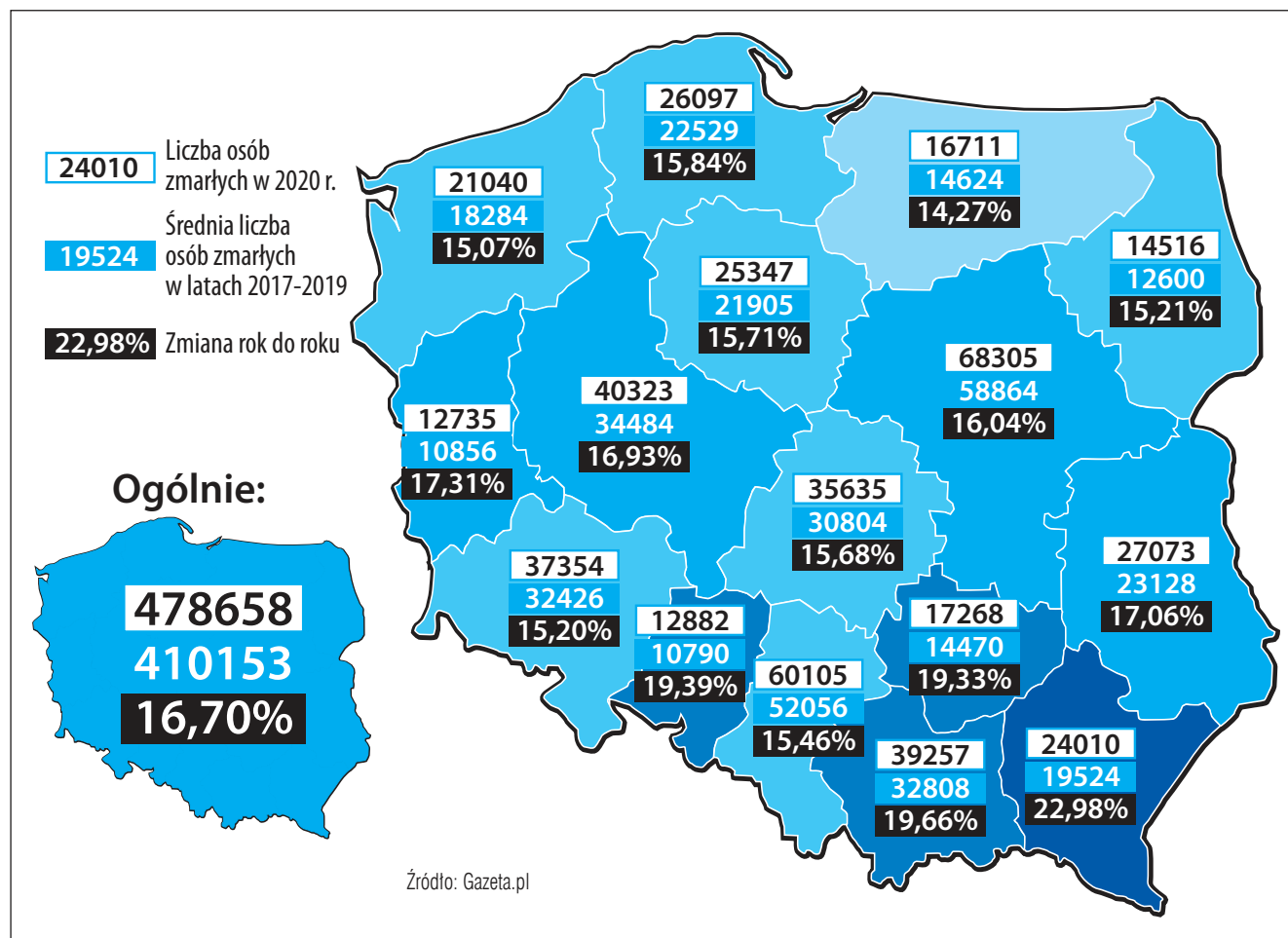
Dr Ewa Jarczewska-Gerc: Pacjenci boją się upokorzenia. Nie chcą się narażać na impertynencje.

opieki zdrowotnej, w roku 2020 – o 11,5 mln mniej. Właśnie z powodu pozamykanych przychodni podstawowej opieki zdrowotnej, przejścia na teleporady, przy czym telefonów od pacjentów się nie odbierało, liczba skarg do Rzecznika Praw Pacjenta wzrosła z 700 w 2019 r. do 1,7 tys. w 2020, a na POZ o 100%. Mniej było skarg na szpitale, bo te już kompletnie się zamknęły – wylicza prof. Samoliński. – Poza tym mniej więcej w czerwcu głośno było, że 30% zakażeń covidem pochodzi ze służby zdrowia. Ludzie więc bali się przychodni, SOR-ów, izb przyjęć. Teraz trafiają tam pacjenci w gorszym stanie, niż gdyby zgłosili się na czas. Porównywano 44. tydzień roku 2019 i 2020 – zmarło o 7 tys. osób więcej, 1,3 tys. z powodu covidu. Stało się tak, bo karetki z pacjentami godzinami czekały przed izbami przyjęć.

obecnie w południowo-wschodniej Polsce: Przemyślu, Rzeszowie i okolicach. Właśnie tam TVP z jej pisowskim przekazem jest bogiem – mówi z goryczą.

Jego zdaniem nie bez winy są media w ogóle – z powodu rządowego chaosu nie miały skąd czerpać wiedzy, toteż czerpały ją np. z Włoch, gdzie masowość zgonów covidowych była porażająca. – Przestraszone nas okrutnie. Po czym latem poszedł komunikat, że covid nie jest taki straszny, ludzie wyjechali na wakacje, biegali po galeriach handlowych. I po raz kolejny okazało się, że jednak nie jesteśmy narodem wybranym i covid wcale nas nie ominął – tłumaczy prof. Szczylik. – Od kilku miesięcy obserwujemy w onkologii przesunięty efekt strachu przed tłumami w przychodniach, kolejkami. Wiadomo, że ci chorzy są

Wzrost liczby osób zmarłych w województwach w Polsce w 2020 r. (w porównaniu ze średnią z lat 2017-2019)



mi czasu na czekanie. Na NFZ trzeba długo czekać, a prywatnie mnie nie stać. Jeśli już się leczy, to nie ma czasu stosować się do wszystkich zaleceń. Czasu brakuje również na pójście do apteki i wykupienie leków. Około 15-30% rodaków cierpi na „syndrom białego fartucha” – na widok lekarza skacze im ciśnienie krwi. Obawiają się kolejnej wizyty, bo podczas poprzedniej ktoś ich zrugął albo zostali niewłaściwie zdiagnozowani. Coraz częściej nagłaśnia się błędy lekarskie, nieprzyjemne zachowania personelu medycznego lub bolesne zabiegi. Unikamy lekarzy z powodu wstydu: przed rozebraniem się, z powodu nadwagi lub otyłości, przed byciem zruganym za niezdrowy tryb życia. Wstydu doświadczają też kobiety przed wizytą u ginekologa, szczególnie te w wieku 55-65 lat. A to wtedy wzrasta ryzyko zachorowania na raka piersi i narządów rodnych.

– Pacjenci boją się upokorzenia. Nie chcą się narażać na impertynenecje. Inna sprawa, że lekarze są już skrajnie przemęczeni i bywają nieprzyjemni. Myślę, że brak profilaktyki żniwo zbierze dopiero w przyszłym roku, choć i obecne statystyki są przerażające. Osobną kategorię stanowią mężczyźni. Oni zawsze mają problem z pójściem do lekarza. A jak już mają kawałek pupy pokazać, jest dramat. Dlatego rak prostaty czy jelita grubego ma się u nich tak dobrze. Kobiety niemal od nastoletniości są obeznane z ginekologiem i to przełamuje trochę barierę wstydu, wywołując większą otwartość na procedury medyczne – konkluduje dr Ewa Jarczewska-Gerc.

Do typowej niechęci do wizyt u lekarzy doszła nietypowa postawa wobec zakażenia koronawirusem – coraz więcej ludzi, którzy mają objawy, np. utratę węchu lub smaku,

duszości, osłabienie i kaszel, nie zgłasza się ani do lekarza, ani na test. Chorują w domach, a koronaseptycy chodzą do pracy. Bo przecież covid to wymysł, spisek. A że wkrótce współpracownik także choruje? Cóż, zdarza się.

Prawda jest też taka, że ludzie boją się o pracę i przychodzą zakażeni. Boją się również o pracę najbliższych: moja żona kosmetyczka musi chodzić do pracy. Prezesi dużych firm, choć mają gorączkę, duszości, do lekarza nie idą, bo „nie zostawią na tak długo biznesu”. Wreszcie ludzie bez węchu i smaku nie idą do lekarza ani na test, bo: a co mi to da? I tak nie ma na to lekarstwa i niepotrzebny mi cyrk z izolacją, kwarantanną i policją. No i mamy, to co mamy.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Nie damy się zastraszyć

Większość młodych, z którymi jestem związana,
teraz protestuje jeszcze intensywniej

Rozmawia Anna Brzeska

Jak pani się czuje? Policja zaprzecza pani dramatycznej relacji z zatrzymania po piątkowych protestach.

– Policja, a raczej Sylwester Marczak, już wie, co się tam wydarzyło, mimo że jeszcze nie było śledztwa. To oznacza, że wyrok już wydano. Jak więc mam się czuć? Będę się bronić, tak jak potrafię, choć czuję się bezsilna w starciu z policją. Nie mam świadków, nie mam nagrań.

Na komisariacie były kamery?

– W toaletach ich nie ma, dlatego właśnie tam prowadzi się osoby, z którymi chce się zrobić różne nie miłe rzeczy. Zresztą, jak wiadomo, w kilku innych tego rodzaju sprawach związanych z zatrzymaniami słyszeliśmy potem, że nagrania – czy ich fragmenty – ginęły. Tak było przecież w przypadku Igora Stachowiaka, który zginął na komisariacie we Wrocławiu.

Bała się pani w trakcie zatrzymania, że mogą zrobić pani poważniejszą krzywdę?

– Nie miałam czasu. Broniłam się na miarę swoich możliwości, również fizycznie.

Czy da pani radę po raz kolejny o tym opowiedzieć?

– Mam już trochę dosyć, ale opowiem. W czwartek, 28 stycznia, zawieziono mnie do Pruszkowa. Oczywiście nie powiedziano mi, dokąd jadę. Tam rozpoczęto normalne w takich sytuacjach działania w stosunku do osoby zatrzymanej, a więc wpisywano coś do komputera – nie wiem co, bo oczywiście nie udostępniono mi tego dokumentu. Przyszedł też policjant, który pokazał mi swoje rzekomo ubrudzone przeze mnie spodnie i oświadczył, że pozwie mnie za to na drodze cywilnej. Spisywanie trwało oczywiście odpowiednio długo – zawsze tak to wygląda, choć można to zrobić o wiele

KATARZYNA AUGUSTYNEK, Babcia Kasia

szybciej. Towarzyszyły temu złośliwe teksty policjantów, ale to już spływa po mnie jak woda po kaczce.

Co mówili?

– Nie trzeba nawet powiedzieć nic obraźliwego. Jeśli doda się do tego odpowiedni gest, złośliwy uśmiech i komentarz – wychodzą przykrości, których nie mam ochoty pamiętać. Wiedziałam, że muszą sobie na mnie poużywać. Potem usłyszałam, że czekają na mnie dwie policjantki, więc już zdawałam sobie sprawę z tego, co będzie się działo dalej.

Napisła pani na Facebooku, że policjantki rozbiły panią w brudnej toalecie, szarpiąc na podłodze oraz wykręcając ręce i palce, i że dwóch policjantów przyglądało się temu, stojąc w otwartych drzwiach. Czy wyjaśniono pani, po co ma pani się rozebrać?

– Policja nigdy niczego nie wyjaśnia – nigdy na komisariacie się z tym nie spotkałam. Gdy stanęłam w toalecie, powiedziano mi, bym się rozebrała, a ja stwierdziłam, że nie mam powodu się rozbierać, bo w ogóle nie powinnam była tam się znaleźć. Później musiałam z gołymi nogami dojść na mrozie do radiowozu, potem z niego wysiąść. W Piastowie przebywałam bez rajstop w lodowatej celi.

Wiem, że bywa pani też na tzw. miesięcznicach smoleńskich. Skąd taka siła i motywacja, by regularnie manifestować swój sprzeciw?

– Od pewnego czasu protestuję tam regularnie – ale już wcześniej manifestowałam, gdy był krzyż pod Pałacem Namiestnikowskim. Sprzeciwiałam się ich interpretacji wydarzenia w Smoleńsku, a przede wszystkim utożsamianiu go z tragedią

katyńską – i właściwie to było dla mnie pierwszą motywacją, ponieważ mój dziadek, ppłk Jerzy Zapolski, został zastrzelony w Katyniu. Nie zgadzam się, by porównywać tamtą zbrodnię z błędem politycznym Jarosława Kaczyńskiego. Jego kłamstwo smoleńskie jest dla mnie porównywalne z kłamstwem katyńskim z czasów PRL czy próbą zaprzeczania Holokaustowi. Uważam, że te obrzydliwe kłamstwa, tworzone wyłącznie do celów politycznych, trzeba rozbijać. Poza tym wciąż dzieją się coraz to nowe rzeczy. Systematycznie są nam odbierane nasze prawa i wolności. Za chwilę nasz tzw. naród obudzi się, ale będzie już za późno.

Ile razy brała pani udział w protestach?

– Nie da się tego obliczyć. Bardzo dużo.

Proszę zatem opowiedzieć, jak zachowuje się policja na protestach.

– Policja podczas wiosennych protestów – gdy wyszliśmy na ulice, by pożegnać prof. Gersdorf, którą wspieraliśmy przez lata – zaczęła od żądań, byśmy się legitymowali. Od tamtej pory cały czas zarzucają nam nielegalne gromadzenie się, bezprawnie wypisują mandaty. Czasem nie chcą podawać swoich danych. Poza tym są brutalni. Osaczają pojedyncze osoby lub wyciągają z tłumu upatrzonych ludzi. Bywa, że używają siły, by spacyfikować wybraną osobę. Zdarza się też – widziałam to dwukrotnie – że spisują osoby nieuczestniczące w naszym wydarzeniu, przechodzące ulicą czy patrzące, co się dzieje. Tak było przecież podczas protestów w sprawie Margot. Czasem popychają – szczególnie gdy otoczą ludzi kotłem i ci chcą się z niego wyrwać. Powalają na ziemię, mimo że jest to zupełnie nieuzasadnione. Tymczasem my nie protestujemy w taki sposób, by trzeba było skuwać nam z tyłu ręce i kłaść nas w błocie. Mam jednak wrażenie, że im większe to błoto, tym większą



Katarzyna Augustynek protestuje podczas miesięcznicy smoleńskiej, 10 października 2020 r.

sprzyjających im partii w parlamencie niewiele można osiągnąć – ale czy obecna opozycja cokolwiek osiągnęła? Nie.

Pewnie dlatego protestująca obecnie młodzież straciła do niej zaufanie.

– Oczywiście. I nie tylko młodzież. Posłowie Lewicy i KO pomagają nam w kontaktach z policją, wyrwają nas z jej rąk. Natomiast poza tym nie mam specjalnie poczucia, że nas wspierają. Myślę, że młodzież w ogóle niechętnie widzi polityków na swoich protestach, nawet tych będących wyraźnie po naszej stronie. Jest politykami zawiedziona, nie ma już autorytetów. Widzimy, jak obecna opozycja – dość liczna przecież – nie wykorzystuje sytuacji, które Zjednoczona Prawica podtyka jej pod nos.

Mówiła pani, że nie ma planów na kolejne dni.

– Strajk Kobiet niestety nic w tym tygodniu nie organizuje, co jest dla mnie rozczarującym zaprzeczaniem wielkiej energii. Nie chcę jednak krytykować OSK, bo robią fantastyczne rzeczy, są sprawni organizacyjnie. Popieram też ich działania i zgadzam się z postulatem, że każda kobieta musi mieć prawo do aborcji do 12. tygodnia oraz później

mają satysfakcję. Byłam świadkiem kilku takich sytuacji. Czasem namawiamy policję, by przeszła na naszą stronę. Czy to jest powód, by rzucać kogoś na ziemię i skuwać?

Dla mnie nie.

– Nie rozumiem ich działania. Jestem oburzona, że nawet szeregowi policjanci chcą to robić i bez wahania wykonywać każde polecenie przełożonych. A my protestujemy spokojnie, maszerujemy, krzyczymy rzeczy dotyczące tematu protestu. Mamy też tańce, bębny, muzykę – ale nie ma to nic wspólnego z tym, co robią np. żółte kamizelki we Francji. Tamtejszej policji się nie dziwię, że musiała używać siły. Ale gdy parę dni później zostałam zatrzymana, nad moją głową latały słowa na k wypowiadane przez policjanta. Dostał upomnienie do papierów? Na pewno nie.

Czy pani zatrzymanie mogło część protestujących zniechęcić, przestraszyć?

– Nie sądzę. Większość młodych, z którymi jestem związana, teraz protestuje jeszcze intensywniej. Nie znam nikogo, kto by ze strachu się wycofał. Młodzież, na szczęście, jest bardzo odporna, mocna psychicznie. Moim zdaniem protestuje fantastycznie – i będzie protestować. Ja nie planuję dalej niż na dzień. Młodzież jednak jest świetna, dobrze zorganizowana, wie, czego chce. Potrafi

działać w grupie, a to niezwykle istotne. Od początku wspierałam młodych, dlatego jestem dla nich Babcią Kasią. Jestem przeszczęśliwa, że pozwalają mi działać wraz z nimi. Póki nie będą mieli parcia na politykę, będą wspaniale walczyć i wymyślać kolejne sposoby. Obecnie protestująca młodzież nie wiedziała wcześniej wiele na temat przejęcia przez Kaczyńskiego Trybunału Konstytucyjnego, sądów i prokuratury lub

Młodzież jest świetna, dobrze zorganizowana, wie, czego chce. Potrafi działać w grupie, a to niezwykle istotne.

jakichś gazet, których i tak nie czytała. Zadziały na nią sprawy klimatu i aborcji.

Młodzi protestują w sprawach, które bezpośrednio ich dotyczą. Działają przez to skuteczniej niż opozycja przed kilku laty?

– Mam taką nadzieję, ale na razie trwa to zbyt krótko, by można było ocenić, tym bardziej że do najbliższych wyborów aż trzy lata. Liczę na to, że wtedy młodzi się pokażą, wytrwają w swojej walce. Znam osoby, które dołączają do lewicowych młodzieżówek, nie przypuszczam jednak, by większość poszła w partyjne dyby. Są na to zbyt niezależni. Z drugiej strony wiadomo, że bez obecności

w określonych sytuacjach. Aborcja musi więc być legalna, darmowa, dostępna i bezpieczna. Nie może również być tak, że są województwa w Polsce, w których żaden lekarz nie wykona aborcji, zaśnając się klauzulą sumienia. Nie. To jest absolutnie wykluczone.

Co jeszcze chciałaby pani przekazać?

– Że nie damy się zastraszyć. Policja od wiosny zeszłego roku nasila działania, a my i tak wychodzimy na ulice. Niech więc oni się boją. Przyjdzie czas, że zostaną bardzo dokładnie rozliczeni.

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Helena Leman

2 lutego pod Urzędem Wojewódzkim w Gdańsku stoi tłum dziennikarzy i osób wspierających Iwonę Ochocką, dyrektorkę niepublicznej szkoły z Tczewa, która ma odpowiadać w związku z zarzuceniem jej uchycenia godności zawodu nauczyciela podczas organizacji Strajku Kobiet w tym mieście w listopadzie 2020 r. Przysłuchanie, które właśnie się zaczyna, prowadzi Barbara Leśniewska, zastępca rzecznika dyscyplinarnego dla nauczycieli przy wojewodzie pomorskim.

Nauczycielce zarzuca się, że organizowała „akcje protestacyjne pod nazwą »Strajk Kobiet« na ulicach Tczewa, w których uczestniczyły dzieci i młodzież szkolna, pomimo trwającej w kraju pandemii oraz zakazu zgromadzeń powyżej pięciu osób”. Podczas manifestacji miała również nawoływać do niehumanitarnych, nieetycznych postaw poprzez słowa: „Kaczor do wora, wór do jeziora”, ponadto używała słów wulgarnych. Początkowo przesłuchanie miało się odbyć w Delegaturze Kuratorium Oświaty w Kościerzynie, lecz w ostatnich dniach telefonicznie poinformowano nauczycielkę, że odbędzie się w UW w Gdańsku, mimo że właściwa delegatura kuratorium oświaty, której podlega Iwona Ochocka i z którą od lat współpracuje, mieści się w Tczewie.

Solidarność naszą bronią

Jest nerwowo, przed wejściem do budynku czuwają policjanci. Na udział w przesłuchaniu nie pozwolono Lidii Makowskiej z Trójmiejskiej Akcji Kobięcej, próbowano także wyprosić posłankę Lewicy Beatę Maciejewską. Akcją wsparcia pod urzędem pod hasłem „Murem za Ochocką” kieruje Martyna, też nauczycielka, anglistka z Malborka należąca do Powiślańskiej Akcji Kobiet, skupiającej dziewczyny ze Sztumu, Dzierzgonia, Iławy, Kwidzyna i innych pomorskich miejscowości. Są poza tym ludzie z Federy, czyli Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, z Wielkiej Koalicji na rzecz Wolności i z KOD. Z czerwoną flagą z czarnym dzikim kotem przyszli wspierać Ochocką przedstawiciele Ogólnopolskiego



Iwonie Ochockiej zarzuca się, że organizowała akcje protestacyjne Strajku Kobiet na ulicach Tczewa.

Murem za Ochocką

Obawiam się, ale nie przestanę protestować
– mówi dyrektorka szkoły z Tczewa

Związku Zawodowego Inicjatywa Pracownicza. Gdy pytam młodego chłopaka, dlaczego tu stoi i marznie, mówi: – Bo tak trzeba. Iwona Ochocka robi dobrą robotę, walczy o prawa nas wszystkich. Nie możemy dopuścić, aby ten precedens, który ją spotkał, stał się normą. Chcą trzymać ludzi za pysk, zrobić z nauczycieli pas transmisyjny, tubę Kościoła i władzy.

– Nieprzypadkowo represje dotknęły właśnie kobiety – dodaje Lidia Makowska. – Najłatwiej straszyć kobiety, bo są wychowywane do zgody,

uczelni mówi, że wyskoczył na protest, aby dać dziewczynom mocne, męskie wsparcie. Starsza pani przyszła, bo wie, jak ciężko się walczy w małych środowiskach. Z kolei starszy mężczyzna, który akurat przechodzi pod urzędem, rzuca z pogardą: – Zebranie bolszewików! – Niepokora jest solą demokracji! – odpowiadają mu zgromadzeni.

Gdy po prawie dwóch godzinach Iwona Ochocka z pełnomocnikami reprezentującymi ją *pro bono* ukażuje się w drzwiach urzędu, emocje

Iwona Ochocka nie jest pierwszą nauczycielką ściganą za poglądy w związku ze strajkiem.

do posłuszeństwa. Brawo za odwagę! Rewolucja jest kobietą! – powtarzają zgromadzeni. – Nie damy się zastraszyć, nauczyciel ma prawo mieć poglądy! Solidarność naszą bronią! Edukacja, nie indoktrynacja! – krzyczy ktoś przez głośnik, nowe hasła rodzą się spontanicznie, a stare są przerabiane, np. „Nie bać PiS!”. Wykładowca jednej z trójmiejskich

sięgają zenitu. Kobieta podkreśla, że prawo do protestów gwarantuje nam art. 54 konstytucji, a nikogo do udziału w nich nie namawiała. Zresztą marsze Strajku Kobiet odbywały się wieczorem, gdy dzieci i młodzież przebywały pod opieką rodziców. Odnosząc się do hasła: „Kaczor do wora, wór do jeziora”, wyjaśnia, że to metafora, a podczas marszów

wybrzmiewały i wybrzmiewają różne manifesty, które są wyrazem emocji uczestników oraz ich niezgody na wyrok Trybunału Konstytucyjnego. – Taka jest poetyka protestów i nie ma to nic wspólnego z nawoływaniem do niehumanitarnych postaw – zaznacza.

Kiedy dziennikarze i zgromadzeni dociekają, kto złożył na nią zawiadomienie do władz oświatowych, nauczycielka odpowiada, że o to nie pytała. Ludzie przed urzędem doskonale jednak wiedzą – nazwisko pośła

itd. Startowałam z listy Wiosny do Sejmu, ale się nie dostałam. To nie ostudziło mojego zapału, od wielu miesięcy wieczory spędzam na protestach. W obronie niezależności sądów, nauczycieli, praw zwierząt. Strajk Kobiet jest jedynie kolejnym etapem tej walki o godność.

Pierwszy strajk zorganizowała w Tczewie 25 października, trzy dni po wyroku TK zakazującym aborcji z tzw. przyczyn eugenicznych. Przyszło ok. 2 tys. osób. Na kolejny, w środę 28 października – 5 tys. ludzi,

bezpośrednio podlegałem. Powiedział: „Będziemy pana zwalniać”. Postawiono mi ultimatum, że jeśli natychmiast się nie zgodzę na porozumienie stron, zostanę zwolniony dyscyplinarnie. Zdecydowałem się na pierwsze rozwiązanie, gdyż mam dwójkę dzieci na utrzymaniu. Osoba, która mnie zwolniła, potem przeszła do PGNiG, innej spółki skarbu państwa.

Emil Ochocki jeszcze pracy nie znalazł, mówi, że ma wilczy bilet. Jest inżynierem wąskiej specjalności.

Przez dwa lata był zastępcą dyrektora technicznego Lotosu, pełnił również funkcję kierownika projektu. Wła-

Moja aktywność obywatelska rozpoczęła się długo przed Strajkiem Kobiet. Jej motorem była potrzeba godności, którą nam się odbiera za rządów PiS.

Kazimierza Smolińskiego z PiS, który ma biuro w Tczewie, odmiennie jest tu przez wszystkie przypadki.

Nagonka i wilczy bilet

Z Iwoną i Emilem Ochockimi spotykam się kilka dni przed przesłuchaniem, w piątek 29 stycznia wieczorem, w ich niepublicznej szkole podstawowej Fontanna Marzeń na tczewskiej starówce. Szkołę założyli siedem lat temu. Jest kameralna, mieści się w starej kamienicy, ma 80 uczniów w siedmiu klasach – po jednej na każdym poziomie, czyli jedna klasa pierwsza, jedna druga itd. Ta szkoła to ich trzecie dziecko, jak żartują, wymarzona, wychuchana, wzięli na jej otwarcie kredyt. On jest dyrektorem generalnym i organem prowadzącym, a ona, polonistka z 20-letnim stażem i nauczycielka dyplomowana, dyrektorką oświatową. Wcześniej 15 lat pracowała w gimnazjum w Subkowach pod Tczewem.

– Moja aktywność obywatelska rozpoczęła się na długo przed Strajkiem Kobiet – tłumaczy. – A jej motorem była wielka potrzeba godności, którą krok po kroku nam się odbiera za rządów PiS. Przedtem zawsze głosowałam w wyborach parlamentarnych na PO, ale ta partia mnie rozczarowała. Na SLD po eksperymencie z panią Ogórek też stawiać nie zamierzałam. I wtedy pojawiła się Wiosna Roberta Biedronia. Wielu szedło z jej programu, a ja uważam, że wyprzedza czas, jest przyszłościowy z jego poszanowaniem praw mniejszości, kobiet, rozdziałem Kościoła od państwa, hasłami ekologicznymi

co piąty mieszkaniec miasta. Wtedy na internetowej grupie ktoś rzucił hasło do zmotoryzowanych: „Wybaczcie utrudnienia, Tczew ma rząd do obalenia!”. Hasło zaczęło żyć własnym życiem na ulicach, co podobno zdenerwowało pośła Smolińskiego. W środę 4 listopada, przed trzecim protestem, w „Gazecie Tczewskiej” ukazał się anonimowy artykuł „Kto stoi za strajkiem kobiet”, w nim została wymieniona Iwona Ochocka. „Pani pedagog dała swoim wychowankom doskonałą lekcję łamania zasad moralnych i społecznych, a także narażania innych w dobie pandemii. Tu nasuwają się pytania: Czy chcemy, aby nasze dzieci miały takie autorytety? Czy nauczyciele nie powinni krzycieć ducha patriotyzmu i szacunku dla bliźnich, zamiast nienawiści i wulgarności?!”. W tym samym numerze zamieszczony został wywiad z Kazimierzem

dze spółki nie chcą komentować jego zwolnienia. Pośłanka Beata Maciejewska, która zasypuje Lotos pismami, zdołała się tylko dowiedzieć, że w jego aktach nie było żadnych upomnień ani wpisów dyscyplinujących.

24 listopada Iwona Ochocka otrzymuje pismo z Delegatury Kuratorium Oświaty w Tczewie. Ma się ustosunkować do zarzutów wyprowadzenia ludzi na ulicę podczas pandemii i nieetycznej postawy, jaką prezentowała w czasie protestów. Odpisuje. Na prawie dwa miesiące zapada cisza. 15 stycznia 2021 r. otrzymuje wezwanie na postępowanie wyjaśniające, najpierw do Kościerzyny, potem do Gdańska.

Nie tylko Ochocka

Przeprowadzenie szczegółowego badania sprawy nauczycielki z Tczewa przewiduje się w terminie do

Nie idzie już tylko o aborcję, ale o indoktrynację i zakłamanie w życiu publicznym, w szkołach, o ten cały patriarchy.

Smolińskim – według pośła młode pokolenie „nie ma praktycznie żadnych hamulców moralnych w swoich zachowaniach”, a „organizatorzy tzw. spacerów w poszczególnych miastach zostaną pociągnięci do odpowiedzialności”.

6 listopada 2020 r. Emil Ochocki został zwolniony z pracy w państwowej Grupie Lotos SA, gdzie pracował kilkanaście lat. – Poproszono mnie na rozmowę do kadr – mówi – czekał tam na mnie doradca prezesa zarządu, a nie dyrektor, któremu

3 marca 2021 r. Rzeczników dyscyplinarnych i ich zastępców powołują wojewodowie. Według rozdz. 10 Karty nauczyciela rzecznik dyscyplinarny lub jego zastępcy wszczynają postępowanie wyjaśniające na polecenie organu, który ich powołał. Za zgodą tego organu kierują też wnioskiem o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego lub wydają postanowienie o umorzeniu postępowania wyjaśniającego. Sprawa Iwony Ochockiej jest zatem w rękach wojewody pomorskiego Dariusza Drelichy, do niego

► prowadzą wszystkie ścieżki. Tajemnicą poliszynela jest w Tczewie, że panowie Drelich i Smoliński świetnie się znają. A Barbara Leśniewska, którą protestujący pod urzędem nazywają inkwizytorem, to zaledwie narzędzie w rękach tych panów.

Wątpliwości budzą także same zarzuty postawione nauczycielce. Iwona Ochocka w oświadczeniu wspomina o nagraniach policyjnych, czyli o 15-sekundowym filmiku, który jest dowodem przeciw niej. Zastanawia to, czy obywatel może być nagrywany podczas manifestacji, której status do końca nie jest wyjaśniony prawnie (protestujący utrzymują, że demonstracje są spontaniczne,

Iwona Ochocka nie jest pierwszym nauczycielem ściganym za poglądy w związku ze strajkiem. Przed komisją dyscyplinarną za namawianie młodzieży do protestu miał się stawić Arkadiusz Ordyniec, nauczyciel historii z IX LO z Gdyni. W jego obronie wystąpiły władze miasta, marszałek województwa, pomoc prawną zaproponowała Pomorska Izba Adwokacka. Rozkręcono internetową akcję #muremzaOrdyniec, podobna jest w obronie Ochockiej. 29 grudnia rada rodziców otrzymała pismo z kuratorium, z którego wynika, że sprawa nie będzie miała dalszego ciągu. Ofiarą anonimowego donosu padła też nauczycielka Anna Gaszka

prasowa Anna Ostrowska informuje, że ministerstwo takiej statystyki nie prowadzi, i odsyła mnie do komisji dyscyplinarnych przy wojewodach.

Parasolek nie składamy

Iwona Ochocka jeszcze w piątek wieczorem, po rozmowie ze mną, jedzie na Strajk Kobiet do Malborka. W sobotę spotykamy się na strajku w Tczewie. Grupa zebrała się niewielka, ok. 50 mężczyzn i kobiet, bo wieczór przeraźliwie zimny i ponury. Za to determinacja duża i emocje gorące. – Nie będziemy siedzieć cicho! Jarek, o retę! Obalą cię kobiety! Koniec z waszą dyktaturą! Teraz chodzi już o wszystko! – skandują. Ludzie machają nam z balkonów, buczą klaksonami, jakaś starsza pani stoi w oknie i uderza w patelnię. Protest rozwiązuje się pod biurem poselskim Kazimierza Smolińskiego i europosłanki Anny Fotygi. O hasło „Teraz chodzi już o wszystko” pytam młode nauczycielki pod trzydziestkę z Malborka, Kwidzyna i Garde. Tłumaczą, że nie idzie już tylko o aborcję, ale o całą tę indoktrynację i zakłamanie w życiu publicznym, w szkołach, o niszczenie ekonomiczne niepokornych i ten cały patriarchat nie do zniesienia, zwłaszcza w Polsce powiatowej. – Dziś jest nas może mniej, ale za naszymi plecami stoją ci wszyscy ludzie z jesiennych manifestacji, oni wrócą. Wiemy to na pewno, jesteśmy dobrze zsieciani – podsumowuje Marcelina z Garde. – Stoimy też murem za Ochocką, mamy prawo do swoich poglądów – dodaje Martyna.

– Strajk idzie dalej, parasolek nie składamy – ogłasza trzy dni później pod urzędem wojewódzkim Lidia Makowska. – Dzisiaj o godz. 18 blokujemy Trójmiasto, Gdynia jedzie do Gdańska, a Gdańsk do Gdyni na klaksonach. W czwartek, 4 lutego, idziemy pod siedzibę PiS, a w sobotę pod Radio Gdańsk i gdańską telewizję i tak będziemy walczyć do skutku.

Na strajk do Tczewa zaprasza także po przesłuchaniu Iwona Ochocka: – Będę jak zwykle na czele, w żółtej kurtce, nic się nie zmienia.

W rozmowie ze mną nauczycielka przyznaje, że się obawia, ale protestować nie przestanie.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Chcą trzymać ludzi za pysk, zrobić z nauczycieli pas transmisyjny, tubę Kościoła i władzy.

a więc legalne). Poza tym czy takie nagranie, wykonane bez wiedzy osoby nagrywanej, policja może udostępniać innym podmiotom przeciwko tej osobie, czy to jest legalne? obrońca Ochockiej nie chce się wypowiadać, gdyż obowiązuje go tajemnica adwokacka. Opinie innych prawników są podzielone. – Kiedyś ludzie będą doktoraty robić na tych manifestacjach, tyle tam kruczków i niejasności – słyszę.

Jeżeli postępowanie wyjaśniające nie zostanie umorzone, tylko skierowane do komisji dyscyplinarnej, najniższą karą grożącą kobiecie według Karty nauczyciela jest nagana z ostrzeżeniem, a najwyższą wydalenie z zawodu.

z Żor, podobno za błyskawicę, którą zamieściła na Facebooku. Justynie Gąsior, polonistce w jednej ze świebodzińskich szkół, również zagrożono komisją dyscyplinarną za Strajk Kobiet. W jej obronie stanął burmistrz Świebodzic, powołując w grudniu nauczycielkę na stanowisko rzeczniczki praw kobiet w tym mieście. Zarzuty od rzecznika dyscyplinarnego otrzymał nauczyciel Michał Sporoń z Tarnowskich Gór, skargę do kuratorium wniosła na niego posłanka PiS Barbara Dziuk, za współorganizację protestu Piekło Kobiet.

Prawnicy z Pomorskiej Izby Adwokackiej radzą nauczycielom postawionym w takiej sytuacji nagłośnienie sprawy i poszukanie pomocy prawnej.

Artur Radwan, autor artykułu „Patologia w szkołach. Rzecznicy dyscyplinarni zarabiają na donosach” z marca 2020 r., pisał na Forsal.pl, że rzecznicy za zajęcie się skargą dostają nawet 450 zł specjalnego dodatku. Jeśli skierują sprawę do komisji dyscyplinarnej, kwota rośnie. „Choć od zaostżenia przepisów dyscyplinarnych wobec nauczycieli minęło zaledwie pół roku, do rzeczników działających przy wojewodach zaczęły lawinowo napływać skargi”, zwracał uwagę Radwan.

Pytam w Ministerstwie Edukacji i Nauki, ile postępowań dyscyplinarnych wszczęto wobec nauczycieli w ubiegłym roku oraz ile z nich dotyczyło Strajku Kobiet. Rzeczniczka

Profesorowi Bronisławowi Łagowskiemu

składamy szczerą kondolencję
z powodu śmierci

Żony

**profesor Elżbiety
Paczkowskiej-Łagowskiej**

koleżanki i koleżdy
z Instytutu Filozofii i Socjologii
Uniwersytetu Pedagogicznego
w Krakowie

Z Galicji



Jan Widacki

Kosiniak-Kamysz i latarnia

Amerykański socjolog Alexander H. Leighton napisał kiedyś, że „polityk może wykorzystywać wiedzę naukową tak jak pijak latarnię – nie po to, żeby się oświecić, ale po to, aby się podeprzeć”. To nader trafne spostrzeżenie upowszechnił w Polsce Stanisław Ossowski w znanej książce „O osobliwościach nauk społecznych”. Jest ono przypomniane od czasu do czasu, bo niestety pozostaje aktualne. Od końca absolutyzmu oświeconego zapotrzebowanie na naukę ze strony polityków ogranicza się zwykle do tej drugiej funkcji – podpórki. Wyjątek stanowiły może początki III RP. Wtedy z jednej strony zmieniła się klasa polityczna, do polityki weszli ludzie poważni, z uczelni, z redakcji, z wielu innych miejsc pracy, wszyscy z jakimś własnym, pozapolitycznym dorobkiem i doświadczeniem. Z drugiej zaś, entuzjazm i chęć udziału w przebudowie Polski były tak wielkie, że bez trudu (i bez kosztów) można było zebrać grono ekspertów z każdej potrzebnej dziedziny. Od samorządów, od gospodarki, od bezpieczeństwa, a nawet od polityki zagranicznej. Ale to już się skończyło, minęło, jak się zdaje, bezpowrotnie.

Polityk może wykorzystywać wiedzę naukową tak jak pijak latarnię – nie po to, żeby się oświecić, ale po to, aby się podeprzeć.

Ostatnio, chcąc (naprawdę?) przełamać impas w powoływaniu rzecznika praw obywatelskich, poseł Władysław Kosiniak-Kamysz zwrócił się do wszystkich dziekanów prawa w Polsce, by wskazali kandydata na ten urząd.

Kosiniak-Kamysz to nie szeregowy poseł, ale szef Polskiego Stronnictwa Ludowego, przewodniczący Koalicji Polskiej, niedawny pretendent do urzędu prezydenta RP. Jak nie potraktować poważnie prośby tak poważnej politycznie osoby? Dziekani porozumieli się między sobą, niektórzy zasięgnęli opinii swoich rad wydziałów. Dwie największe rady wydziałów prawa, mianowicie Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Warszawskiego, przeprowadziły nawet w tej sprawie głosowania. Rady te w głosowaniach poparły kandydaturę Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz. Tylko jeden dziekan – zgódźmy się, nie największego i najbardziej prestiżowego wydziału prawa – przedstawił, bez konsultacji z innymi dziekanami, kandydaturę

profesora, członka swojej rady. Wolno mu. Pozostali dziekani uznali, że nie wysuną żadnego nowego kandydata, tylko tak jak rady wydziałów prawa UJ i UW poparą kandydaturę mecenas Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz.

W związku z czym Koalicja Polska ustami swojego szefa, Władysława Kosiniaka-Kamysza, zgłosiła na urząd rzecznika praw obywatelskich... Roberta Gwiazdowskiego. Kandydaturę akurat na ten urząd raczej komiczną.

Tym razem obydwie funkcje latarni okazały się zbędne. Nie chodzi o to, że poseł Kosiniak-Kamysz potraktował dziekanów i kilka rad wydziałów prawa, a więc w sumie pewnie kilkuset profesorów, lekceważąco. Nie przydaliśmy się jako latarnia. Akurat oparł się na czymś (kimś?) innym. My to powiedzenie o pijaku i latarni znamy od dawna, dla nas to niby nic nowego. A jednak. Potraktowaliśmy posła Kosiniaka-Kamysza i jego prośbę poważnie, on nas nie bardzo. Jak widać, nic się nie zmienia.

Pomińmy zatem urażone środowisko profesorskie. Kto by się nim przejmował, zwłaszcza w PSL? Chodzi o coś zupełnie innego.

Gdyby w przyszłości już nie poseł Kosiniak-Kamysz, ale którykolwiek polityk zwrócił się do środowiska akademickiego z prośbą o radę czy opinię, wątpię, by ktoś taką prośbę potraktował poważnie i się nią przejął. Czy takiej opinii będą chciały udzielać rady wydziałów? Tracić czas, uzgadniać stanowiska? Jeśli ktoś jeszcze miał jakieś wątpliwości, która funkcja latarni politykowi może być w ogóle potrzebna, to dziś już nie ma.

A poza tym Leighton niepotrzebnie zawęził funkcje latarni tylko do oświetlenia i dawania oparcia. Jak wiemy z polskiej praktyki, latarnia może służyć pijakowi do kilku innych jeszcze rzeczy. Na przykład do oczyszczenia organizmu z wydaliny, którego czasem dokonuje pod drzewem, a czasem pod latarnią.

Sam nie wiem, dlaczego dałem się nabrać Kosiniakowi-Kamyszowi i uwierzyłem na chwilę, że szuka on światła.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Dołącz do naszej społeczności

Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Twitterze i Instagramie

Uwierzyli, że MSZ jest ich!

Byłem pierwszy z grona ambasadorów do odstrzału, bo myśleli, że człowieka bez politycznego poparcia najłatwiej usunąć

Rozmawia Robert Walenciak

Panie ambasadorze, jak pana odwoływali? Zadzwonili do pana Andrzej Papierz i powiedział: odwołuję pana?

– Pokażę panu te papiery... Aku-rat byłem na urlopie, bo córka miała urodziny i zimową przerwę w szkole. I bodajże 18 czy 19 lutego 2019 r. z Biura Spraw Osobowych, a może nawet od Papierza, dostałem informację, że minister Czaputowicz wystąpił o moje odwołanie. Tylko tyle. Natomiast w pierwszym dniu po powrocie z urlopu dostałem pismo z MSZ.

Że Papierz wypowiada panu stosunek pracy. Ambasadorowi!

– Niech pan zwróci uwagę – mam pismo z MSZ, ale nie mam żadnego dokumentu w tej sprawie od prezydenta RP! Zgodnie z konstytucją najpierw musi mnie odwołać prezydent. A cała reszta to już tylko administracja. Jak więc pan Papierz może pozbawić mnie stopnia dyplomatycznego i jeszcze mówić o wypowiedzeniu stosunku pracy? Czyli mamy paradoks, z którego wynika, że Papierz *de facto* postawił się wyżej od prezydenta RP. Ja o tym zawiadomiłem prokuraturę, ale pani prokurator Maryla Potrzyszczyńska odmówiła wszczęcia postępowania.

A jaki był oficjalny powód pana odwołania? Żle pan pracował?

– Najciekawsze jest właśnie datowane na 18 lutego 2019 r. pismo ministra Czaputowicza do prezydenta Dudy, które znalazłem, przeglądając dokumenty z mojej teczeki personalnej, do czego zgodnie z obowiązującymi przepisami miałem prawo: „Szanowny Panie Prezydencie, na podstawie art. 133 ust. 1 z dnia 2 kwietnia itd. oraz ustawy o służbie zagranicznej, jak i ze względów formalnych, wnoszę o odwołanie...”. Pytam więc, co znaczą te „względy formalne”? Spodnie mam za długie czy uszy za krótkie? To, że

w piśmie napisano „względy formalne”, oznacza tylko jedno – nie było żadnego powodu.

Chodziło o pretekst

Był pan zaskoczony tym, że pana odwołują?

– Do pewnego stopnia. Robiąc rachunek sumienia – nie widziałem żadnego powodu. Owszem, wiedziałem, że czynione były pewne manewry, np. w listopadzie odbyła się kontrola w ambasadzie w związku z zakupionym przez ambasadę samochodem. Przyjechał ów słynny już skądinąd pan Janusz Myczkowski, obecnie p.o. dyrektor Biura Spraw Osobowych (BSO), z jednym ze swoich podwładnych.

Bo kupił pan sharana?

– Nie dlatego, że kupiłem sharana, tylko nie dopełniłem procedury przetargowej. Pamiętam tę kontrolę. Siedzą przede mną i ten podwładny Myczkowskiego mówi do mnie: „Nie wiem, jak to w ministerstwie potrafią, ale tu żadnego uszczuplenia nie było”. Więc ja na to: „No, nie było, ale jeśli będą chcieli mnie odwołać, to trudno, proszę bardzo”. Nie dostałem nigdy żadnego protokołu pokontrolnego z tej ich właściwie lustracji.

Czy kupno samochodu może być naprawdę powodem do odwoływania ambasadora?

– Nie, ale chodziło o to, żeby mieć jakikolwiek pretekst. I to nie pretekst do mojego odwołania, bo oni odwołaliby mnie tak czy inaczej. Chodziło jedynie o to, że gdyby przyszli jacyś następcy, pan Papierz mógłby powiedzieć: odwołaliśmy, bo... I pokazać ten kwit. Chodziło o krycie jego osoby, a nie o pretekst do odwołania. To

jest ten mechanizm! A wie pan, co było dalej?

Sprawa przetargu na sharana trafiła do komisji w Ministerstwie Finansów.

– To było tak: przyjeżdżam do kraju 1 maja, już odwołany, i 15 maja dostaję pismo z Ministerstwa Finansów. Że zostało wszczęte postępowanie, na razie w sprawie, na wniosek dyrektora generalnego MSZ Andrzeja Papierza, i każą mi pisać wyjaśnienia. Napisałem. Za jakiś czas okazało się, że jest sprawa przeciwko mnie. W komisji dyscyplinarnej finansów publicznych.

Przestraszył się pan?

– Niech pan pomyśli: co mi realnie groziło? Żadnych pieniędzy nikt nie zmaltwersował, nikt niczego pod stołem nie wziął, tak? Mimo to rzecznik dyscypliny finansów publicznych wystąpił o udzielenie mi nagany. Jakiej nagany? Przecież ja w MSZ nie pracuję. Że zwolnią mnie z pracy? Proszę bardzo, tylko że ja już zostałem zwolniony. Chodziło o to, żeby mieć dowód, że Papierz dobrze zrobił. Wyłącznie o to. Byłem więc pewien, że oni mi tę nagany wlepią. Ale gdy mój prawnik poinformował mnie, że zostałem uniewinniony, bardzo się ucieszyłem, a jeszcze bardziej, kiedy sprawa się uprawomocniła. Zrozumiałem też, że do działań skierowanych przeciwko mnie nie było żadnych podstaw.

Jest pan już czysty.

– To miłe. Papierz ze swoimi akolitami trenowali na mnie również pewien tryb postępowania. Ja byłem pierwszy z grona ambasadorów do odstrzału, bo im się zdawało, że człowieka bez politycznego poparcia najłatwiej usunąć. Dla nich moje



Ambasador Jarosław Suchoples z Norhalilah Abdul Jalil – pierwszą sekretarz ambasady Malezji w Finlandii.

odwołanie stało się tym, czym dla floty japońskiej bitwa pod Cuszimą.

Pierwszym zwycięstwem, które daje siłę. Otwarcie zwycięskiej wojny.

– Tak. Wydawało im się, że ludzi, ambasadorów, tych spoza MSZ, można potraktować jeszcze gorzej niż tych z centrali. Nie przewidzieli, że taki lzydorczyk, jak się zirytuje, to może z nimi walczyć do upadłego, bo tutaj chodzi o jego dobre imię. Gdyby on był z MSZ...

...to uszy po sobie!

– Tak, właśnie! I to był ich poważny błąd w całej tej kalkulacji. Jednak gdy im się raz udało, potem drugi, uwierzyli, że mogą tego typu pozaprawne, bezprawne czy wręcz kryminalne kroki podejmować bezkarnie. Okazało się, że chyba jednak nie.

Ale wtedy uwierzyli, że MSZ jest ich!

– Tak się działo.

My nie mamy służb, to są amatorzy

Nie zastanawiało pana, dlaczego Papierzowi i jego grupie tak łatwo poszło opanowanie MSZ?

– Sam sobie zadaję pytanie, jak to możliwe, że człowiek po tylu skandalach dalej jest tym, kim jest. Po tej Bułgarii... Przecież on nie jest w MSZ od 2015 r. Był wiceministrem, teraz jest dyrektorem generalnym. Znajduję na to jedną odpowiedź – Polska jest totalnie zinfiltrowana przez różnego rodzaju służby, i to raczej nie nasze. Bo my nie mamy służb, to są amatorzy. Nie wierzy pan? To coś panu opowiem. Po odejściu z MSZ na początku sierpnia 2019 r. zacząłem pracę na Uniwersytecie w Jyväskylä. Akurat wtedy zaczyna się tam Rajd Finlandii. **Słynne fińskie szutry!**

– W internecie jest z tego okresu informacja, że Finowie aresztowali funkcjonariuszy ABW, którzy prześladowali swój samochód i chcieli sobie pojeździć po tych rajdowych trasach. OK, mogę się jedynie domyślać, że ludzie z ABW przyjechali do Jyväskylä zobaczyć, co tam robię, w ramach ochrony kontrwywiadowczej. Jeśli tak było, nie mam o to pretensji, to ich obowiązek. Tylko żeby zrobić z siebie takich... – nie mam słów po prostu – to już trzeba naprawdę... Bo jak macie, panowie,

zadanie, obojętnie, czy związane ze mną, czy nie, to zróbcie swoje i wyjeżdżajcie! A nie samochodem po trasie rajdowej jeździć i jeszcze dać się aresztować i zdekonspirować! Przecież jak Finowie się zorientowali, że jakiś obcy samochód po trasie jeździ, to podnieśli alarm i policja ten samochód zgarnęła. Kiedy przeczytałem o tej „przygodzie”, pół dnia pokładałem się ze śmiechu.

Dla mnie gorszące jest tempo, w jakim pana odwoływali. Z dnia na dzień! To prymitywne zachowanie.

– Myślę, że przesadzili. Pismo od prezydenta RP o moim odwołaniu przyszło ostatecznie dopiero 19 marca 2019 r., czyli później niż pismo z MSZ. Byłem ambasadorem do 31 marca. Natomiast ze względu na prawo pracy pozostałem pracownikiem ambasady, chociaż zwolnionym z obowiązku świadczenia pracy (ciekawie, że czegoś takiego jak zwolnienie z obowiązku świadczenia pracy w Kodeksie pracy po prostu nie ma), w randze radcy-ministra, do końca kwietnia 2019 r.

Zależało panu na tym, żeby być trochę dłużej?

– Tak, z bardzo prostej przyczyny – do końca roku szkolnego brakowało kilku tygodni. Chciałem, żeby córka skończyła szkołę. Uzgodziłem więc z kierownikiem placówki, którym siłą rzeczy został mój kolejny już zastępca, że mam prawo przebywać w placówce do końca kwietnia. Chociaż opinia z Inspektoratu Służby Zagranicznej wyraźnie twierdziła, że moje dalsze przebywanie na terenie ambasady jest „niepożądane”... Ale ostatecznie pozwolili do końca kwietnia mnie i mojej rodzinie zostać. Choć natychmiast zaczęli rozpuszczać plotki, że zabarykadowałem się w rezydencji. Takie głupstwa, proszę sobie wyobrazić... To wszystko zresztą było dziwaczne, bo moja żona jako pracownik ambasady miała prawo być do końca maja. Ale jej nie pozwolili. Na szczęście mam paru kolegów w Finlandii, więc córka szkołę skończyła. Dotrwaliśmy do końca roku szkolnego, choć incydentów nie brakowało.

Jakich?

– Opowiem panu o jednym. Obiecaliśmy córce, że na parę dni pojeździemy do Petersburga. Kupiliśmy bilety. A wtedy dyplomaci mogli do Petersburga pojechać bez wizy. Termin – 12 kwietnia 2019 r. Nie byłem ▶

► już ambasadorem, ale byłem radcą-ministrem w ambasadzie, cały czas zatem dyplomata w Helsinkach. I proszę sobie wyobrazić, że zupełnie niespodziewanie przyjechało z Warszawy dwóch panów, ówczesny dyrektor Biura Spraw Osobowych, obecnie ambasador w Atenach*, i ówczesny dyrektor Inspektoratu Służby Zagranicznej (ISZ), który, zdaje się, szykuje się obecnie do objęcia placówki w Jordani***. I zabrali mnie, mojej żonie i córce paszporty dyplomatyczne.

Po co?

– Cóż, wiedzieli, że wybieram się na tę wycieczkę. Powiedziałem o tym komuś z ambasady i to wystarczyło. Przyjechali więc, zabrali te paszporty. A to było dosłownie trzy godziny przed moim wyjazdem. I jeszcze ten dyrektor ISZ mówi do mnie: „Podobno ma pan takie świetne kontakty w Helsinkach! A ma pan swój prywatny paszport?”. Odpowiedziałem, że mam, a powinienem powiedzieć, że nie mam, bo zabieranie mi paszportu dyplomatycznego było przestępstwem. Jedyne przepisy, który mówi cokolwiek o paszportach dyplomatycznych, jest taki, że trzeba go zdać w ciągu dwóch tygodni po powrocie do kraju... No dobrze, zabrali nasze paszporty dyplomatyczne, a ten z ISZ jeszcze dogryzał: „Jak ma pan takie świetne kontakty, to pan sobie wizy załatwi w ambasadzie rosyjskiej”. To brzmi groteskowo, ale sprawa jest bardzo poważna. Dlaczego? Dlatego, że dyrektor Inspektoratu Służby Zagranicznej, odpowiedzialny m.in. za ochronę kontrwywiadowczą, wypycha ambasadora schodzącego z placówki w ręce Rosjan.

I co pan zrobił?

– Wystarczył jeden telefon mojej żony do ambasadorowej rosyjskiej, bo ja bym się do tego nie zniżył, ale żonie było żal córki. Cały rosyjski konsulat stał przede mną na baczność. To też wiele mi powiedziało. Konsul generalny Rosji wyszedł do mnie i powiedział: „Panie ambasadorze, to jest pani, która ma pańską sprawę załatwić”. Tylko poproszono mnie uprzejmie, żebym poszedł na drugą stronę ulicy i zdjęcia sobie zrobił.

Czyli miał pan kontakty.

– Finowie sami mi to mówili: „Pan zna historię naszego kraju lepiej od nas”, co jest w Finlandii sporym komplementem. Pamiętam, już po wizycie prezydenta Dudy był taki moment, że



Prelekcja na Uniwersytecie Szczecińskim.

naprawdę czułem się wzruszony. Do Helsinek przyjechał prezydent Islandii, a wiadomo – kontakty pomiędzy państwami północnymi mają specyficzny charakter. Ambasador Islandii urządził więc z tej okazji przyjęcie i zaprosił dziewięciu ambasadorów, w tym mnie. Bywałem również na takich imprezach, gdzie zapraszano tylko jednego obcego ambasadora. Kolega z Wielkiej Brytanii np. zorganizował spotkanie, w czasie którego omawiano istotne problemy bezpieczeństwa europejskiego, z brytyjskiego punktu widzenia. Wiedziałem, że zaproszonych będzie dziesięć osób z zewnątrz. Myślałem, że ambasadorzy wybranych krajów. Przyjeżdżam, a tu dziewięciu, nazwijmy to, wpływowych Finów i ambasador Polski. Nie USA, Niemiec czy Francji, tylko Polski... Wracając do imprezy u ambasadora Islandii, patrzę – przyjechał prezydent Finlandii. Wszyscy rozmawiamy, on stoi 3 m ode mnie, spogląda na mnie. Jak mówiłem, to było krótko po wizycie prezydenta Andrzeja Dudy, po tym jak dostałem od Finów Krzyż Orderu Białej Róży. Pokazuję więc baretkę i mówię: „Dziękuję, panie prezydencie”. Doszło do rozmowy. Zacząłem: „Panie prezydencie, ja właściwie powinienem panu się trochę bliżej przedstawić, jestem ambasadorem od niedawna...”. Wtedy prezydent Finlandii, pan Sauli Niinistö, od razu mi przerwał: „Panie ambasadorze, pan mi się nie musi przedstawiać.

U nas (w Finlandii) doskonale wiemy, kim pan jest”. To był dla mnie bardzo emocjonalny moment.

Trzeba nam było dać spokój

Czy nie ma w MSZ niezależnej oceny pracy ambasadora?

– Nie ma. Ocena placówki to też ciekawa rzecz. Mnie oceniano dwa razy. Oceniono, że praca placówki jest zgodna z oczekiwaniami. Co prawda, ambasador taki sobie, ale w sumie może być. Tylko że jedna z tych ocen została z całą pewnością napisana przez pracownicę ambasady. Nie jedną w życiu recenzję popełniłem i szybko takie rzeczy rozpracowuję, tym bardziej że codziennie czytałem clarisy przygotowywane przez moich podwładnych, więc materiału porównawczego miałem aż nadto. Ona to napisała, a jej koleżanki z Warszawy, z departamentu, nadały odpowiednią formę. Uważam, że to coś niedopuszczalnego, żeby pracownik ambasady oceniał ambasadora, swojego przełożonego, i pracę własnej placówki. A chodziło o to, żeby napisać np., że swoimi działaniami mogłem się przyczynić do kłeski wizyty prezydenta RP w Finlandii. Nie będę tego tematu rozwijał, chociaż to także pokazuje określone mechanizmy funkcjonowania wielu ludzi pracujących w MSZ.

Zawsze wydawało mi się, że ocena pracy ambasadora nie jest specjalnie trudna. Jeśli nigdzie go nie ma,

jeśli przysyła śmieci zamiast wartościowych informacji, to znaczy, że jest słaby.

– Regularnie wysyłałem do Warszawy moje analizy. W styczniu 2019 r. byłem w centrali MSZ i wtedy ówczesny szef Departamentu Polityki Europejskiej powiedział mi, że powinienem pisać bardziej analitycznie. Pomyślałem wtedy: „Człowieku, weź ty lepiej przeczytaj, ale tak dokładnie, co przesyłałem”. Pisałem ze swoich obserwacji, z tego, co wiedziałem z rozmów z przedstawicielami miejscowych władz i nie tylko, bo byłem w stanie bez problemu to zrobić. Mogę co do faktografii podeprzeć się jakąś prasą, mediami, ale to wszystko. **Otrzymywał pan z centrali zadania? Prośby o jakąś analizę?**

– Zdarzało się, ale raczej niezbyt często.

To po co pan tam był?

– Bo to ja miałem określić, czym ma się zajmować placówka.

I co pan wymyślił?

– O sprawach bezpieczeństwa już panu mówiłem. Kontakty gospodarcze! Mieliśmy bardzo wyjątkową sytuację w Helsinkach, to był okres, kiedy zaczęto likwidować wydziały promocji i handlu.

Które były spadkobiercami dawnych biur radców handlowych.

– Zacząłem więc dostawać sygnały, że będę musiał przejmować budynki po WPiH ambasady w Helsinkach, 600 m od ambasady. W porządku. Już nawet zacząłem się przymierzać, żeby zatrudnić jakąś firmę ochroniarską, bo ktoś tego budynku musiał przecież pilnować. Któregoś dnia tam zaszedłem, patrzę – wszystko na oścież pootwierane i jakiś facet topatą śnieg odgarnia. Przyglądam się – okazało się, że znam tego człowieka, to był prezes Polsko-Fińskiej Izby Gospodarczej. „Panie Tomku, co pan tu robi?”. A on na to: „Panie ambasadorze, zostałem kierownikiem Zagranicznego Biura Handlowego (ZBH) Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu w Helsinkach, my teraz tutaj będziemy”. Nikt mnie nawet o tym nie poinformował! Pewnie za parę dni wynająłbym do pilnowania tego budynku firmę ochroniarską! Bo nie wiedziałem, nie miałem informacji! **Obydwaj znaliście Finlandię...**

– Tak. On urodził się w Helsinkach, studiował handel zagraniczny w Kuopio. I we dwóch, ja – ambasador, on – kierownik biura PAIH, planowaliśmy

różne rzeczy. Sami to wymyślaliśmy! Myśleliśmy o seminarium energetycznym, górniczym, bo w Finlandii jest rynek na polskie maszyny górnicze, chociaż to rynek bardzo specyficzny. Tak jak rynek dla polskich podwykonawców. Na targach podwykonawców w Tampere PAIH miała swoje stoisko. Udało się ściągnąć dziewięć polskich firm, bo na tyle wystarczyło wtedy pieniędzy, ale to było w porządku, a ja na te trzy dni tam pojechałem, tłumaczyłem tym ludziom, na czym polega kultura biznesowa Finlandii, a oni się cieszyli, czuli dowartościowani, że tyle czasu ambasador im poświęca. Dobrze mi się współpracowało z kierownikiem ZBH. I wiedzieliśmy, co robić. Mieliśmy sporo pomysłów, tylko trzeba nam było dać spokój i trochę wesprzeć. Żałuję, że on już nie jest kierownikiem ZBH. Dlaczego? Niech pan o to pyta mędrców z PAIH. Będzie pan miał ciekawy materiał na następny artykuł.

Depesze liczone, nie czytane

A co by pan musiał zrobić, żeby być cztery lata w Finlandii?

– Najlepiej nie za wiele się wychylać. **Siedzieć cicho?**

– Pisać te clarisy... No, chyba że mam rację, że był plan, aby usunąć ludzi, o których powołanie postarał się minister Waszczykowski, a najwyraźniej był. Wtedy nic nie mogło pomóc... Zwłaszcza że nie byłem ambasadorem w jakiś specjalnie ważnym kraju z punktu widzenia tych, którzy chcieli zaprowadzić w MSZ własne porządki. Po 2017 r. nie groziła nam również żadna naprawdę ważna wizyta. Najwyżej ministrowie. Odpowiedź na pana pytanie jest taka, że im mniej o sobie przypominasz, tym lepiej.

Niewiele robić, za to często przyjeżdżać do Warszawy i odwiedzać z prezencikami centralę...

– I pisać te clarisy. A wie pan, jak oni je oceniają? Czytają je sporadycznie, za to je liczą. A najlepiej, żeby pan też, tak raz w tygodniu, wysłał jakiś tajny. Nieważne, co tam jest, tylko żeby pan go wysłał. Ja wiem, myśli pan, że zwariowałem, widzę, jak pan na mnie patrzy... Ale tak właśnie jest. Jak przyjechałem do Helsinek i rozmawiałem z moim zastępcą, co robimy z tymi depeszami tajnymi, on tak mnie instruiował: „Panie ambasadorze, myśmy niedawno mieli zalecenie od zastępcy

dyrektora Departamentu Polityki Europejskiej, żeby jak najmniej. Ale oni będą na baczność rozliczać z tego, ile pan wysłał! To mniej ważne, co tam jest, tylko żeby wysłać. Bo oni liczą. Wysłał pan, powiedzmy, 150 depesz – to dobrze. Wysłał pan 30 – słabo. Treść to sprawa drugorzędna. Tajne dochodzą bezpośrednio do gabinetu ministra i tam od czasu do czasu ktoś mu przeczyta albo położy na biurku”.

Bardzo fajny zastępca...

– Tak. Można było na niego liczyć. Proszę pana, ja już w Polsce od długiego czasu na stałe nie mieszkalem i zdążyłem się odzwyczaić od pewnych bizantyjskich obyczajów. Ale jak przyszedłem pierwszego dnia do ambasady, to personel techniczny podchodził do mnie w taki sposób, jakby zobaczył bóstwo. Oni wszyscy byli zgięci w pół. O, tak! A ja ich traktowałem po ludzku, bo byli najfajniejsi ze wszystkich. Najbardziej oddani swojej pracy. Poza tym zasada jest taka: nie daj Boże, żeby personel wyczuł u pana jakąś słabość, bo zaraz będzie próbował wejść na głowę. To jest taka stadno-plemienna mentalność.

No i zawsze każdy chce wiedzieć to, co najważniejsze – kto za takim ambasadorem stoi, jaka siła.

– Ja nie ujawniałem za bardzo, że *de facto* nie mam za sobą żadnego poparcia. Ale w ambasadzie chodziły najróżniejsze domysły, kto za tym facetem stoi. Ach! Opowiem panu historię! Kiedyś poszedłem do Jana Parysa, miałem do niego jakąś sprawę czysto prywatną. I przed jego gabinetem umówiłem się z panią, która miała zostać moim zastępcą. Widziałam, że wychodzę z jego gabinetu. I poszła fama, że jestem człowiekiem Parysa. A takich osób jak ta pani jest w MSZ cała masa. One po prostu żyją intrygą. Kombinują, kto ma jakie kontakty, kto jest od kogo, kto z kim się przespał, kto co może... Jeżeli więc zapytałby mnie pan, co należałoby zrobić z MSZ, to mam prostą odpowiedź: żeby zrobić porządek, a przy tym wyłuskać dla dobra państwa wszystkich tych, którzy są kompetentni, uczciwi i zaangażowani (a przecież przynajmniej trochę takich ludzi jest, tylko są rozproszeni i nie mają wsparcia w codziennej pracy, często są osamotnieni, a nawet z różnych pozamerytorycznych powodów marginalizowani), należałoby ministerstwo rozwiązać, zmienić nazwę, poskładać ▶

▶ od nowa. Z ludźmi na placówkach zawrzeć kontrakty jedynie do końca ich kadencji. Powołać jakąś w miarę niezależną komisję – co w polskich warunkach zawsze będzie dużym problemem, bo u nas wszystko musi być upolitycznione poza granice rozsądku – która by kwalifikowała czy weryfikowała wyłącznie ze względów merytorycznych. I to wszystko. To nie byłaby trudna operacja. Pomijam już fakt, że w MSZ jest kilkaset wakatów. A wie pan, dlaczego? Bo budżet idzie za etatami. A jak mają wakaty, to dostają pieniądze, których nie wydają, czyli oszczędzają. To jest po prostu instytucja, która utraciła swoją funkcjonalność.

Niczego nie naprawili, a co było do popsucia, popsuli

A czyja to wina?

– Wszystkich poprzednich ekip, bo to jest proces, to się nie dzieje z dnia na dzień. Natomiast ci, którzy obecnie są u władzy, odpowiadają za to w największym stopniu, bo rządzą już sześć lat i niczego nie naprawili, a wszystko, co jeszcze było do popsucia, popsuli. Te wszystkie opowieści o dobrej zmianie można spokojnie między bajki włożyć. Przecież MSZ nie jest dzisiaj ani instytucją kreującą politykę zagraniczną RP, ani nią zarządzającą (bo czegoś takiego, niestety, nie ma; poza tym MSZ pozbawiane jest kolejnych kompetencji). Co najwyżej administrującą placówkami, uwikłaną w jakieś głównie personalne gierki. Te wszystkie warstwy patologii, które tworzyły się pod rządami kolejnych ekip politycznych, obecnie rządzący przejęli, czyniąc to we własnym (nie państwa, tylko dostojnie własnym) interesie. I dodali swoje.

Jak zatem jest teraz?

– Co jest teraz najgorsze? Całkowite uzależnienie od służb. No bo Papierz itd. A wszyscy oczywiście się go boją, bo to kolega ministra Kamińskiego, więc po co zadzierać. Cała ta kamaryla powinna stracić robotę z dnia na dzień. A jak Papierz się przechwalał, że jego największym sukcesem było wywalenie z pracy ostatnich 20 czy 30 absolwentów MGIMO, pomyślałem sobie, że to była wielka strata. Jeżeli ja miałbym ludzi po tej rosyjskiej szkole, którzy wiedzą, jak to funkcjonuje, którzy mają dużą praktykę, których lojalność nasze służby

mogłyby przecież co jakiś czas weryfikować, nie patrzyłbym na nich jak na potencjalnych szpiegów, tylko starałbym się ich wykorzystać. A tutaj... Trzeba w gazetach powiedzieć, żeśmy komunistów usunęli, bo to bardzo medialne i po linii. I tak to się kończy.

Znam kilku absolwentów MGIMO.

Bardzo kompetentni dyplomaci.

Byli dyplomaci.

– Kompetentni, kulturalni, obcy. Do dziś mam kontakt z panią ambasadorką rosyjską, która była w Malezji, bo współpracowałem m.in. z Rosyjskim Centrum Nauki i Kultury w Kuala Lumpur. Nawet pomogłem im urządzić jedną wystawę. Później została dyrektorem wydziału azjatyckiego w rosyjskim MSZ, a teraz, zdaje się, jest w Indonezji. Dziecko radzieckich dyplomatów, wychowała się w Laosie, może pracować w regionie, bo *de facto* jest stamtąd. Oni mają świetną szkołę językową. Kształcą w różnych egzotycznych językach. Mają ludzi! A u nas? U nas nie umieją o mobbingu nauczyć, a będą laotańskiego nauczać? Pan żartuje... Widzi więc pan – to, o czym rozmawiamy, to nie jest temat na materiał prasowy. To temat na książkę. Bo trzeba nim w końcu zainteresować opinię publiczną, żeby się dowiedziała, jak to jest z tym naszym MSZ. Nie, kto jest Żydem, Ruskiem czy miał dziadka w Wehrmachcie, ale jak to nie działa. I dlaczego. Nie, kto był komunistą, kto był tatą tego, a żoną tamtego (choćby przyznając, że czasem to ma

znaczenie, ale przecież coś takiego można w każdym przypadku poddać dokładnej weryfikacji), tylko że ta struktura, instytucja nie wypełnia swoich zadań. My nie mamy polityki zagranicznej. A zamiast realnych prób naprawy mamy wprowadzanie ustawowo nowej tajemnicy państwowej – dyplomatycznej. Po co? Po to, żeby móc nią objąć wszystkie szwindle i niegodziwości popełniane przez wysoko postawionych urzędników MSZ i po prostu ukryć je przed opinią publiczną. Dlatego nie jestem optymistą, jeśli chodzi o przyszłość zarówno samego ministerstwa, jak i polskiej polityki zagranicznej, która stała się zakładnikiem różnych dziwacznych grup interesu, a ponadto zaledwie funkcją polityki wewnętrznej tej całej niby-Zjednoczonej Prawicy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

* Artur Lompart. W MSZ zajmował drugorzędne stanowiska (najwyższe – dyrektor Biura Rzecznika Prasowego), zanim w czasach Andrzeja Papierza został dyrektorem Biura Spraw Osobowych. Nie zajmował się sprawami europejskimi.

** Lucjan Karpiński. W MSZ od 2008 r. Od 2010 r. na placówce w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie zajmował się sprawami ekonomicznymi, pełniąc równocześnie funkcję wicekonsula. Następnie pracował w Departamencie Konsularnym, zajmując się ewakuacją Polaków z terenów zagrożonych konfliktami i pomocą polskim turystom w sytuacji bankructw biur podróży. Od dwóch lat jest szefem Inspektoratu Służby Zagranicznej.

ŻYCIORYSY LUDZI PAPIERZA MÓWIĄ WSZYSTKO

W relacjach ambasadorów Izydorczyka i Suchoplesa przewijają się jeszcze trzy nazwiska: Moniki Zuchniak-Pazdan, Radosława Gruka i Janusza Myczkowskiego.

Monika Zuchniak-Pazdan, dyrektor Biura Dyrektora Generalnego, była przesłuchiwana przez sejmową Komisję Spraw Zagranicznych w październiku 2020 r. jako kandydatka na stanowisko ambasadora w Albanii. Jej dyplomatyczne CV przedstawiane było tak: „Od 2007 r. jest pracownikiem MSZ. W tym czasie pełniła głównie funkcje związane z obsługą konsularną w centrali i na placówkach. Była na placówce w Bułgarii, Rydze, Bejrucie i Wilnie”.

Radosław Gruk w czerwcu 2020 r. przedstawiany był w Sejmie jako kandydat na ambasadora w Uzbekistanie i Tadżykistanie. Karierę rozpoczął w 1999 r. w MSWiA, „gdzie zajmował się sprawami z zakresu obywatelstwa polskiego”. Następnie pracował w Urzędzie ds. Repatriacji i Cudzoziemców. Do MSZ trafił w roku 2003 i objął stanowisko wicekonsula w Sankt Petersburgu. Potem był konsulem w Podgoricy i Alma Acie. Po powrocie z placówki został powołany na stanowisko zastępcy dyrektora Biura Spraw Osobowych MSZ.

Janusz Myczkowski na placówkę jeszcze nie wyjechał. Jest szefem Biura Spraw Osobowych, którą to funkcję pełni, tytułując się „zastępcą dyrektora, kierującym biurem”. Co oznacza, że nie ma formalnych kwalifikacji, by być pełnym dyrektorem. Również dla niego MSZ nie jest pierwszym miejscem pracy.



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Znowu zwycięstwo w przegranej wojnie

Zsadystyczną satysfakcją sięgam po kolejne doniesienie mediów o najściślej tajnych ćwiczeniach polskiej armii Zima-20, które w swoim wirtualnym przebiegu wykazały nieistnienie polskich mocy obronnych, bezsilność polskich wojsk w powietrzu, na morzu i na lądzie. Polska armia w konfrontacji z przeciwnikiem ze Wschodu (któż to mógł tak się zamachiwać na naszą ojczyznę, która wydała papieża Polaka i najśłynniejszych żołnierzy na świecie?) miała trzymać gardę przez 22 doby, a *de facto* zniknęła z powierzchni ziemi po pięciu dniach, po czterech Warszawa była otoczona i po ptakach. Warto dodać, że w ćwiczeniach polska armia była wyposażona w broń, którą nie dysponuje, a o której lubi się wypowiadać zakupująca ją władza: zestawy przeciwlotnicze Patriot, wyrzutnie rakiet M142 HIMARS i wielozadaniowe samoloty F-35.

W wirtualnym przedsięwzięciu bojowym wzięła udział rekordowa liczba kilku tysięcy oficerów. I co? I nic. Autorzy Onetu donoszą: „Lotnictwo i marynarka wojenna przestały istnieć, mimo wsparcia NATO. Na wschód od Wisły polskie jednostki miały ponieść druzgocącą klęskę. Pierwszorutowne bataliony straciły od 60 do 80% stanów”. Podobno taki przebieg tego dobrozmiannowego blitzkriegu 2020 miał wzbudzić „konsternację”. Ale dlaczego? A poza tym to chyba nieprawda. Przebieg klęski obserwował minister obrony Mariusz Błaszczak i – warto to podkreślić – formalny zwierzchnik sił zbrojnych, prezydent Andrzej „Siedzę cicho od wielu miesięcy” Duda. Jaka więc konsternacja? Jest twardy, godny marszałka Rydza-Śmigłego z września 1939 r., komentarz obu fachowców. „Dowództwo wszystkich szczebli dało radę i jest to świetna rekomendacja na przyszłość. Wszystkim, którzy w tym uczestniczyli i którzy to przygotowywali, należy się bardzo wysoka ocena”, powiedział prezydent. Według szefa MON „trzeba ćwiczyć, żeby dochodzić do doskonałości”. „Było to ćwiczenie rzeczywiście niezwykle istotne, które pod względem skali nie miało sobie równych w III RP”, podkreślił Błaszczak.

Czego tu nie rozumieć? Jest wielka improwizacja, jest od lat festiwal niekompetencji na najwyższych stanowiskach w armii, są nietrafione albo nieprzeprowadzone przetargi, byli Misiewicz i Macierewicz, są Błaszczaki i Dudy – są adekwatne efekty. I duma z nich. Problemem nie jest nawet to, że tych przypadkowych ludzi na takich stanowiskach w państwie nie stać na uczciwe – wobec żołnierzy i nas, obywateli – oceny i wnioski. Taką impotencję komunikacyjno-rozpoznawczą mają wbudowaną

systemowo. PiS chyba jednak swoich czipuje bez konieczności szczepienia. Każda inna reakcja na taki wymiar porażki byłaby czymś niezwykłym, ale jej nie było. Bo fabrycznie mają oni wbudowane wyparcie, kłamstwo jest naturalnym odruchem, a głupkowaty uśmiech i patriotyczne nadęcie tworzą korpus tego projektu.

Problem jest zapewne poważniejszy i powinni o nim debatować dowódcy wojskowi. Z mojej perspektywy pojawiają się inne pytania. Co tak naprawdę oznaczają te mocne wskaźniki klęskotwórcze? Czy taka armia jest Polsce do czegoś potrzebna? A nam? Może trzeba zapytać, dlaczego aż pięć dni? A kto nas w ogóle zaatakował? I dlaczego to Rosja? Po co? Nie można było wymyślić czegoś jeszcze bardziej surrealistycznego? Wyspy Owczę? Luksemburg? Korsyka? To byłoby coś. Może wtedy nie musiałoby być tak szybko i boleśnie? Może mogło być inaczej? Może Korsykanie nie doszliby w trzy dni do Wisły...

Oglądamy totalny kryzys całej wizji obronności polegającej na tradycyjnie uzbrojonej i wyposażonej armii.

Ale biorąc sprawę poważnie, oglądamy totalny kryzys całej wizji obronności polegającej na tradycyjnie uzbrojonej i wyposażonej armii, na filozofii politycznej sojuszków wojskowych (NATO nie miało na klęskę polskich ćwiczeniowców żadnego wpływu – oprócz tego, że kilka krajów na okrągło usiłuje nam opchnąć kolejne cuda techniki), na pomysły, że zadaniem patriotyczno-wojennym możemy zagwarantować Polsce jakieś poczucie bezpieczeństwa. Może to jest moment, żeby zapytać o inne formy takiej obrony? Może jednak nie rakiety ani F-35 (których zresztą nie mamy), tylko dyplomacja i budowanie sojuszy politycznych?

A może należy wrócić do propozycji wypowiedzenia wojny Czechom i natychmiastowego poddania się? Chociaż polscy żołnierze pogranicznicy w obronie jakiejś „polskiej” kapliczki kilka miesięcy temu wtargnęli i zagarnęli kilkaset metrów czeskiej przestrzeni, wycofali się cichaczem, bez żadnych zysków i – co cieszy – podobno bez strat.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Pół miliona szczepionek dziennie

W Wielkiej Brytanii każdy ma dotrzeć do miejsca szczepienia w ciągu najwyżej 45 minut, co przeliczono na 18 km

Tomasz Borejza

Do początku lutego ponad 9,6 mln mieszkańców Wielkiej Brytanii przyjęło już pierwszą dawkę szczepionki przeciw COVID-19. W najlepszym dniu zaszczepiono prawie 500 tys. osób. Rząd deklaruje, że do połowy lutego zaszczepi 15 mln osób. Czyli niemal wszystkich należących do grup największego ryzyka. Plan na wiosnę to kolejne 17 mln osób – w sumie 98% zagrożonych mieszkańców. Zaszczepienie wszystkich dorosłych w Wielkiej Brytanii to cel na wrzesień tego roku.

Brytyjski sukces – szczepią naj-
szybciej w Europie – jest wynikiem przede wszystkim dobrego zarządzania. Dzięki temu udało się uniknąć chaosu w podejmowaniu decyzji i bardzo wcześniej przygotowano projekt największej akcji szczepień w historii kraju. Ruszyła ona wcześniej, niż inni dopuścili szczepionki. Prace nad programem rozpoczęto w Londynie w połowie zeszłego roku. Wiedzano, że na jego realizację trzeba będzie poczekać, ale chciano, by wszyscy wiedzieli, co mają robić, kiedy pojawi się pierwsza szczepionka. Tak też się stało, ale efektem było i to, że w ciągu 2020 r. zamówiono aż 357 mln sztuk preparatu.

Brytyjczycy zamawiali we wszystkich firmach, których badania zapowiadały powodzenie. Dzięki temu udało im się zapewnić sobie 40 mln szczepionek Pfizera i 100 mln opracowanej w Oksfordzie szczepionki koncernu AstraZeneca, który centralę ma w Londynie. Odpowiednio wcześniej zadano nawet o hurtowe zakupy strzykawek, ponieważ eksperci przewidzieli, że może ich na rynku brakować lub będą droższe. A także o wsparcie dla Astrazeneki w produkcji i pakowaniu szczepionek przeznaczonych na rynek brytyjski. Pomóc miały bliskie relacje urzędów z firmami farmaceutycznymi. To z jednej



Pierwsze szczepionki podano już w grudniu.

strony jest przedmiotem licznych zarzutów, ale z drugiej dowodzi, że w takich sytuacjach narodowość kapitału ma znaczenie.

Ekspresowe dopuszczenie szczepionki

Jesienią ub.r. brytyjski rząd postanowił zmienić przepisy związane z dopuszczaniem do użytku nowych leków – głównie szczepionek. Między

czekać na ostateczny raport z badań klinicznych – oceniali dane udostępniane w trakcie ich prowadzenia. Użycie pierwszej szczepionki dopuszczono już 2 grudnia, a do połowy miesiąca Londyn dysponował milionem sztuk. Członkowie rządu głośno mówili, że to dzięki wyjściu kraju z Unii i możliwości ominięcia rozbudowanej biurokracji Brukseli. Podobny powód wskazują w sprawie szczepionki oxfordzkiej. Brytyjczycy

Osoby, dla których dystans 18 km jest zbyt duży, mogą się zaszczepić np. w lokalnej aptece.

innymi zwolniono koncerny z części odpowiedzialności za ewentualne niepożądane efekty uboczne, ale też zadano, by cały proces w sytuacji zagrożenia zdrowia publicznego przebiegał tak szybko, jak to możliwe.

Brytyjski urząd regulacyjny pracował nad tym, zanim jeszcze Pfizer ogłosił, że ma skuteczną szczepionkę. Urzędnicy i eksperci nie musieli

zaczęli ją wykorzystywać znacznie wcześniej niż Unia. Także dostawy zabezpieczono znacznie wcześniej, bo rząd podpisał umowę trzy miesiące przed Brukselą.

Europejska prasa zwracała jednak uwagę, że dopuszczenia przyspieszono, wykorzystując przepisy unijne, a szybkość pierwszych dostaw była raczej wynikiem wyłaniania się

z mechanizmu solidarnego podziału zamówień. Racja leży gdzieś pośrodku, co nie zmienia faktu, że pierwsze szczepionki podano w grudniu. Jednocześnie uruchomiono masowe szczepienia seniorów i z tygodnia na tydzień zwiększano ich tempo. Szybko przekroczono milion dawek tygodniowo.

Kto, kiedy i gdzie?

Starannie rozplanowano także sieć punktów szczepień, biorąc pod uwagę demografię oraz przewidywane potrzeby w różnych miastach i regionach. Wykorzystano przychodnie, apteki i szpitale. Stworzono poza tym 17 wielkich centrów szczepień, m.in. na stadionach i w centrach konferencyjnych. Docelowo ma ich być ok. 50, a w niektórych szczepić ma aż 1,2 tys. lekarzy. W akcję włączono również sieciowe supermarkety. Starano się, by każdy mógł dotrzeć do miejsca szczepienia w ciągu najwyżej 45 minut, co przeliczono na 18 km. W przypadku osób, dla których taki dystans jest zbyt duży, przewidziano możliwość wcześniejszego telefonicznego umówienia się w innym miejscu, np. w lokalnej aptece. Zaczęto też eksperymentować z całodobowymi centrami szczepień.

Dużą pomocą było to, że w większości przychodni lekarzy rodzinnych na Wyspach systemy telefonicznej oraz internetowej rezerwacji wizyt działają od dawna, więc Brytyjczycy wiedzą, jak z nich korzystać, gdzie dzwonić i w jaki sposób najwygodniej się umówić. Mimo to do wszystkich osób z grup ryzyka wysłano listy, by poinformować ich, co, kiedy i w jaki sposób zrobić.

W jasny sposób ustalono kolejność osób, które zostaną zaszczepione. Zaczęto od rezydentów i pracowników domów opieki, seniorów, którzy skończyli 80 lat, i służb medycznych. W kolejnych etapach są szczepione osoby coraz młodsze i te, które z różnych powodów są szczególnie narażone na zgon z powodu koronawirusa. Do połowy lutego mają zostać zaszczepieni wszyscy, którzy skończyli 70 lat. A do wiosny grupa 50+, co w sumie ma zapewnić ochronę 99% zagrożonych osób. We wrześniu zaszczepieni mają być już wszyscy. Możliwe, że do szczepionych w pierwszym okresie oprócz nauczycieli, pracowników

ochrony zdrowia i opieki społecznej zostaną włączeni także kurierzy i personel supermarketów.

Narodowy pragmatyzm

By przyspieszyć akcję, Brytyjczycy zwiększyli odstęp między podaniem pierwszej i drugiej dawki. Zrobili to, by pierwszą otrzymało możliwie szybko jak najwięcej osób – szczególnie należących do grup ryzyka. A wiosną, kiedy sytuacja się poprawi, będzie dobrym czasem na podanie drugiej dawki.

Nie obywa się oczywiście bez problemów, które muszą się pojawić

przy akcji prowadzonej w takiej skali. Słychać także krytykę dotyczącą zbyt bliskich relacji rządu i firm farmaceutycznych, w tym zapewnienia im dość dużej ochrony przed odpowiedzialnością za ewentualne powikłania. Samo tempo szczepień jest jednak imponujące. Tak samo jak to, w jaki sposób i z jak dużym wyprzedzeniem zaplanowano ogólnokrajową akcję. To pokazuje, w jaki sposób myślą urzędnicy i eksperci, u których da się dostrzec najważniejszą cechę narodową Brytyjczyków – pragmatyzm. Ale również skupienie na efektach tego, co się robi.



wishsurfing

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Anna Konopacka

16 stycznia Kazimierz Bożek w swoim domu pod Częstochową otwiera pocztę elektroniczną. „Z przykrością informujemy, że lot z Katowic do Oslo Torp 31 stycznia 2021 r. został odwołany”. Jeszcze nie wie, że do Oslo dotarł już zmutowany wariant brytyjski koronawirusa i na razie o żadnym wyjeździe nie będzie mowy.

– Znalazłem wtedy busa na 29 stycznia. Najlepsze połączenie – chwali Kazimierz. – Z Katowic zawieźliby mnie do Grimstad, gdzie pracuję. Żeby wjechać do Norwegii, trzeba mieć ujemny wynik testu na koronawirusa. Wtedy na granicy testy z Polski były ważne przez 72 godziny, więc myślę sobie: zdążymy.

Zasypia spokojnie.

23 stycznia media donoszą o olbrzymim ognisku koronawirusa na budowie w centrum Oslo. Agencja prasowa NTB rzuca cień podejrzenia o przywleczenie wirusa na pracowników z Polski. Internet wrze od uszczypliwych komentarzy. Mimo to jeszcze nic nie wskazuje, że Kazimierz nie zdąży wrócić do pracy na czas.

Sprzątaczkom z Polski mówi się, żeby nie przychodziły do pracy czy nie wykonywały zleceń w domach prywatnych.

25 stycznia dziennikarze norweskiej telewizji NRK publikują materiał o tym, jak udało im się w dwie godziny kupić w Polsce podrobiony negatywny wynik testu na koronawirusa za jedyne 150 zł w bitcoinach.

Rząd norweski wprowadza nowe obostrzenia. Teraz test ma zostać wykonany już nie na 72, ale na 24 godziny przed wjazdem do Norwegii. Z tego powodu bus Kazimierza zostaje odwołany. Kazimierz rezerwuje lot z Warszawy.

27 stycznia NRK daje kolejny sensacyjny nagłówek: 17 480 osób z Polski i Litwy zostało poddanych testom na koronawirusa po przekroczeniu norweskiej granicy. W tym samym czasie zarejestrowano prawie 31 600 nowych kart SIM tylko z tych dwóch krajów.

Na wieczornej konferencji premier Norwegii Erna Solberg ogłasza

Polak Polakowi zamknął granicę?

Najpierw pojawiły się artykuły sugerujące, że Polacy przywożą zarazę. Potem Norwegia przestała wpuszczać obcokrajowców

zamknięcie granic norweskich dla obcokrajowców w nocy z 28 na 29 stycznia.

Gorsi z D-nummerem

Kazimierz początkowo nie zafatmuje ręk. – Ogłoszono to o pół do siódmej wieczorem. Myślałem, co tu zrobić, bo została tylko doba. Zamykają niby na dwa tygodnie, ale moim zdaniem to potrwa do Wielkanocy. Szybka decyzja. Razem ze znajomymi z okolicy, którzy ze mną pracują, w dwie godziny spakowaliśmy wszystko i wyjechaliśmy. Trzeba jechać przez Niemcy i na Danię,

prawnych Polakom w Norwegii i pomaga im załatwiać sprawy urzędowe. – Wśród pracujących tu mamy dwie grupy. Pierwsza to osoby, które mieszkają w Norwegii na stałe, czyli zgłoszyły przeprowadzkę i mają tujejszy *fødselsnummer* – odpowiednik naszego numeru PESEL. Druga to pracownicy tymczasowi, którzy rodzinę mają w Polsce i do niej jeżdżą. Są to m.in. pracownicy sezonowi lub rotacyjni. Ci ostatni bardzo często się przemieszczają. Na przykład mogą dwa tygodnie pracować w Norwegii, a potem na dwa kolejne wracać do Polski. I tak w kółko. Pracownicy tymczasowi do identyfikacji otrzymują *D-nummer*. I właśnie te osoby nie mogą w tej chwili wjechać do Norwegii aż do 14 lutego. O ile obostrzenia nie zostaną przedłużone. Można pracować tu od 10 lat, od 10 lat wynajmować mieszkanie, ale ciągle mieć jedynie *D-nummer*, bo nie każdy potrzebuje numeru związanego ze stałym pobytem i nie każdy, kto się stara o *fødselsnummer*, go dostaje. Te osoby czują, że wprowadzone obostrzenia są niesprawiedliwe.

Kazimierz siedzi w dużym pokoju i patrzy w podłogę. – Ja do tej Norwegii jeżdżę sezonowo już 23 lata. Postanowiliśmy z żoną, że wreszcie spróbujemy czegoś innego. Że pójdę tam do stałej pracy. W październiku podpisałem umowę w firmie remontowo-budowlanej. Kupiłem samochód na norweskich tablicach. Wielu Polaków jeździ polskimi autami, ale mój szef powiedział, że to nielegalne. A ja zaczynam od nowa i chciałem mieć wszystko w porządku. Teraz samochód stoi, płacę tam za mieszkanie, a oni do pracy mnie nie chcą wpuścić. Z jakiego powodu? Bo



W nocy z 28 na 29 stycznia Norwegia zamknęła granice dla obcokrajowców.

mam tylko *D-nummer*? Tych ze starymi numerami wpuszczają, ale my przecież też pracujemy, odprowadzamy podatki i to nie jest w porządku. Gdyby nie te testy na ostatnią chwilę, może byśmy zdążyli, ale tłumaczenia przeważały. Szwedzki, duński, francuski, a gdzie tam Francja przecież, a polskiego nie. To jest nie *fair*, to jest razism jednym słowem. A Norwegowie tylko się z tego śmieją, na nas zrzucają winę i piszą o tym w internecie.

Jesteś z Polski, jesteś podejrzany

– Rzeczywiście mamy całą serię artykułów o Polakach, które budują negatywną narrację – potwierdza Krzysztof Jura. – Polacy są największą grupą obcokrajowców w Norwegii, dlatego to nam się obrywa. Artykuły NRK były wyraźnie skierowane przeciw nam. A komentarze pod tymi artykułami czy na forach są jednoznaczne – że Polacy przywożą pandemię, Polacy przenoszą zarazę. Na szczęście nie wszyscy Norwegowie dają się złapać na ten haczyk. My również tego nie akceptujemy. Bo zawsze trzeba spojrzeć szerzej. Na przykład prowokacja dziennikarska NRK o tym, że ktoś w Polsce zapłacił bitcoinami za fałszywy test. Po pierwsze, legalny test antygenowy kosztuje podobnie, a wynik możemy

otrzymać już w ciągu 15 minut. Po drugie, zdecydowana większość osób, które się z nami kontaktują, nigdy nie korzystały z kryptowalut. Żeby dokonać takiej płatności, trzeba najpierw zadać sobie trochę trudu, by dowiedzieć się, w jaki sposób to zrobić. Poza tym opisany w artykule test był wystawiony nie przez polskie, ale przez brytyjskie laboratorium. Chwytliwy tytuł, a problem wydaje się marginalny i sztucznie rozdmuchany. W NRK pojawił się również artykuł jednoznacznie sugerujący, że do Norwegii bezpośrednio po świętach przyjechało dwa razy więcej osób z Polski i Litwy niż wykonano obowiązkowych testów na granicy. Obliczono to na podstawie liczby kart SIM, które zalogowano w pierwszych dwóch tygodniach tego roku. Kiedy wczytamy się w artykuł, nie musimy nawet polemizować z jego treścią, ponieważ sami autorzy przyznają, że dane mogą nie być wiarygodne. Ale negatywny przekaz trafia do wielu osób.

Zgłaszają się do nas ludzie, którzy z tego powodu spotykają się z dyskryminacją w pracy. Na przykład sprzątaczkę z Polski, którym mówi się, żeby nie przychodziły do pracy czy nie wykonywały zleceń w domach prywatnych. Zdarzył się przypadek, że opóźniano przyjęcie do szpitala Polki w ciąży. Była masa pytań, bo przecież w Polsce tyle zachorowań.

I ta kobieta musiała się tłumaczyć, że w kraju nie była od dwóch lat. Dopiero wtedy została przyjęta. Kolejna sytuacja, w której interweniowaliśmy, jest z branży rybnej. Pracownicy z Polski w jednej z firm przetwórczych musieli pracować w maseczkach, mimo że byli cały czas w Norwegii, nigdzie nie wyjeżdżali. A Norwegowie maseczek nosić nie musieli.

– Te wszystkie nastroje z pewnością przyczyniły się do wprowadzenia najnowszych obostrzeń. Główną przyczyną jest oczywiście mutacja koronawirusa z Wielkiej Brytanii w Oslo – tłumaczy dalej Jura. – Jak czytamy na stronie rządowej, tak radykalne zmiany wprowadzono, żeby zapobiec sytuacji, która ma miejsce w innych krajach, gdzie po spadku liczby zakażeń możemy obserwować ich gwałtowny wzrost. Ale znaczenie mogła mieć również presja mediów, społeczeństwa oraz opozycji. Negatywne artykuły prasowe, komentarze w mediach społecznościowych, obawa przed odpowiedzialnością w razie możliwego gwałtownego wzrostu zachorowań. Nie była to łatwa decyzja, bo trafia również w norweski przemysł, szczególnie w sektor budowlany. Z zapowiedzi przedstawicieli norweskich pracodawców wynika, że przez dwa tygodnie mogą sobie poradzić. Wiele firm rozwiązuje to przez zamianę rotacji: pracownicy, którzy mieli teraz wrócić do Polski, zostają dłużej, żeby zachować ciągłość funkcjonowania przedsiębiorstwa. Ciągłości pracy nie zachowują natomiast ci, którzy są teraz w Polsce i właśnie mieli na swojej rotację wrócić.

Co teraz robić?

– Jestem elektrykiem, pracuję w Oslo – opowiada Daniel. – Dwa tygodnie pracuję i na tydzień wracam do domu. Przyzwyczaiłem się i tak mi pasowało, bo chcę się widywać z rodziną. Nie muszę ich widzieć długo, byle często. W marcu, kiedy wprowadzono pierwsze obostrzenia, zostałem na 11 tygodni. Mogłem wtedy wrócić i na początku chciałem. Pierwszy lot do Polski odwołano, kupiłem nowy bilet za ponad 1000 zł, ale później na spokojnie wszystko przemyślałem. Nie wiadomo było, co będzie w Polsce. Postanowiłem

zostać. Sam, z własnej woli, bo można było kontynuować pracę. Z perspektywy czasu wiem, że zrobiłem dobrze. Żona prowadzi w Polsce zakład fryzjerski, ten zakład zaraz został zamknięty. Nie miałibyśmy żadnych środków do życia. A teraz jestem na rotacji, która kończy się wtedy, kiedy się kończą najnowsze obostrzenia. Co zrobię, jeśli się przedłużą? Nie wiem. Firma jeszcze nie wychodzi z żadnymi propozycjami, czeka na decyzję rządu. A u mnie już teraz decyzja nie zależy tylko od tego, czy będę chciał zostać, czy nie. Jestem w stałym kontakcie z lekarzem, mam częste kontrole. Lek, który biorę, wystarczą mi maksymalnie na dodatkowe dwa tygodnie. Później muszę iść do lekarza. A jak już wrócę do Polski, to kiedy znowu będę mógł przyjechać do pracy?

– Nie mam pojęcia, co teraz zrobić. Ani się zgłosić jako bezrobotny w Polsce, ani iść do jakiejś pracy, bo który pracodawca mnie przyjmie na dwa, trzy, może cztery tygodnie? – mówi Kazimierz i rozkłada ręce. Podsumowuje wydatki: – Opel vivaro za 35 tys. zł, ponad 5 tys. rejestracja i ubezpieczenie. Za mieszkanie 1,5 tys. miesięcznie, a teraz, w ostatnich dniach, jeszcze 300 zł za samolot, którym nie polecałem, i 500 zł za próbę przejazdu do Norwegii autem. Muszę utrzymać dwa domy, bo przecież jeszcze ten w Polsce, a nie zarabiam. Jak to tak dłużej potrwa, może

trzeba będzie z tej Norwegii zrezygnować? Tyle inwestycji ostatnio zrobiłem, żeby nam było lepiej, a tu taki cios. Wielu Polaków w Norwegii cieszy się z tego zamknięcia granicy. Ja tego nie rozumiem. Ludzie się żalą na Facebooku, a oni w komentarzach piszą: dobrze wam tak, siedźcie w Polsce.

– Przecież my im nic nie zabierzemy tym naszym przyjazdem – dodaje Karolina, żona Kazimierza.

Jeżdżą i jeżdżą, jakby pandemii nie było

– Tak, napisałam, że cieszę się, że granice zostały zamknięte – mówi Dorota Sielska, autorka jednego z delikatniejszych komentarzy w grupie norweskiej Polonii. – Ale nie cieszę się, że tak późno. Ja też ze względu na pracę nie mogłam przez cały rok jeździć, kiedy chciałam. Bo

wynik, więc zaczęło się kupowanie fałszywek. Kupują je nie tylko Polacy. Tak powiedzieli w telewizji – wyszło, jak wyszło. Ale Norwegowie wiedzą, że to nie tylko my. Prawda jest taka, że zamknięcia granic nie można zwać jedynie na Polaków. To przez osoby, które nie potrafiły usiedzieć na miejscu – również przez Norwegów, którzy polecili na urlop do Hiszpanii. Niestety, Polacy lubią kombinować. Dlatego właśnie jestem zła, bo w związku z najnowszymi obostrzeniami zostałam wysłana na zwolnienie, dostaję 50% wypłaty, a nie mam tu rodziców, którzy mi pomogą finansowo, czy męża, który przejąłby część płatności za mieszkanie i zakupy.

– My także spotkaliśmy się z pojedynczymi przejawami hejtu Polaków wobec innych Polaków, choćby w komentarzach na naszym profilu na Facebooku – przyznaje

Jest bardzo duży hejt i to sami Polacy hejtują swoich. A Norwegowie na to patrzą.

gdy przyszła pierwsza fala wirusa i nastąpiło pierwsze zamknięcie restauracji, byłam jedną z niewielu osób, które pracowały. Restauracja, gdzie jestem zatrudniona jako asystentka kierownika, działała bez przerw, ale było dużo stresu. Bolał mnie brzuch, zaczęłam sypiać po dwie-trzy godziny. Na Facebooku ciągle czytałam o Polakach wyjeżdżających do Polski albo wracających do Norwegii. Wieczne pytania o kody na parking w Oslo Torp i gdzie kupić bułkę tartą zamieniły się w pytania w stylu: Jadę przez Szwecję, pasażer nie ma zaświadczenia o wyniku negatywnym, puszcza nas? I w takich przypadkach trafiał mnie szlag. Bo zdawałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej ci geniusze to pracownicy rotacyjni, którzy zarabiają w Norwegii kasę, śmiem twierdzić, że lepszą niż osoby pracujące w gastronomii, i jeżdżą do Polski, gdzie za te same pieniądze można kupić dużo więcej. Narazili ludzi w kraju, bo jechali, zatrzymując się po drodze w Szwecji i Niemczech. A teraz wracają. Bez testów. Ludzie latają też samolotami, tam i z powrotem, jakby nie było żadnej pandemii, i zarażają się. Wychodzi im pozytywny

Krzysztof Jura. – Zdarzają się uwagi, że my jako naród lubimy kombinować i zastrzyliśmy sobie na taką, a nie inną opinię. Z naszych doświadczeń wynika jednak coś innego. Nasi doradcy przeprowadzają dziennie około 200 rozmów telefonicznych tylko w sprawach zasad wjazdu do Norwegii i na palcach jednej ręki można policzyć przypadki, że ktoś próbował dopytywać, jak ominąć kwarantannę wjazdową. Zdecydowana większość chce bez problemów i legalnie wjechać do Norwegii, odbyć obowiązkową kwarantannę i wrócić jak najszybciej do pracy, a nie narażać się na grzywnę lub wydalenie z kraju.

– Jest bardzo duży hejt i to sami Polacy hejtują swoich. Robią w swoje gniazdo. To mi się bardzo nie podoba – oburza się Kazimierz. – Wprowadzają atmosferę kłótni, a Norwegowie na to patrzą. Inne narody jakoś potrafią razem żyć i sobie pomagać. A my słyszymy od drugiego: dobrze ci tak! Żeby Polak Polakowi tak powiedział? Tragedia. Cieszyć się z czyjegoś nieszczęścia to najgorsza rzecz, jaką można drugiemu zrobić.

Anna Konopacka

W nowym numerze tygodnika „NIE” tupolew z Kaczyńskim na pokładzie podchodzi do lądowania w Centralnym Porcie Komunikacyjnym.



Katolik w Białym Domu

Joe Biden nie wyciągnie amerykańskiego Kościoła z zapaści

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Joe Biden będzie dopiero drugim, po Johnie F. Kennedym, katolickim prezydentem USA. Czy dla tonącego amerykańskiego Kościoła to szansa na ratunek? Czy amerykańscy katolicy świętują wybór „swojego” prezydenta, jak robili to przed dokładnie 60 laty? Chciałoby się przytaknąć, niestety, fakty nie upoważniają do kreślenia zbyt optymistycznych scenariuszy.

W zeszłorocznej pasterce w zabytkowym kościele pw. św. Agnieszki (St. Agnes) w centrum San Francisco uczestniczyło kilkaset osób. Wszyscy oczywiście zdalnie. Parafia św. Agnieszki jest jedną z najstarszych w Ameryce, w 1893 r. założyli ją irlandzcy jezuici. Od początku zajmowała jednoznaczne stanowisko w kwestii praw i bezpieczeństwa imigrantów

które będą nas prowadzić w nowym roku – powiedział o. Williams.

Katolicy wybierali Trumpa

W wielu innych kościołach przesłanie było jednak zgoła inne. Wybór Bidena na prezydenta – powód do rozpacz, a fakt, że na dokładkę człowiek taki jak on śmie się nazywać katolikiem i do tego publicznie mówić o swojej wierze i pokazywać się w kościele – bezsprzecznie znak nadciągającej apokalipsy. Katolików odcinających się od Bidena jest mało, wystarczy popatrzeć na wyniki wyborów. Więcej katolików oddało swój głos na Trumpa (50%), a wynik uzyskany przez Bidena (49%) był w tym przedziale wyznaniowym tylko o cztery punkty procentowe lepszy niż uzyskany w 2016 r. przez protestantkę i członkinię Kościoła metodystycznego Hillary Clinton. Wśród białych katolików, często potomków imigrantów z najbardziej katolickich

w dobie pandemii zawiadywanej przez całkowicie wyczerpanych z empatii Trumpa i S-kę.

Po drugie, choć może to się wydać nieco uproszczone, Amerykanie do dzisiaj odnoszą się do katolików z pewną nieufnością, to spadek po historycznie niełatwych, a momentami jawnie wrogich relacjach z Watykanem pierwszych protestanckich osadników po tej stronie świata. Dochodzi również niezbyt chwytający za serce stereotyp katolickiego imigranta, wraz z którym katolicyzm rozlał się po Ameryce i stał się rywalem dla pierwotnie królujących tu wyznań ewangelickich. Włosi i Irlandczycy, w mniejszym stopniu Polacy, przez długi czas mieli opinię pijaków, leni i gangsterów. Przypomnijmy przy okazji, że w przeddzień ogłoszenia swojej kandydatury w wyborach prezydenckich J.F. Kennedy cieszył się wielką popularnością i dużą dozą społecznego zaufania. Mimo to kampania strachu przed Watykanem i zbyt „katolickimi” w stylu rządami (nepotyzm, niesolidność) rozkręcona przeciwko niemu przez oponentów sprawiła, że wygrał prezydenturę najmniejszą po dziś dzień przewagą głosów – zaledwie 117 tys. z 69 mln oddanych.

W porównaniu z Kennedym Biden wypadł świetnie. Jego przewaga w głosowaniu powszechnym była najwyższa w historii – przeszło siedmiomilionowa (The Cook Political Report, 2020). Czynniki papieskie też zadziałały raczej na jego korzyść. Papież Franciszek cieszy się wśród Amerykanów, zwłaszcza tych młodszych, wielką popularnością. Nie tylko wierzącym podobają się jego „rewolucyjne”, jak na Watykan, poglądy na prawa mniejszości seksualnych, a także jego nieustanne nawoływanie do korekty systemowych nierówności oraz krzywdzących ustawień i priorytetów we współczesnych ekonomiach kapitalistycznych. Nadto, jak świetnie ujął to Eboo Patel, założyciel i szef organizacji Interfaith Youth, Biden

Z pytania, czy Biden nie będzie za bardzo katolicki, przeskoczyliśmy na pytanie, czy jest wystarczająco katolicki.

oraz społecznej i rasowej równości. W 2017 r. była pierwszym katolickim kościołem w USA, który zadeklarował się jako sanktuarium, czyli miejsce, gdzie nielegalni imigranci mogą znaleźć bezpieczne schronienie, a władze deportacyjne nie mają prawa ich stamtąd ruszyć. Motywem przewodnim homilii wygłoszonej podczas pasterki przez proboszcza George’a Williamsa była refleksja nad mijającym rokiem w kontekście śmierci i cierpienia związanych z pandemią, ale i przeświadczenie, że z całą pewnością „nadciąga nowe, lepsze”. – Jako kraj doświadczamy właśnie bólów porodowych: rodzi się świadomość sprawiedliwości rasowej, widać koniec procedury przetrzymywania dzieci w klatkach. Do tego mamy szczepionkę i mamy nowego prezydenta. To są światła nadziei,

państw europejskich, wynik Bidena był jeszcze gorszy: za Trumpem opowiedziało się 57% tego elektoratu, za Bidenem – 42%.

Czym Biden, Irlandczyk z pochodzenia, naraził się współwyznawcom? Po pierwsze, tym, że jest demokratą i reprezentuje partię, która z biegiem lat coraz bardziej postrzegana jest jako platforma postaw i poglądów nie do przyjęcia przez osoby wierzące, zwłaszcza wierzące w sposób tradycyjny, zarówno przez ewangelików, jak i katolików oraz żydów. Nie pomógł nawet fakt, że Biden z rozmysłem i bardzo sprawnie zbudował swoją kampanię, odwołując się do silnie religijnego przesłania o równości, do potrzeby łączenia sił w obliczu nieszczęścia i zawsze stawiania na pierwszym miejscu ludzkiego zdrowia oraz życia, czego Ameryce tragicznie zabrakło

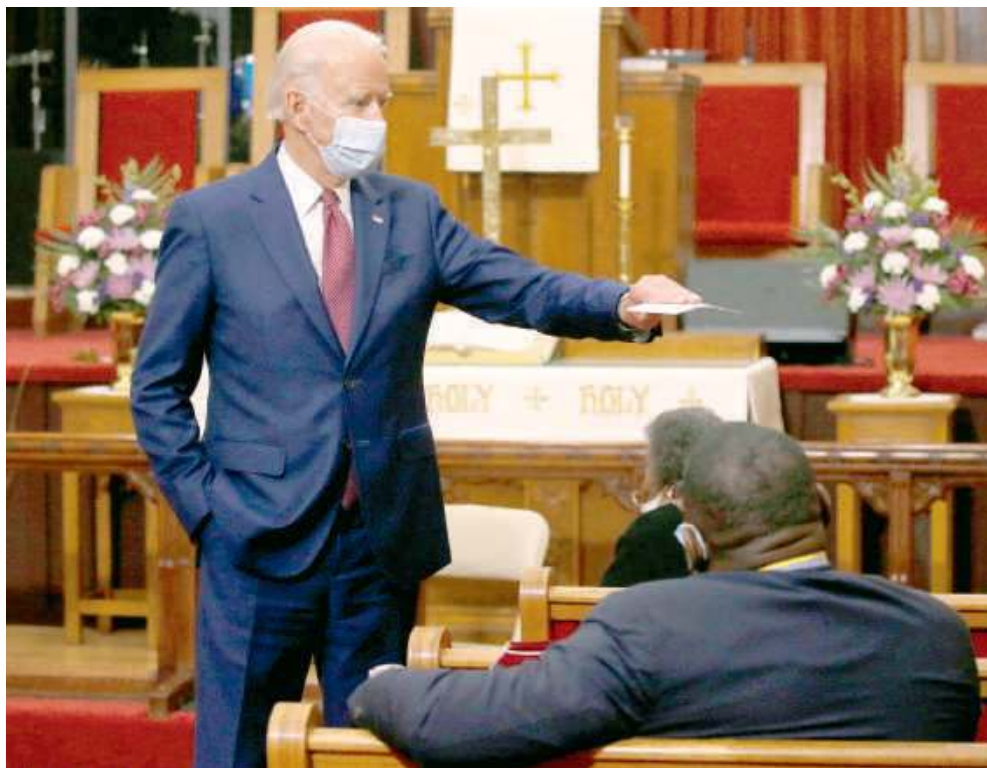
► genialnie rozegrał swoją „kartę ras i wiary”, wybierając na wiceprezydent ciemnoskórą Kamalę Harris. Harris ma korzenie afrykańskie i hinduskie, jest członkinią Kościoła baptystów i żoną Żyda. Tym samym Biden wysłał sygnał, że polityka religijna realizowana przez jego administrację będzie wyrastała ze świadomości, że amerykańska religijność jest tworem wielowymiarowym. – Mamy dziś w USA ogromną rzeszę młodszych wyborców, którzy – jak Kamala Harris – identyfikują się z rasą mieszaną oraz całym spektrum odmiennych (nie białych – przyp. aut.) doświadczeń kulturowych, etnicznych, religijnych. I jest to po prostu demograficzny fakt – stwierdza Patel.

Wreszcie katolicyzm Bidena po prostu nie odgrywał w wyborach aż tak wielkiej roli jak w przeszłości, z tej prostej przyczyny, że religijność Amerykanów, choć wciąż wysoka na tle innych krajów wysokorozwiniętych, dynamicznie zmienia swoje oblicze. Jak doniósł w zeszłym roku raport ośrodka Pew Research Center, liczba wierzących Amerykanów podających się za chrześcijan spadła w latach 2009-2019 z 75% do 65%, a liczba ateistów, agnostyków i osób niezwiązanych z żadnym konkretnym Kościołem wzrosła w tym samym czasie z 17% do 26%.

Miara nieprawości się przebrała

Wróćmy jednak do amerykańskich katolików i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, które żywo zaprzęta większość z nich. Czy prezydentura katolika może pomóc amerykańskiemu Kościołowi katolickiemu w pokonaniu moralnego i demograficznego kryzysu, w którym ten tonie od lat? Krótka odpowiedź brzmi: nie. Przyjrzyjmy się jednak faktom, które składają do tej konstatacji.

Czy to się komuś podoba, czy nie, statystyczny Amerykanin niezwiązany z Kościołem katolickim zapytany o pierwsze skojarzenie z kryzysem, jakie przychodzi mu do głowy, odpowie, że są to skandale pedofilskie, które od prawie dwóch dekad plamą wizerunek katolickich parafii i instytucji. Choć pierwsze zadośćuczynienie ofiarom molestowania Kościoła, po przegranej w sądzie, wypłacił już w 1998 r. (diecezja



W trakcie kampanii Joe Biden spotkał się z wiernymi Afrykańskiego Episkopalnego Kościoła Metodystycznego, Wilmington, 1 czerwca 2020 r.

w Dallas w Teksasie), afery eksplozowała na dobre dopiero cztery lata później, po cyklu publikacji dziennika „Boston Globe”, za które zresztą dziennikarzom śledczym gazety przyznano Nagrodę Pulitzera. Archidiecezja w Bostonie wypłaciła wtedy poszkodowanym 85 mln dol. i choć to suma niebagatelna, okazało się, że była kroplą w morzu. Pozwy przeciw kolejnym duchownym stały się odtąd trwałym elementem katolickiego pejzażu w USA, a Kościół, jak donosi organizacja Bishop Accountability, wypłacił do dziś 17 tys. ofiar ponad 4 mld dol. Pamiętajmy jednak, że lista zarejestrowanych ofiar

w ciągu ostatnich siedmiu dekad w sześciu parafiach w stanie Pensylwania 300 księży skrzywdziło ponad 1000 dzieci. Co gorsza, raport wykazał, że ich działania były systemowo tuszowane. Dla amerykańskich katolików było to jak wiadro lodowatej wody na głowę. – Tym bardziej nieprzyjemne, a gorzkie i rozczarowanie tym większe, że przecież po Bostonie wszystko miało się zmienić – mówi James O'Toole, profesor historii w Boston College i autor książki „The Faithful. A History of Catholics in America” (Wierni. Historia katolików w Ameryce). O'Toole wyjaśnia: – Raport z Pensylwanii uderzył z taką

Liberalizm Bidena w kwestii aborcji i antykoncepcji koliduje z opinią konserwatywnych katolików.

to w obecnej chwili ponad 100 tys., większość wciąż oczekuje na swoje rozprawy. Najwyższe odszkodowanie sąd nałożył jak dotąd na archidiecezję w Los Angeles za przestępstwa popełnione przez jej 221 księży. Wyrok zapadł w 2007 r. i mówimy o sumie 660 mln dol.

Zaledwie dwa lata temu mieliśmy do czynienia z kolejną niebywale bolesną odsłoną w tej kościelnej sadze wstydu i nieprawości. Specjalny raport sądowy ujawnił, że

mocą z kilku przyczyn. Choć większość opisanych tam spraw może ulec przedawnieniu, jednak znalazły się w nim doniesienia dotyczące także spraw aktualnych, a to oznacza, że proceder seksualnego wykorzystywania dzieci w Kościele wcale się nie skończył, trwa w najlepszym razie. Uprzątnięcia też, że skala problemu jest większa, niż nam się kiedykolwiek wydawało. I wreszcie, rzecz najtrudniejsza do zaakceptowania, istnieje dowód na to, że władze Kościoła nie

zmieniły swojej postawy. Ochrona instytucji, w tym poprzez świadome i systematyczne wysiłki tuszowania przestępstw, wciąż jest dla nich ważniejsza od dobra wiernych.

O'Toole podkreśla przy tym, że amerykańscy katolicy z wielką uwagą śledzą skandale pedofilskie w Kościele w innych częściach świata, w tym w Polsce. Wymowny jest upadek z piedestału polskiego papieża, który był w Ameryce uwielbiany i przywoływany jako autorytet nawet przez polityków świeckich. Encykliki Jana Pawła II zdobyły swego czasu wystawy we wszystkich księgarniach. Dzisiaj JP II to kolejny symbol zła i zepsucia, jakie toczy Kościół. Polski papież niemal zniknął z przestrzeni publicznej, można go spotkać już tylko w zaciszu własnej parafii.

Sondaż Gallupa z połowy 2019 r. ujawnił, że aż 37% amerykańskich katolików rozważa odejście z Kościoła bądź zmianę wyznania. Co znaczące, rok po wybuchu skandalu w Bostonie było to 22% ówczesnych wiernych. O połowę w ostatnim 20-leciu spadła liczba katolickich chrztów, ślubów oraz uczniów w katolickich szkołach (Georgetown's Center for Applied Research in the Apostolate, 2018). Spadek zarejestrowanych w parafiach wiernych nie jest aż tak wielki, mówimy tu jedynie o ok. 2 mln osób, ale związane jest to ze stałym napływem imigrantów, w większości wyznania katolickiego, z Meksyku i Ameryki Łacińskiej. Mamy więc jak na dłoni dowód na to, że oburzenie i niezgoda Amerykanów na kontynuację trwania Kościoła w jego obecnej formie bardzo szybko rośnie. W takiej sytuacji trudno się łudzić, że największy pokaz przywiązania do wiary katolickiej ze strony nowego prezydenta i najpiękniej złożone przesłanie o pozytywnym znaczeniu wiary w życiu człowieka odbudują zaufanie do instytucji, która w oczach statystycznego wiernego nie tylko notorycznie łamie swoje obietnice, ale wciąż zachowuje się tak, jakby szubienica, pod którą stoi, była – używając modnego określenia – zwyczajnym fake newsem.

Kościół zapiekły w podziałach

I druga kwestia, która nie napawa optymizmem, jeśli chodzi o ocieplenie wizerunku Kościoła katolickiego w USA pod wpływem tzw. dobrego

przykładu z góry. Dla wielu katolików Biden nie jest żadnym dobrym przykładem, a wynika to w dużej mierze z faktu, że Kościół jest dziś tak samo podzielony i w swych podziałach zapiekły jak reszta życia publicznego w USA. Amerykańscy wierni odpowiedzieli na skandale pedofilskie z jednej strony opuszczeniem Kościoła, z drugiej nasileniem się tendencji fundamentalistycznych jako drogi do oczyszczenia ze złogów „nowoczesności” uważanych za głównych sprawców kryzysu. Fundamentalisci wzywają do bardziej literalnego odbioru Biblii, w czym bardzo przypominają ewangelików, a w 2013 r. pozyskali nawet coś w rodzaju nowego katechizmu/przewodnika, który pomaga im w tej misji. Jest to książka „Katolicyzm ewangeliczny” George'a Weigla, znanego katolickiego konserwatysty z waszyngtońskiego think tanku Ethics and Public Policy Center.

Aż 37% amerykańskich katolików rozważa odejście z Kościoła bądź zmianę wyznania.

Ratownicy Kościoła nie widzą w swoich szeregach miejsca dla osób *pro-choice*, a nawet takich, które *pro-choice* tolerują, jak Biden. – Będzie nam wszystkim szalenie trudno odseparować liberalizm Bidena w kwestii aborcji i antykoncepcji od tego, jak jest postrzegany przez katolików, szczególnie po tym, jak w kampanii akcentował swą wiarę. To raczej tylko podkreśliło, jak bardzo jego postawa koliduje z pozycją Kościoła – wyjaśnia ten konflikt Ashley McGuire, ekspert z konserwatywnego Związku Katolików. Jednocześnie kilkunastu biskupów z diecezji rozrzuconych po całym kraju już zawiązało w Waszyngtonie grupę roboczą twierdzącą, że Biden nie jest nawet prawdziwym katolikiem, i stawiającą sobie za cel zachowanie czujności, a w razie potrzeby reakcję na jego wypowiedzi na temat wiary. Kroplą, która w oczach biskupów przelała czarę goryczy, była nominacja prokuratora generalnego Kalifornii Xaviero Becerra na stanowisko szefa Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej w gabinecie Bidena. Becerra, tak jak Biden, jest katolikiem. Kilka lat temu zajął jednak stanowisko, że ustawa nakazująca ośrodkom interwencji kryzysowej

pro-life udostępnianie klientom informacji o klinikach aborcyjnych jest zgodna z konstytucją. – Aż trudno w to uwierzyć, ale z pytania, czy Biden nie będzie za bardzo katolicki, nagle przeskoczyliśmy na pytanie, czy jest wystarczająco katolicki. I będziemy tracić czas na szukanie odpowiedzi – ubolewa tymczasem kongresmen Brendan Boyle, demokrat, który był odpowiedzialny za religijny wymiar kampanii Bidena.

Jako osoba wierząca i regularnie uczęszczająca do kościoła (coś, czego nie widzieliśmy w Białym Domu od dziesięcioleci) Biden będzie ścigał uwagę Ameryki na sprawy wiary. Możliwe nawet, że zainspiruje niektórych do rewizji własnych postaw religijnych, choć trudno oprzeć się wrażeniu, że jeśli już, to pewnie bardziej wśród ewangelików i grona wierzących niezrzeszonych niż katolików. Tych pierwszych od początku bowiem po prostu cieszyło, że nowy prezydent jest osobą głęboko wierzącą, a jego religijność postrzegali bardziej przez pryzmat posta-

wy ukształtowanej przez osobiste, zwłaszcza tragiczne, doświadczenia (śmierć pierwszej żony i córeczki w 1972 r. oraz śmierć syna w 2015 r.) niż dogmaty konkretnego wyznania.

Jaka będzie relacja Bidena z katolikami, to się okaże. Steven Schneck, jeden z jego doradców ds. wiary, uważa, że wiele będzie zależało od odporności Bidena na ataki przypuszczane na niego ze strony kościelnych konserwatystów. – Od tego, w jakim kontekście prezydent będzie przedstawiał swój konflikt z tymi władzami, w jaki sposób będzie o nim mówił. Słowa mają przecież ogromną moc i siłę poruszania ludzkich serc – wyjaśnia Schneck.

Jak to więc często się zdarza w życiu, a zwłaszcza w polityce, wiele wskazuje na to, że w przypadku Bidena i Kościoła będziemy mówili o sukcesie już wtedy, gdy nie dojdzie do pogłębienia istniejącego konfliktu. Jeśli jednak amerykańscy katolicy, na przekór swym hierarchom, zobaczą w Bidenie lidera podnoszącego ich morale i odwołującego od decyzji o porzuceniu Kościoła, będzie to triumf na historyczną skalę.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Sympatyczny, ale miękiszon

Armin Laschet został szefem rządzącej w Niemczech CDU.
Jednak kandydatem na kanclerza raczej nie będzie



Jan Opielka

Jest koniec listopada ub.r., niemiecka publiczna telewizja regionalna WDR – znana z dość lewicowej publicystyki – emituje film o Arminie Laschecie. Dokument przeplata wywiadem na żywo z tym 59-letnim politykiem konserwatywnej CDU, premierem landu Nadrenia Północna-Westfalia (NPW). Dziennikarz siedzi z Laschetem przy stole i prosi go, aby zatrzymywał film, za każdym razem gdy nie zgadza się z emitowaną właśnie treścią. Po kilkudziesięciu minutach wydaje się, że Laschet dla obrony wizerunku powinien interweniować co najmniej kilka razy. Choćby gdy dziennikarz zarzuca mu brak zdecydowania i lawirowanie, gdy mówi, że Laschet niczym chłopczyk ugina się regularnie przed „matką”, kanclerką Angelą Merkel, albo na sugestię, że nieładnie sfaultował swojego konkurenta Friedricha Merza, skutecznie forsując przesunięcie wyboru szefa partii na 16 stycznia br. Jednak Laschet nie reaguje – robi to, dopiero gdy kadr pokazuje jego biuro i biurko, a głos z offu mówi, że w tym

dniu, kiedy prowadzone są zdalne negocjacje dotyczące restrykcji antycovidowych, jest ono trochę bardziej uporządkowane niż zazwyczaj. „Moje biurko jest zawsze uporządkowane”, komentuje Laschet i widać, że to dla niego nad wyraz istotne, bo pokazanych chwilę później negocjacji nie komentuje ani słowem.

Kandydat kompromisu

Naprawdę istotny – zarówno dla Lascheta, jak i dla jego partii oraz całego kraju – był wspomniany wybór nowego szefa partii Angeli Merkel w połowie stycznia. Stał się konieczny, po tym jak w lutym ub.r. Annegret Kramp-Karrenbauer zrezygnowała z przewodniczenia CDU, nie mogąc zdyscyplinować partii w jej stosunku do populistycznej Alternatywy dla Niemiec (AfD). Laschet, syn sztygara, potomek belgijsko-niemieckich imigrantów, ojciec trójki dorosłych dzieci, który od AfD wyraźnie się dystansuje, wygrał. Podczas zdalnego kongresu partii w decydującym pojedynku uzyskał 512 głosów, a jego główny konkurent Friedrich Merz – 466. W listowych wyborach, które

musiały formalnie potwierdzić ten wynik, poparcie Lascheta wzrosło do 83%. „Niemcy, które ja sobie wyobrażam, są europejskimi Niemcami, wiódącymi na świecie przez znakomitość, wzór i humanitarność”, deklarował w przemówieniu Laschet. Podkreślał przy tym, że ani kraj, ani CDU nie potrzebują polaryzacji, a partia „nie potrzebuje CEO, czyli szefa zarządu, tylko kapitana drużyny, który prowadzi, ale i łączy”.

Tak, Laschet być może potrafi łączyć. Ale czy to on będzie kandydatem na kanclerza w wyborach we wrześniu br. i po prawdopodobnej wygranej jego partii będzie rządził najważniejszym krajem UE? We wspomnianym filmie mieszkanka Nadrenii Północnej-Westfalii, oceniając postać i politykę Lascheta, wyraża dość powszechne zdanie: „Myślę, że jest porządnym, dobrze nas prowadzi przez kryzys pandemiczny”. Ale czy potrafi być kanclerzem? „Myślę, że nie. Jest na to za miły”.

Co prawda, pierwszeństwo wystawienia kandydata na kanclerza w ramach unii siostrzanych partii, CDU i bawarskiej CSU, przypada tej pierwszej, lecz już dwa razy zdarzyło się, że to CSU wystawiła wspólnego kandydata. Tak było w 1980 i 2002 r. I tak będzie prawdopodobnie teraz. Gdyby wybór szefa CDU zależał od bazy partyjnej – chadecja ma ponad 400 tys. członków i członkiń – nowym liderem nie zostałby Laschet, tylko Friedrich Merz, uchodzący za ostrego prorynkowca z prawego skrzydła partii. Dlaczego? „Merz reprezentuje ogromną tęsknotę za autorytetem i wyrazistością, tęsknotę za nowym człowiekiem czynu, który ma jednoznaczny przekaz”, pisze lewicowy publicysta i politolog Albrecht von Lucke, redaktor naczelny miesięcznika politycznego „Blätter für deutsche und internationale Politik”. Ponieważ jednak dla większości centrowo nastawionych Niemców Merz jest zbyt kontrowersyjny, delegaci zagłosowali w większości za Laschetem. Jest kandydatem kompromisu

i potencjalnym kanclerzem, który mógłby rządzić i z liberałami z FDP, jak obecnie w swoim landzie, i w spółce z Zielonymi.

Silny konkurent z CSU

Mógłby rządzić, choć prawdopodobnie także po wygranej z Merzem nie będzie. Tak się składa, że konserwatywny premier Bawarii Markus Söder (CSU), jedyny pozostały w chadecji rywal Lascheta na fotel kanclerza, od Zielonych już się nie odcina. Co ważniejsze, Söder w ciągu ostatnich miesięcy zyskał szerokie uznanie za zarządzanie walką z pandemią.

Laschet to uosobienie polityka będącego za i przeciw – jest za energetyką odnawialną, ale broni wydobywania węgla brunatnego.

I choć liczba zakażonych i zmarłych na covid, biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców, w Nadrenii Północnej-Westfalii i w Bawarii jest podobna, to właśnie Södera uważa się za lepszego menedżera kryzysu. Bawarczyk ogłasza politykę antypandemiczną regionalnego rządu w sposób klarowny, zmiany w restrykcjach komunikował empatycznie, nie robi wrażenia podważającego Angeli Merkel ani nie zaliczył wizerunkowych wpadek jak Laschet, który na wczesnym etapie pandemii zlekceważył ognisko koronawirusa w zakładach mięsnych Tönnies, a na dodatek sugerował, że to nie skandaliczne warunki higieniczne, ale zatrudnieni tam Bułgarzy i Rumuni są źródłem zakażeń. Nie dziwi zatem, że w sondażach na pytanie, kogo Niemcy wybraliby na kanclerza, gdyby wybory szefa rządu były bezpośrednie, 37% wskazuje Södera, a tylko 28% Lascheta.

Jeśli zatem nowy szef wielkiej chadecji chce zachować szansę na fotel kanclerza, musi zadziałać. Ale jak? Laschet jest w pewnym sensie wychowankiem Merkel, jej sposobu uprawiania polityki; sympatycznym, ale i nieco bezpłciowym menedżerem, który lokuje siebie w samym centrum partii. Podkreśla co prawda autentyczne zakorzenienie w wierze katolickiej, ale dla jego polityki wiele z tego nie wynika. Jest w pewnym stopniu uosobieniem polityka będącego za i przeciw – opowiada się za energetyką odnawialną, ale broni wydobywania węgla brunatnego.

Krytykuje rząd Rosji za sprawę Nawalnego, ale popiera budowę rurociągu Nord Stream 2.

Już jako 18-latek wstąpił do CDU. Studiował prawo, później pracował jako dziennikarz, m.in. dla katolickiej gazety w Aachen, i jako szef pionu wydawniczego w katolickim wydawnictwie teścia. W latach 1994-1998 po raz pierwszy zasiadał w Bundestagu, a w latach 1999-2005 był ministrem ds. rodziny i integracji w Nadrenii Północnej-Westfalii. Po przegranych w 2012 r. przez CDU wyborach w tym landzie został przewodniczącym partii w regionie. W 2017 r. prowadzona przez niego chadecja wygrała w NPW

wybory, a on został premierem rządu CDU i FDP. Gdy w 2018 r. Angela Merkel zapowiedziała wycofanie się z przewodniczenia partii, Laschet nie był gotowy na przejęcie sterów. A i teraz wyraźnie zależało mu na tym, aby nie pójść do walki samemu – połączył siły ze wschodzącą gwiazdą chadecji, ministrem zdrowia Jenssem Spahnem. Ten 40-latek pokazuje, że ma ambicje sięgać wyżej – a w ostatnich miesiącach wzmocnił swoją pozycję.

Nie ma partii, są ludzie

Zresztą nie tylko on, ale i cała jego partia. W czasach pandemii wygrana CDU w jesiennych wyborach parlamentarnych wydaje się niemal przesądzona. Już teraz partia wysyła wyraźne sygnały, w jaki sposób zamierza poradzić sobie z konkurentami. Szykuje się narracja w stylu: nie czas teraz na nadmierną krytykę, wszyscy stoimy w obliczu pandemii, zbędne ataki są niestosowne. Trafnie komentuje to tygodnik „Freitag”, nawiązując do przemówienia cesarza Wilhelma II, który chcąc w 1914 r. uzyskać parlamentarne poparcie dla kredytów wojennych, powiedział: „Dziś nie znam już żadnych partii – znam tylko Niemców”. „Parafrazując powiedzenie kajera Wilhelma II, można by powiedzieć: polityka nie zna już partii, zna tylko zainfekowanych ludzi”, pisze Wolfgang Michal. Chadecja może więc prowadzić kampanię wyborczą „z pozycji siły – nie musząc wiele robić. To idealne dla

polityków takich jak Söder czy Laschet. Koronawirus raz jeszcze uratował ich partie ludowe”.

26 września – choć ta data wydaje się z dzisiejszej perspektywy tak odległa, że trudno o scenariusze – prawdopodobnie nowa wielka koalicja zastąpi rządzącą CDU i SPD. Z tą różnicą, że partnerem juniorem chadecji będą już nie socjaldemokraci, lecz Zieloni – bo to oni są dziś w sondażach na drugiej pozycji. Czy jednak sama chadecja postawi na Lascheta, czy raczej na Södera, okaże się dopiero w kolejnych miesiącach. Zależać to będzie od marcowych wyników wyborów regionalnych w Badenii-Wirtembergii, gdzie CDU jest mniejszym partnerem w koalicji z Zielonymi, oraz w Nadrenii-Palatynacie. A także od tego, na ile Laschet zdoła umocnić swój autorytet jako szef CDU i czy stanie się niekwestionowanym przywódcą partii. Sondaże tydzień po wyborze Lascheta wskazywały lekki wzrost poparcia dla CDU – popiera ją aktualnie 37% wyborców (Zielonych – 18%, SPD – 15%, AfD – 9%, Lewicę i FDP po 7%). Jednak może to się okazać chwilowym kredytem. A styl działania i charakter Lascheta raczej nie wskazują, że będzie w stanie zdobyć autorytet potrzebny do porwania większości Niemców. A już na pewno za żadną cenę nie dopuści do tego jego nowy, główny rywal – Markus Söder.

Jan Opielka





Rewolucja nie gaśnie

Arabska wiosna przyniosła wojny domowe i głód, ale ziarno demokracji zostało zasiane

Dominika Zębala,
Jakub Katulski

17 grudnia 2010 r. Mohamed Bouazizi, 26-letni sprzedawca warzyw z niewielkiego tunezyjskiego miasta Sidi Bu Zajd, jak codziennie wybrał się do pracy na lokalnym targu. Pracował tam już od kilku miesięcy, ale tym razem dzień miał przebiec inaczej. Kontrolujący go funkcjonariusze policji stwierdzili, że Bouazizi nie ma wymaganego pozwolenia na handel. Oczekiwali od niego łapówki, a gdy się okazało, że

nie jest w stanie jej zapłacić, skonfiskowali mu wózek. Sprzedawca czuł się oszukany i wykorzystany jako łatwy tęp systemu. Twierdził, że przecież do pracy w tym miejscu nie jest wymagane żadne pozwolenie. Dodatkowo miał zostać upokorzony przez policjantkę, która rzekomo go spoliczkowała. Chciał złożyć skargę w biurze gubernatora, lecz ten odmówił wysłuchania petenta. Na najbliższej stacji benzynowej Bouazizi kupił kanister paliwa i podpalił się przed rządowym budynkiem. Zmarł 4 stycznia 2011 r. z powodu rozległych obrażeń.

Śmierć ulicznego handlarza warzywami z niewielkiego miasta miała wkrótce stać się punktem zwrotnym w historii Tunezji i całego świata arabskiego. Protesty, które wybuchły po samospaleniu Bouaziziego, zjednoczyły tysiące obywateli zmęczonych korupcją, bezrobociem, biedą i dyktaturą. Tak rozpoczęła się jaśminowa rewolucja, którą uważa się za początek arabskiej wiosny. To być może pierwsza w historii rewolucja, podczas której arsenał protestujących składał się nie tylko z haseł, okrzyków i uniesionych pięści, ale przede wszystkim ze smartfonów z dostępem do internetu.

Rewolucja i kontrrewolucja

Tunezyjczycy bardzo szybko odnieśli sukces. Rząd rozpadł się już 10 dni po śmierci Bouaziziego,



Arabska Wiosna uchyliła szerzej drzwi dla street artu. Nz. mural w Bejrucie.

a prezydent Zin al-Abidin ben Ali ratował się ucieczką z kraju. Oddał władzę po 23 latach nieprzerwanych rządów, które objął w 1987 r. dzięki fortelowi z pozyskaniem lekarskiego orzeczenia o niezdolności do sprawowania urzędu przez jego poprzednika, Habiba Burgibę. Ben Ali próbował początkowo uciec do Francji, lecz jego samolotowi nie zezwolono na lądowanie na francuskim terytorium. Zamiast tego skierował się do Arabii Saudyjskiej. Zmarł w Dżuddzie we wrześniu 2019 r. W tym samym mieście, w którym po utracie władzy mieszkał do śmierci inny afrykański dyktator – Idi Amin, znany jako „rzeźnik z Ugandy”.

Tunezyjskie demonstracje zainspirowały Arabów w wielu innych krajach. Już w styczniu protesty wybuchły na ulicach Algierii, Jordanii i Omanu. Ale dopiero 25 stycznia na

plac Tahrir w Kairze wyszli Egipcjanie i światowe media zaczęły bacznie się przyglądać nowemu ruchowi. Po Egipcie przyszedł czas na Syrię, Jemen, Libię, Sudan i Maroko.

Również demonstracje w Kairze bardzo szybko przyniosły rezultaty. Hosni Mubarak, będący prezydentem od 30 lat, podał się do dymisji 11 lutego, po zaledwie 18 dniach od pierwszych okrzyków wzywających go do oddania władzy. Udał się do swojej rezydencji w Szarm el-Szejk w oczekiwaniu na proces. Rok później prezydentem Egiptu został Muhammad Mursi, jeden z przywódców Braci Muzułmanów, wybrany w drugich w historii kraju wyborach prezydenckich, w których startowało przynajmniej dwóch kandydatów.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że jedynie w Tunezji arabska wiosna przyniosła coś dobrego.

Mursi nie władał jednak długo. Jego rządy zakończyły się wraz z przewrotem wojskowym, na czele którego stanął dzisiejszy prezydent – Abd al-Fattah as Sisi. W 2014 r. zdobył on 97% głosów w wyborach, po których obserwatorzy z Demokracji International wyrazili obawy o brak poszanowania przez egipską władzę praw człowieka, przejawiający się prześladowaniem dziennikarzy i aktywistów. Od przejścia władzy przez Sisiego Egipt stał się państwem nawet bardziej autorytarnym niż pod przywództwem Mubarak.

Ciemna strona rewolucji

Innym dyktatorem obalonym na fali arabskiej wiosny był ekscentryczny Libijczyk Muammar Kaddafi. Impulsem do wybuchu protestów było wezwanie pisarza Dżamala al-Hadżiego, który zaapelował do mieszkańców Libii, by demonstrowali „w walce o większą wolność w kraju”. Na początku lutego organizacja Amnesty International poinformowała o jego aresztowaniu za potrącenie człowieka samochodem. Al-Hadżi zarzutem zaprzeczył, a w międzyczasie w kraju wybuchły protesty, które przerodziły się w zbrojne starcia. Tak zaczęła się pierwsza libijska wojna domowa, w której życie stracił też sam Kaddafi, po strzelaninie między popierającymi go wojskowymi a rebeliantami ze

wsparciem sił NATO. Libia do dzisiaj nie przewyciężyła niestabilności wywołanej pierwszym konfliktem. Wewnętrzne napięcia doprowadziły do wybuchu kolejnej wojny domowej, która trwa od 2014 r.

Protesty, które wybuchły w Syrii, także przerodziły się w wojnę domową. Tutaj demonstrującym nie udało się obalić rządzącego prezydenta Baszara al-Asada. Niepokoje natomiast stały się podatnym gruntem dla religijnych fundamentalistów, umożliwiając przejęcie kontroli nad znaczącą częścią terytorium kraju (i fragmentem sąsiadującego z Syrią Iraku) tzw. Państwa Islamskiego, dotychczas lojalnemu wobec Al-Kaidy. Przywódca Daesz, Abu Bakr al-Bagdadi, w 2014 r. sam ogłosił się

kalifem i proklamował powstanie państwa ze stolicą w Rakce. Wstrząsnął nie tylko Syrią i Bliskim Wschodem, ale niemal całym światem, ściągając w swoje szeregi wielu zagranicznych ekstremistów i przeprowadzając krwawe ataki terrorystyczne. Choć ostatnie bastiony Daesz, wraz ze stolicą w Rakce i Mosulem, już upadły, do dzisiaj na świecie tysiące terrorystów dokonuje pod szyldem tej organizacji aktów przemocy, takich jak podwójny samobójczy zamach bombowy, do którego doszło 21 stycznia na targowisku w Bagdadzie.

Ciemną stroną arabskiej wiosny okazały się też protesty w Jemenie. Choć doprowadziły do ustąpienia rządzącego prezydenta Alego Abdullaha Saleha, to przyczyniły się do wybuchu kolejnej w regionie wojny domowej i największego na świecie kryzysu humanitarnego, który niestety nie zyskał takiego zainteresowania mediów jak choćby dramat syryjskich uchodźców. Jemen jest sceną, na której Arabia Saudyjska i Iran rozgrywają swój zastępczy konflikt, wspierając odpowiednio siły lojalistów i szyickich rebeliantów Huti. Odbija się to przede wszystkim na cywilach. Już wcześniej Jemen był najbiedniejszym krajem arabskim. Dzisiaj mieszkańcy cierpią głód, mimo starań międzynarodowych organizacji humanitarnych. A na ulicach popularne jest powiedzenie, że na każdym jemeńskim

► domu siedzi wrona – symbol niepowodzenia, pechu i ubóstwa.

Chybotliwa demokracja

Regionalne monarchie również musiały zareagować na społeczne niepokoje. Mohammed bin Salman, będący *de facto* władcą Arabii Saudyjskiej, doprowadził w kolejnych latach do reform, dzięki którym obywatele mogą chodzić do kina, oglądać koncerty takich sław jak Mariah Carey czy Black Eyed Peas, a kobietom pozwolono nawet na prowadzenie samochodów. Sprawilo to, że świat do pewnego stopnia przymknął oko na represje, które dotknęły aktywistów politycznych i krytyków rządów, na co uwagę zwracała organizacja Human Rights Watch, odnotowując aresztowanie ok. 160 protestujących, którym nie postawiono zarzutów. Takie same represje spotykają aktywistów i dziennikarzy do dzisiaj, czego dowodem jest głośna śmierć dziennikarza Dżamala Chaszukdziego w saudyjskim konsulacie w Stambule czy przypadek Ludżajn al-Hazlul, aktywistki na rzecz praw kobiet, którą po dwóch latach aresztu i tortur w grudniu 2020 r. pod różnymi zarzutami, w tym działania na szkodę bezpieczeństwa narodowego, skazano na niemal sześć lat więzienia.

Z dzisiejszej perspektywy wydaje się, że jedynie w Tunezji arabska wiosna przyniosła coś dobrego. Według raportów amerykańskiego Freedom House i szwedzkiego V-Dem Institute kraj jest obecnie w pełni demokratyczny, a obywatele cieszą się wolnością polityczną. Zresztą Tunezyjski Kwartet na rzecz Dialogu Narodowego, który pomógł w ustabilizowaniu sytuacji w kraju, za swoje osiągnięcia otrzymał w 2015 r. Pokojową Nagrodę Nobla. Tunezja ma dzisiaj nową konstytucję, dba o wolność mediów i już kilkakrotnie odbyły się tam demokratyczne wybory parlamentarne i prezydenckie, podważając frazes, że jedyną demokracją regionu jest Izrael.

Ale ten sukces może być pozorny. W 10. rocznicę protestów Tunezyjczycy ponownie wyszli na ulice, gdyż znów, albo raczej wciąż, ogarnia ich frustracja. Wyszli oprostować bezrobocie i korupcję, zupełnie jak 10 lat temu. Dla przeciętnego mieszkańca kraju głośne polityczne zmiany nie okazały się wystarczające, a poziom jego życia stanął w miejscu. Choć

premier Hiszam Maszisi starał się uspokoić demonstrujących, przekonując, że ich „gniew jest słuszny”, a on jako głowa rządu ma obowiązek spełnić oczekiwania obywateli, doszło do starć z policją i władze zdecydowały się wyprowadzić żołnierzy na ulice. Z tego powodu wielu protestujących wyraża obawy, że jaśminowa rewolucja zostanie zaprzeczona, a kraj na powrót stanie się państwem policyjnym. Patrząc z perspektywy historii, 10-letnia demokracja wciąż raczkuje i jest chybotliwa.

Kto z kim i przeciw komu

Z arabskiej wiosny chyba nikt na Bliskim Wschodzie nie jest do końca zadowolony. Wielu jest zrozpaczonych, wielu straciło życie, bliskich, dach nad głową czy pracę. Inni zaś odkryli, że wbrew wielkim nadziejom, walce i górnolotnym słowom dalej tkwią w tym samym kryzysie, a żadna zmiana na lepsze nie tylko

Dzięki arabskiej wiosnie w Tunezji, Bahrajnie i Egipcie jest dziś więcej kobiet w parlamentach.

nie nadeszła, ale nawet nie jawi się na horyzoncie.

Natomiast dosyć nieoczywistym i być może na pierwszy rzut oka trudnym do zauważenia skutkiem arabskich przewrotów jest sytuacja Palestyńczyków. Dekadę temu oczy świata zwrócone były na nich i ich konflikt z Izraelem. Dzisiaj nawet Arabowie, którzy dotychczas gorliwie wspierali palestyńską sprawę, zdają się o wiele bardziej zajęci własnymi problemami wewnętrznymi, choć oficjalnie nie wycofali deklarowanego poparcia.

Arabska wiosna w pewnym sensie wymusiła w regionie odstąpienie sojuszy i ujawnienie mapy konfliktów, która dotychczas mogła być niejasna. Z reakcji poszczególnych rządów widzimy, że państwa takie jak Turcja popierają ugrupowania islamistyczne, dając Braciom Muzułmanom z Egiptu schronienie po utracie przez nich władzy. Z kolei Izrael okazał swego rodzaju sympatię wobec autorytarnego reżimu w Egipcie, z którym współdziała przy blokadzie rządzonej przez islamistyczny Hamas Strefy Gazy, co jest solą w oku wielu Palestyńczyków, ale także popieranych przez Iran grup szyickich.

Arabia Saudyjska oraz pozostałe kraje Zatoki opowiedziały się wspólnie przeciwko Persom i ich polityce atomowej, stając się jeszcze bliższymi partnerami USA i Izraela, połączonego z Ameryką bliskimi relacjami. W przypadku Bahrajnu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich zaowocowało to nawet traktatami normalizującymi stosunki z państwem żydowskim. To zbliżenie ma oczywiście wiele przyczyn i nie można przypisać go wyłącznie arabskiej wiosnie, choć jej wpływ jest zauważalny.

Nie można jednak poprzestać na negatywach, bo arabska wiosna przyniosła również zmiany na plus. W niektórych krajach poprawiła się pozycja kobiet. Podczas protestów ramię w ramię z mężczyznami wyrażały one sprzeciw i bunt, dzięki czemu jest ich dzisiaj więcej w parlamentach w Tunezji, Bahrajnie i Egipcie. W tym ostatnim kraju zmiana jest szczególnie widoczna, bo w ostatnich

wyborach parlamentarnych w 2020 r. zdobyły 148 mandatów. Stało się to możliwe dzięki przegłosowaniu przez parlament poprawki do konstytucji, która sprawia, że aż jedna czwarta wszystkich miejsc musi być zajęta przez kobiety.

Niezwykła zmiana nastąpiła także w odbiorze internetu jako potężnego medium, którego nie da się zatrzymać. Media społecznościowe, podobnie jak w Polsce, stanowią dzisiaj nie tylko komunikator do skrzykiwania się na protesty, ale też pokazują, ile osób realnie w nich uczestniczy. Bezlitośnie obnażają zarazem polityczną brutalność. Poza tym arabska wiosna szerzej uchyliła drzwi dla street artu – artyści uliczni weszli do bliskowschodniej popkultury ze swoimi protestowymi graffiti, sloganami i piosenkami. Ale najważniejsze, na co zwraca uwagę wielu Arabów, jest to, że demokratyczne ziarno zostało zasiane. Dzieci urodzone w ostatniej dekadzie nie znają już świata sprzed protestów i nawet jeżeli wciąż nie żyją w wolnych i demokratycznych krajach, to nowe pokolenie będzie do tego dążyło.

Dominika Zębala, Jakub Katulski

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Skrzydła niewolników

I mamy wprowadzoną w życie ostrą ustawę antyaborcyjną, surowszą niż w Iranie. Temat już wykomentowany, ale jątrzy jak otwarta rana. A wszystko to dzieło człowieka, który, jak się zdaje, nigdy nie miał partnerki czy partnera. Nie zna życia, nie zna świata, nie podróżuje. Nie interesują go pieniądze, interesuje go tylko władza. Nie wydaje się ksenofobem, lubi zwierzęta, nie lubi ludzi. A jest jednak człowiekiem kultury, wiele czytał; jego religijność zdaje się czysto użytkowa, to kolejne narzędzie do robienia polityki. Znowu więc manifestacje, duże jak na mróz i zimę, która nagle zrobiła się śnieżna na przekór globalnemu ociepleniu. Ta druga fala protestów, nie szkodzi, że mniejszych niż na jesieni, utrwali w młodej generacji odrazę do PiS, zwiększy niechęć do archaicznego myślenia, do skostniałego Kościoła, niechęć w ogóle do narodowej prawicy, do tego nacjonalistycznego bajdurzenia. To będzie ważne doświadczenie pokoleniowe. Skutek objawi się pewnie nie od razu, tak było we Francji po buncie młodych w roku '68.

Narzekanie, że opozycja jest słaba mentalnie, intelektualnie, to prawienie banałów, to wiedza już powszechna. Tym bardziej aż się prosi, by przywódcy kilku partii zebrali się, by wspólnie radzić, co po rządach PiS. Opozycja musi narysować wspólny plan polityczny i gospodarczy, przedstawić wizję przyszłości Polski. A więc znowu ta nieszczęsna wizja, projekt, bajka, spektakl dla wyborców, wracam do tego uparcie, bo to sprawa gardłowa. Bez tego puste miejsce będzie zapelniało PiS swoimi majakami, popartymi prezentami dla ludu.

Wracam po latach do Norwida, pod koniec lutego mam wygłosić o nim wykład. Wybitnym znawcą i propagatorem Norwida był mój ojciec, ileż on o nim pisał i jak głęboko, świetna jest jego książka o Norwidzie „Gwiazdzisty diament”. Moja wiedza przy jego jest naskórkowa. Lepiej jednak teraz widzę niż kiedyś, jak przy swoim geniuszu Norwid był nierównym poetą. Współcześnie narzekali okropnie, że on ciemny i niezrozumiały. Ależ mieli wiele racji. Przeoczała jednak, że w tej gmatwaniu słów i myśli są perły, że kilkanaście jego wierszy to arcydzieła, wyprzedzające całą epokę. Gdyby Norwid tworzył po francusku, znałby go cały świat. Pisałem przed wieloma laty scenariusz do fabularnego filmu o Norwidzie, dla Zespołu Filmowego X. To był zespół Andrzeja Wajdy i jego pomysł, by

powstało kilka filmów o wielkich polskich poetach XIX w. Nie powstał ani jeden. Okazało się to zbyt trudne. Jak zawsze przy biograficznej fabule jest walka między prawdą a tym, co filmowe, więc tej prawdzie czasami niechętnie.

Wiele lat potem napisałem scenariusz do filmu dokumentalnego, który powstał, „Światło i mrok”. Występowałem w nim jako jeden z przewodników po życiu poety, byliśmy z ekipą w Paryżu, filmując miejsca, gdzie Norwid spędził w biedzie i w poniżeniu większość życia. To krążenie po Paryżu z kamerą śladami Norwida było wielkim przeżyciem. Znajduję ten film w internecie. Patrząc na daty i oczom nie wierzę, to było aż 23 lata temu, a tak niedawno. Film otwierają słowa Miłosza, zwierzył się nam, że nie lubi Norwida, i był z tym mały kłopot, nie bardzo to pasowało do naszego filmu. Norwid drażnił go jako poetę, a jeszcze bardziej jako człowieka. Czytałem Miłoszowi wiersz za wierszem: no przecież musi pan przyznać, że genialne. Przyznawał, ale nadal go nie lubił. Miłosza drażniły polskie klęski, nieudacność, autodestrukcja, figura porażki. Norwid był w tym mocny. Był poetą myśli, jego opinie o Polsce są uderzająco przenikliwe i nadal aktualne niestety. Pisał choćby: „Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym”.

Można dzisiaj dodać, że ten sztandar podarty i złachmaniony. I pisał: „Niewolnicy wszędzie i zawsze niewolnikami będą – daj im skrzydła

u ramion, a zamiatać pójdą ulice skrzydłami”.

Nie żyje Krzysztof Bukowski, reżyser filmu. Tomek Łubieński, który tak ładnie w filmie o Norwidzie mówił, bardzo chory. Nie żyje Krzysztof Kolberger, nie zapomnę, jak siedziałem obok niego w studiu, gdy czytał wiersze Norwida, miał zaraz spektakl, więc był w stresie, że się spóźni, a my musieliśmy te wiersze nagrać tego dnia. Co chwila dotykałem jego dłoni, gdy czytał, by go uspokoić. Nie żyje oczywiście Juliusz Gomułicki, gdy mówił w filmie, miał niemal 90 lat. Niezwykły starzec, największy w Polsce specjalista od Norwida, wcielony niemal w poetę. Jego pisma wybrane Norwida to arcydzieło żmudnej pracy detektywa. Przy okazji opowiedział mi, że kiedyś o włos nie doszło do pojedynku jego z moim ojcem, rzecz poszła o to, czy Norwid czytał wiersze Baudelaire’a i czy wpłynęły na jego twórczość. Gomułicki upierał się, że tak, ojciec, że nie. Tacy byli kiedyś ludzie i takie pojedynki.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Kto zaatakuje giganta?

Czas wolnej amerykanki w internecie się kończy.
Wart setki miliardów euro rynek
nie może funkcjonować bez regulacji

Jakub Dymek

Cyfrowe korporacje wkrótce będą potężniejsze niż państwa! – tę groźbę słyszeliśmy w ostatnich latach tak często, że zdążyła nam spowszechnieć. Nie straciła na aktualności, ale weszła do języka na stałe. I tak powtarzano ją w koło – w książkach i gazetach, na antenach radia i telewizji, na wykładach i wiecach – aż zapomniano, jak bardzo realne to zagrożenie.

Do czasu. Gdy w nocy z 8 na 9 stycznia trzy z największych platform cyfrowych świata – Twitter, Facebook i YouTube – zablokowały prezydenta USA, stało się jasne, że slogan o korporacjach potężniejszych niż państwa jest już rzeczywistością. Tym bardziej że akurat Donald Trump rzeczywiście używał mediów internetowych do komunikowania się ze światem, prowadzenia polityki oraz mobilizowania milionów swoich wyborców i sympatyków. W mgnieniu oka prezydent najpotężniejszego mocarstwa został pozbawiony jednej ze swoich najsukcesowniejszych politycznych broni.

Wtedy też przywódcy na całym świecie rozumieli, że coś się zmieniło i obudzimy się w nowej rzeczywistości. Albo oni narzucą cyfrowym platformom jakieś ograniczenia i reguły gry, albo odwrotnie – to internetowe korporacje będą dyktować reguły gry rządowi.

Co ma wspólnego Facebook z wodociągami?

Giganci usług cyfrowych rzeczywiście dysponują dziś potęgą, z którą muszą się liczyć głowy najsilniejszych państw Zachodu. Facebook i Google mają miliardy użytkowników, którzy polegają na ich usługach w najbardziej podstawowych dziedzinach życia – kontaktach z bliskimi, handlu i reklamie, wyszukiwaniu



treści, dostępie do informacji i mediów. Gdyby – co jednak mało prawdopodobne – jedna z wielkich platform cyfrowych postanowiła „wyjąć wtyczkę” i przestać obsługiwać jakiś kraj, nagle miliony obywateli, firm, organizacji i mediów dosłownie by zniknęły.

W wielu dziedzinach i miejscach na świecie ludzie korzystają nie tyle z internetu, ile z usług kilku globalnych platform, które należą do kilku firm. Na przykład Facebook jest właścicielem największego medium społecznościowego, dwóch największych komunikatorów i największej platformy do wymiany zdjęć. Do Google’a należy największa wyszukiwarka, największy serwis wideo i największa usługa pocztowa. Amazon

jest sklepem „od wszystkiego”, w którym ponad połowa Amerykanów kupuje podstawowe produkty. I tak dalej.

Dlatego od paru lat cyfrowe platformy coraz częściej nazywa się infrastrukturą krytyczną. Czyli taką, bez której trudno funkcjonować. Google, Facebook czy Amazon stanowią już część infrastruktury naszego codziennego życia podobnie jak dostawcy wody, prądu, gazu i sieci komórkowej. Choć to młode i prywatne firmy, są tak istotne, że nie można ich działania powierzyć wyłącznie siłom wolnego rynku, i tak potrzebne, że nie można również pozwolić im upaść. Ostatni epizod z zablokowaniem Donalda Trumpa tylko rzucił światło na problem, o którym

wiadomo było od dawna – korporacje cyfrowe stały się zbyt wielkie, by udawać, że podlegają takim samym prawom i regułom jak wszyscy inni. Ale jakimś muszą podlegać, więc trzeba je wymyślić – o ile oczywiście nie jest na to za późno.

„Jeśli firma nie umie sama podjąć decyzji w istotnej sprawie, a każdy wybór, na jaki się zdecyduje, prowadzi do jakiegoś naruszenia dobra wspólnego, to już ostateczny dowód, że trzeba ją uregulować”, przekonywał niedawno prof. Scott Galloway, autor szeroko komentowanej książki o internetowych monopolach „The Four”. Podobnie myśli coraz więcej liderów na świecie. Kto jednak miałby uregulować aktywność technologicznych gigantów?

Bicz z Brukseli

Paradoksalnie to uznawana za leniwą czy ociężałą brukselska biurokracja okazuje się jak do tej pory jednym z najbardziej zdecydowanych graczy stojących naprzeciw cyfrowym gigantom. Znana z codziennego życia – i czasem uciążliwa – dyrektywa RODO była pionierskim na świecie aktem, który uregulował prawo do własności danych i wrażliwych informacji. Dzięki RODO możemy zażądać usunięcia informacji zebranych o nas przez firmę drogą elektroniczną, a ta z kolei, zanim o nie poprosi, musi czytelnie

wielkich zwyczajnie stać, by je płacić i robić swoje. W ostatnich latach Komisja Europejska nałożyła na Google’a 9 mld euro różnych kar – jednak firma wciąż ma ponad 10 razy tyle wolnej gotówki (ostatnie dane mówią o przeszło 110 mld dol.).

Ale Unia, dzięki samej skali gospodarki cyfrowej w Europie, dysponuje istotną siłą i może się pokusić o bardziej całościowe rozwiązania. W połowie grudnia Komisja Europejska zaproponowała dwa pakiety wspólnych przepisów dla wszelkich usług cyfrowych. To, mówiąc w największym skrócie, pierwszy tak duży akt prawny, który uwzględnia zarówno media społecznościowe, wielkich pośredników sieciowych (tzw. gatekeeperów), jak i sytuację faktycznego oligopolu kilku gigantycznych firm w internecie. Słowem, traktuje rzeczywistość tak, jak ona wygląda naprawdę. To duży skok, bo w Polsce wciąż obowiązuje prawo prasowe z lat 80. – pisane, gdy globalna sieć należała do domeny *science fiction*. W świecie anglosaskim pokutuje zaś liberalne przekonanie z wczesnych lat 90., że internetu nie należy, nie warto i nie można regulować.

Dlaczego UE w ogóle chce reagować? „Fakt, że konta urzędującego prezydenta USA zostały trwale usunięte na podstawie niejasnych kryteriów i bez kontroli, może zagrażać wolności słowa. Choć podżeganie

sobie pozwolić na to, by wart setki miliardów euro rynek funkcjonował bez regulacji.

Na razie starania Komisji zmierzają do tego, by przede wszystkim istniała jakaś wspólna rama, dzięki której można się domagać od internetowych gigantów przejrzystości i zaniechania antykonkurencyjnych praktyk. Dotychczas (do czego jeszcze wrócimy) było bowiem tak, że próby regulacji Google’a, Ubera czy Facebooka przez pojedyncze państwa spotykały się z olbrzymim oporem i próbami szantażu. Dość powiedzieć, że Google straszy wycofaniem usług z Australii, a w Polsce przeciwko wprowadzeniu podatku cyfrowego interweniował amerykański rząd z wiceprezydentem na czele.

Ale UE z różnych powodów zależy, by sprawę kontynuować. Już troje komisarzy – do spraw cyfrowych, rynku wewnętrznego i praworządności – publicznie konkuruje o to, kto będzie surowszy wobec wielkich cyfrowych graczy. A stawka będzie rosła.

Rozbijanie federalnym młotkiem

Inna droga do regulacji wielkich korporacji sieciowych wiedzie przez działania antymonopolowe w ich ojczyźnie – USA. W ostatnim roku na Facebooka i Google’a zwała się lawina zainteresowania urzędników agencji regulacyjnych. Wiosną doszło do przesłuchania prezesów największych firm w Izbie Reprezentantów, gdzie członkowie i członkinie komisji ds. regulacji antytrustowej grillowali (i byli do tego przygotowani!) trudnymi pytaniami krzemowych miliarderów.

Następnie Federalna Komisja Handlu i Federalna Komisja Łączności rozpoczęły postępowania przeciw Facebookowi i Google’owi. „Żadna firma nie powinna mieć tyle władzy. I dziś, w imieniu milionów klientów i wielu drobnych przedsiębiorców, którym zaszkodził Facebook, występujemy przeciwko ich nielegalnym działaniom na rynku”, ogłosiła w grudniu prokurator generalna stanu Nowy Jork Letitia James. Występuje ona w imieniu prokuratorów z 46 (!) stanów, którzy będą przed sądem w Waszyngtonie udowadniać, że Facebook postępuje niekonkurencyjnie i szkodzi mniejszym firmom.

Podczas kampanii wyborczej zawirowania wokół postępowań

W USA przeciw Facebookowi i Google’owi tworzyła się coraz mocniejsza, ponadpartyjna koalicja.

o tym poinformować i uzyskać zgodę. Może nie brzmi to spektakularnie, ale w świecie obrotu informacjami o użytkownikach wartym dziesiątki miliardów euro rocznie to kopernikański przewrót. Co z tym prawem się dzieje i na ile pomaga ono w powstrzymaniu najgorszych nadużyć, jest tematem na osobną dyskusję. Ale na podstawie RODO kraje Unii Europejskiej do końca 2020 r. wymierzyły już kary na łączną kwotę 220 mln euro. Dla wielkich korporacji to wciąż drobne, lecz wystarczy pomyśleć, jak wielką różnicę zrobiłyby te kwoty za-inwestowane w rozwój edukacji lub niezależnych mediów.

Kary to oczywiście niedoskonały sposób regulacji sektora cyfrowego. Przede wszystkim tych

przez niego do przemocy wymagało odpowiedzi, jest jasne, że sieć nie może tak dalej działać”, mówiła wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová „Dziennikowi Gazecie Prawnej”. „Potrzebujemy większej jasności co do zasad, jakimi kierują się internetowe platformy, oraz sposobu, w jaki wdrażają te zasady – kontynuowała Jourová. – Musi stać się jasne, jakie powody stoją za ich decyzjami. Potrzebujemy mechanizmów, które umożliwią użytkownikom kwestionowanie tych decyzji. Do tej pory współpracowaliśmy z platformami na zasadach samoregulacji, ale przyniosło to ograniczone rezultaty”.

Czyli, przekładając z brukselskiego na polski, czas wolnej amerykańki się kończy. Unia nie może dłużej

► antymonopolowych zeszyły na dalszy plan, ale faktycznie przeciw Facebookowi i Google'owi tworzyła się coraz mocniejsza, ponadpartyjna koalicja. Federalni prokuratorzy załączyli do materiału dowodowego wiadomości wymieniane przez założyciela Facebooka Marka Zuckerberga z szefami innych firm, które zamierzał kupić, i szczegóły dotyczące negocjacji oraz umów, jakie następnie podpisał.

W kilku różnych postępowaniach toczących się na podstawie tego materiału dowodowego stawka jest większa niż w Europie. O ile na Starym Kontynencie technologicznych gigantów do tej pory karano finansowo, o tyle w USA urzędy antymonopolowe i Departament Sprawiedliwości mogą po prostu nakazać

Brawura zióbrystów

Trzeci, najbardziej kontrowersyjny sposób na uregulowanie cyfrowych gigantów to działania państw narodowych – Francji, Australii czy Polski – przeciwko wielkiej technologii. Niedługo po zablokowaniu Donalda Trumpa głos w obronie wolności w sieci i przeciwko cenzurze zabrało polskie Ministerstwo Sprawiedliwości. Z wielu brawurowych wypowiedzi, które zelektryzowały prawników (choć nie tylko ich), wyłonił się pomysł ministerstwa Ziobry, by wziąć regulamin i moderację treści ukazujących się na Facebooku w karby polskiego prawa. Żeby od teraz każdy użytkownik i użytkowniczka, którzy poczują się skrzywdzeni arbitralnymi decyzjami platformy,

problemów. W tym najbardziej fundamentalny – co jest legalne i gdzie kończy się wolność słowa? Już dziś sądy cywilne w Polsce są przytłoczone nawątem spraw, w których tysiące ludzi, firm i instytucji spiera się o to, co można o sobie nawzajem powiedzieć i napisać w internecie. Co jest prawdą i mieści się w konstytucyjnie gwarantowanej wolności słowa, a co jest np. pomówieniem? To każdorazowo indywidualna rzecz. I rzeczywiście lepiej, by rozstrzygały o tym sądy niż anonimowy cenzor w sieci. Jak przekonywał niedawno Krzysztof Izdebski, prawnik z Fundacji ePaństwo i ekspert w sprawach legislacji przestrzeni cyfrowej, nasza cywilizacja nie wymyśliła jeszcze lepszego narzędzia, nawet jeśli wymiar sprawiedliwości bywa powolny i omylny. Ten sam Izdebski zwracał też jednak uwagę na ryzyko upolitycznienia problemu. I na podporządko-

W ostatnich latach Komisja Europejska nałożyła na Google'a 9 mld euro kar, jednak firma wciąż ma ponad 10 razy tyle wolnej gotówki.

rozbiecie firm, które ich zdaniem są za duże i zagrażają zasadom wolnej konkurencji. W takim wypadku gigant musi sprzedać pewne działy, produkty czy usługi innym firmom i pozwolić, by wcześniej zgromadzone w jednym ręku podmioty z powrotem funkcjonowały jako odrębne przedsiębiorstwa. I są w amerykańskiej historii ostatniego półwiecza podobne precedensy.

Cytowany tu już wcześniej Scott Galloway uważa, że nie tylko może się tak stać, ale jest to bardziej prawdopodobne niż kiedykolwiek.

mieli ścieżkę odwoławczą. Zgodnie z pomysłem resortu sprawiedliwości media społecznościowe w rodzaju Facebooka miałyby prawo bezkarnie usuwać tylko treści naruszające polskie prawo. Gdy zaś coś jest u nas legalne, powinno spokojnie wisieć w internecie, a platformom cyfrowym groziłoby kara za zbyt surowe czyszczenie sieci.

„Dziś wielkie korporacje przyznają sobie prawo do tego, by w dojrzałych demokracjach w sprawach kluczowych politycznie stawiać się cenzorem i stosować podwójne standardy. Istotą tej ustawy jest, by nad tego typu decyzjami czuwały organy państwa. To, co proponujemy, służy temu, by nie było arbitralności przy kreowaniu emocji społecznych przez media społecznościowe, (...) które wymknęły się spod kontroli”, tłumaczył na portalu Spider's Web Sebastian Kaleta, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości i bliski współpracownik Ziobry.

Z pozornie prostym pomysłem zióbrystów wiąże się jednak tuziny

wanie prawa o wolności słowa interesom tych, którzy właśnie pokazują – chociażby w mediach narodowych – jak tę wolność rozumieją.

Nie tylko dlatego próby uregulowania platform cyfrowych na poziomie krajowym budzą kontrowersje. Problem polega raczej na tym, że budzą największy opór i zdecydowany sprzeciw samych internetowych gigantów. Potencjalnie każdy kraj – małe Czechy i wielka Australia – szybciej i sprawniej znowelizuje własne prawo, niż doczeka się globalnych regulacji. To zaś wywołuje wielki strach gigantów, oznacza bowiem kilka czy kilkanaście nowych regulatorów i kodeksów na całym świecie, którym trzeba będzie się podporządkować. Dlatego zwalczają te próby szczególnie mocno. O ile w starciu z amerykańskim Departamentem Sprawiedliwości firmy z Doliny Krzemowej muszą postępować ostrożnie, o tyle przeciw rządowi Polski, Australii czy Francji będą łobować bezlitośnie i szukać pomocy w Waszyngtonie.

Ostatecznie jednak i tak ktoś w końcu się złamie – albo państwa, albo cyfrowi giganci. *Status quo* na dłuższą metę jest nie do utrzymania.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

Z głębokim żalem żegnamy naszego długoletniego Przyjaciela, mądrego i wrażliwego Człowieka

Wacława Żurka

Jako dziennikarz i wydawca – redaktor naczelny „Studenta” i „Przeglądu Tygodniowego”, kierownik redakcji Polskiej Literatury Współczesnej w Państwowym Instytucie Wydawniczym, szef wydawnictwa w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej oraz Bibliotece Narodowej, dobrze przysłużył się swoją odwagą, talentem i wiedzą polskiej kulturze.

Pozostanie w naszej wdzięcznej i serdecznej pamięci

Maciej Hoffman, Michał Kabata, Leszek Kamiński, Jan Rurański

Bohdan Piętko

Konferencja 2+4 w sprawie zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu o potwierdzeniu istniejącej granicy polsko-niemieckiej stała się jednym z fundamentów Europy postzimnowojennej. Odegrała rolę konferencji pokojowej, do której nie doszło po zakończeniu II wojny światowej. Uniemożliwiła ją zimna wojna. Dopiero jej koniec, który nastąpił w wyniku pierestrojki w ZSRR i Jesieni Ludów 1989 r., otworzył drogę do zjednoczenia Niemiec i uregulowania związanych z tym spraw, w tym potwierdzenia polskiej granicy zachodniej.

Uczestnikami konferencji 2+4 były dwa państwa niemieckie (RFN i NRD) oraz cztery zwycięskie mocarstwa z okresu wojny (Francja, USA, Wielka Brytania, ZSRR). W ramach konferencji w 1990 r. odbyły się cztery spotkania: 5 maja w Bonn, 22 czerwca w Berlinie, 17 lipca w Paryżu (z udziałem Polski) i 12 września w Moskwie. Podczas szczytu w Moskwie podpisano traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec, zwany traktatem 2+4. Podpisy pod tym historycznym dokumentem złożyli ministrowie spraw zagranicznych: James Baker (USA), Douglas Hurd (Wielka Brytania), Eduard Szewardnadze (ZSRR), Roland Dumas (Francja), Lothar de Maizière (NRD) i Hans-Dietrich Genscher (RFN).

Otwierając drogę do zjednoczenia Niemiec, które nastąpiło 3 października 1990 r., traktat ten gwarantował ostateczny kształt granic ustalonych po II wojnie światowej, w tym polskiej granicy zachodniej. Ponadto zjednoczone Niemcy zrezygnowały z broni atomowej, chemicznej i biologicznej, zobowiązały się też do redukcji sił zbrojnych. Postanowiono również o wycofaniu wojsk radzieckich z Niemiec do 1994 r., a NATO zobowiązało się nie rozmieszczać na terenie byłej NRD swoich wojsk ani broni jądrowej.

Z polskiego punktu widzenia najważniejsze było potwierdzenie przez konferencję 2+4 granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Droga do tego nie była jednak prosta. Strona zachodnoniemiecka nie od razu rzekła się roszczeń i uległa dopiero pod naciskiem USA. Ważną rolę odegrała

NRD przeciw Kohlowi

Polskie zabiegi o uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej na konferencji 2+4



Rząd NRD z premierem Lotharem de Maizière'em (nz. z szefem MSZ RFN Hansem-Dietrichem Genscherem) zajmował stanowisko przychylne polskim oczekiwaniom.

w tej sprawie także dyplomacja NRD, która zajęła stanowisko propolskie.

Dwa państwa, dwie polityki

Dwa państwa niemieckie powstałe w 1949 r. miały odmienny stosunek do polskiej granicy zachodniej, ustalonej na konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie (17 lipca-2 sierpnia 1945 r.). Do 1970 r. granicę tę uznawała tylko Niemiecka Republika Demokratyczna na mocy układu zgorzeleckiego, podpisanego 6 lipca 1950 r. przez Józefa Cyrankiewicza i Stefana

i FDP. Socjaldemokratyczny kanclerz Willy Brandt opowiedział się za odejściem przez RFN od kwestionowania powojennego *status quo* w Europie. Umożliwiło to podpisanie 7 grudnia 1970 r. w Warszawie przez premiera Józefa Cyrankiewicza i kanclerza Brandta układu o podstawach normalizacji stosunków między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Federalną Niemiec. Najważniejszym postanowieniem tego układu było uznanie przez RFN polskiej granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Dyplomaci z NRD ostrzegali polskie MSZ, że Bonn chce najpierw wchłonąć wschodnie Niemcy, a potem odbudować kraj w granicach z 1937 r.

Wierbłowskiego oraz Ottona Grotewohla i Georga Dertingera. Takiego kroku nie chciała natomiast wykonać rządząca w RFN prawicowa koalicja CDU/CSU, z której wywodzili się kanclerze Konrad Adenauer, Ludwig Erhard i Kurt Georg Kiesinger, bo jej zaplecze polityczne tworzyli m.in. przesiedleńcy z ziem utraconych przez Niemcy na rzecz Polski w 1945 r.

Sytuacja polityczna w RFN zmieniła się dopiero po objęciu w 1969 r. władzy przez koalicję SPD

Jednakże politycy CDU i CSU zażyczyli układ do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego. 31 lipca 1973 r. trybunał orzekł, że układ jest zgodny z konstytucją RFN, ale przyjął interpretację prawną całkowicie wypaczącą jego sens. W jej świetle układ PRL-RFN nie stanowił uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, był jedynie przyjęciem przez RFN do wiadomości istniejącego stanu rzeczy i deklaracją niepodejmowania działań zbrojnych w celu zmiany

► granicy. Pod naciskiem CDU/CSU równocześnie z ratyfikacją układu została uchwalona rezolucja Bundestagu mówiąca, że „układy nie wykluczają uregulowania problemu Niemiec w traktacie pokojowym i nie stwarzają podstawy prawnej dla istniejących dziś granic”. Takie stanowisko zajmowała koalicja CDU/CSU również po ponownym dojściu do władzy w 1982 r. pod przewodnictwem kanclerza Helmuta Kohla.

Przystępując do konferencji 2+4 w 1990 r., rząd RFN uważał, że postanowienia układów z 1950 r. i 1970 r. nie mogą obowiązywać zjednoczonych Niemiec. Natomiast rząd Tadeusza Mazowieckiego chciał zapewnienia jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec, że granica na Odrze i Nysie jest nienaruszalna. W reakcji na polskie oczekiwania kanclerz Kohl proponował, by o granicy wypowiedział się dopiero ogólnoniemiecki parlament po zjednoczeniu. Było to z jego strony wyjście naprzeciw oczekiwaniom Związku Wypędzonych, który miał nadzieję, że po zjednoczeniu kwestia powrotu Śląska czy Pomorza do Niemiec będzie otwarta.

Przyjęcie stanowiska Kohla oznaczałoby, że kwestia uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej nie będzie warunkiem zjednoczenia Niemiec, a negocjacje w tej sprawie słaba i zagrożona w kryzysie gospodarczym Polska będzie toczyć z silnymi i zjednoczonymi Niemcami. Stanowisko



Aby pozyskać przychylność Francuzów, w marcu 1990 r. wizytę w Paryżu złożyli prezydent Wojciech Jaruzelski, premier Tadeusz Mazowiecki i minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski.

w dramatyzm sytuacji daje 67 dokumentów z lat 1989-1990 dotyczących relacji polsko-niemieckich, które polskie MSZ upubliczniło w 2015 r. Kohl nie chciał się zgodzić nawet na propozycję premiera Mazowieckiego, by traktat polsko-niemiecki został parafowany przed zjednoczeniem Niemiec, a podpisany po nim*.

Ostrzeżenia z NRD

Doradca Kohla Horst Teltschik tłumaczył później, że kanclerz obawiał się, iż przed wyborami straci poparcie części CDU/CSU oraz Związku Wypędzonych. Jednak zanim 9 listopada 1989 r. runął mur berliński, dyplomaci

Na zmianę postawy rządu RFN wpłynął przede wszystkim prezydent USA George H.W. Bush. Wedle amerykańsko-niemieckiego historyka Konrada Jarauscha amerykańska administracja miała dać jasno do zrozumienia władzom w Bonn, że bez uznania polskiej granicy zachodniej nie dojdzie do zjednoczenia Niemiec. Fakt ten potwierdził Jerzy Sułek – główny negocjator traktatów polsko-niemieckich. Jak relacjonował, na prezydenta Busha „naciskali przedstawiciele Polonii w USA, swój autorytet w tej sprawie zaangażował Jan Nowak-Jeziorański. Pomagali też w znalezieniu porozumienia Francuzi”, szczególnie po wizycie w Paryżu w marcu 1990 r. prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego, premiera Tadeusza Mazowieckiego i ministra spraw zagranicznych Krzysztofa Skubiszewskiego.

Jerzy Sułek działał jako dyplomata zarówno w okresie PRL, jak i III RP. Doradzał w sprawach polsko-niemieckich rządowi Mieczysława F. Rakowskiego, a po zmianie ustroju pierwszym rządowi III RP. Na początku lat 90. kierował Departamentem Europy w MSZ, reprezentował Polskę przy konferencji 2+4 i przewodniczył delegacji polskiej w negocjacjach traktatów polsko-niemieckich (granicznego i o dobrym sąsiedztwie). We wspomnieniach wyraźnie podkreślił, że z powodu zjednoczenia Niemiec NRD nie stała się sygnatariuszem traktatu granicznego, ale odegrała znaczącą i pozytywną rolę w doprowadzeniu do jego zawarcia.

Związek Wypędzonych miał nadzieję, że po zjednoczeniu kwestia powrotu Śląska czy Pomorza do Niemiec będzie otwarta.

polskie zostało jednak poparte przez USA, ZSRR, Wielką Brytanię i Francję. Nacisk na kanclerza RFN wywarli m.in. brytyjska premier Margaret Thatcher i prezydent Francji François Mitterrand. Polskę – co było bardzo ważne – popierał też minister spraw zagranicznych NRD Markus Meckel, który proponował umowę graniczną jeszcze przed zjednoczeniem, tak jak chciał tego Mazowiecki. Z kolei Paryż dążył do potwierdzenia granic także ze względu na Alzację.

Wysiłki polskiej dyplomacji, aby nowy układ graniczny wszedł w życie jeszcze przed zjednoczeniem RFN i NRD, nie powiodły się jednak z powodu oporu kanclerza Kohla. Wgląd

z NRD ostrzegali polskie MSZ, że Bonn chce najpierw wchłonąć wschodnie Niemcy, a potem odbudować kraj w granicach z 1937 r. Potwierdzeniem tego miał być komentarz „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z grudnia 1989 r., którego autor domagał się, by kwestii granicy polsko-niemieckiej nie ruszać, bo w przyszłości można będzie wytargować np. zwrot Szczecina. Kohl z jednej strony zapewniał, że Niemcy nie mają pretensji do polskiego terytorium, a z drugiej na zjeździe Związku Wypędzonych mówił, że obowiązują „niemieckie pozycje prawne”, czyli domniemanie prawnego istnienia Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 r.

W przeciwieństwie do Kohla rząd NRD, na którego czele stał premier Lothar de Maizière, zajmował stanowisko przychylne polskim oczekiwaniom. „To dzięki jego postawie – wspomina Jerzy Sulek – (...) nastąpiło przełamanie linii w tradycyjnym podziale na »Polskę« i »Niemcy«, bo w procesie negocjacji demokratyczna NRD stała albo po stronie Polski, albo pomiędzy RP i »starą« RFN (w roli politycznego mediatora!). To zjawisko było wyraźne w odniesieniu do kilku najważniejszych kwestii spornych w negocjacjach, zwłaszcza w zakresie »sporu granicznego« (...). Na konferencji »2+4« delegacja NRD konsekwentnie wspierała Polskę. Przykładowo: opowiadała się za włączeniem RP do grona uczestników tej konferencji (mimo ostrego sprzeciwu kanclerza Kohla); popierała wysiłki dyplomacji polskiej, by wynegocjować jeszcze przed zjednoczeniem Niemiec postanowienia traktatowe o ostatecznym, nieodwracalnym charakterze O-N-Ł, jako granicy państwowej między Polską a zjednoczonymi Niemcami; za dbała i o to, by wspólna rezolucja parlamentów obu państw niemieckich, Izby Ludowej NRD i Bundestagu RFN, z 21 czerwca 1990 r. zawierała sformułowania, które zostały pozytywnie ocenione przez Polskę itd. (...) ta jednoznacznie propolska postawa była często przedmiotem krytyki ze strony RFN, także kanclerza Kohla, czy powodem osobistych urazów min. Genschera wobec min. Meckela”**.

Spór z RFN

RFN była gotowa przed zjednoczeniem „do podjęcia tylko rozmów politycznych, a formalne negocjacje prawno-międzynarodowe z Polską

chciała podjąć dopiero po przywróceniu niemieckiej jedności (...). W sprawie granicy O-N-Ł Kohl był gotów jedynie do powtórzenia formuły granicznej z układu PRL-RFN z 07.12.1970 roku, czyli stanowczo odrzucał możliwość przyjęcia jeszcze przez RFN i NRD jakichkolwiek zobowiązań granicznych, które byłyby wiążące dla przyszłych zjednoczonych Niemiec”, wspomina Jerzy Sulek.

Spór z RFN był sprawą kluczową dla bezpieczeństwa Polski. Dyplomacja polska – jak pisze Sulek – „nie chciała dopuścić do sytuacji, kiedy dojdzie do zjednoczenia Niemiec, a status zachodniej granicy Polski nie zostanie uregulowany. Z polskiej perspektywy chodziło więc o wykluczenie jakiegokolwiek możliwości ewentualnej rewizji granicy O-N-Ł w trakcie lub po zjednoczeniu Niemiec”.

Dzięki postawie mocarstw uczestniczących w konferencji 2+4, zwłaszcza administracji USA, a także wsparciu oczekiwań Warszawy przez władze NRD, Polska osiągnęła swoje cele. 21 czerwca 1990 r. Bundestag RFN i Izba Ludowa NRD przyjęły wspólną rezolucję, w której oświadczały, że obecny przebieg granicy polsko-niemieckiej jest ostateczny. 3 października 1990 r. nastąpiło zjednoczenie Niemiec, a 14 listopada 1990 r. ministrowie spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski i Hans-Dietrich Genscher podpisali w Warszawie polsko-niemiecki traktat graniczny. Uzupełnił go polsko-niemiecki traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 17 czerwca 1991 r.

Traktat graniczny z 1990 r. zamknął przeszłość i otworzył przyszłość w stosunkach Polski z Niemcami i Zachodem. Zainicjował też prozachodnią opcję rozwoju nowej Polski. Bez

niego niemożliwe byłoby przyjęcie III RP do NATO i UE. Dlatego traktat graniczny zajmuje ważne miejsce w dorobku polskiej dyplomacji. Był on pierwszym traktatem prawnomiędzynarodowym III RP. Trzeba jednak zauważyć, że proces negocjacji, który został zakończony zawarciem obu historycznych traktatów polsko-niemieckich z 1990 i 1991 r., zainicjowały jeszcze władze PRL w końcu lat 80. XX w. Chodzi o rozmowy trzech grup roboczych resortów spraw zagranicznych PRL i RFN w 1988 r., wizytę premiera Mieczysława F. Rakowskiego w Bonn w styczniu 1989 r. i oficjalne negocjacje pełnomocników obu rządów, Ernesta Kuczy i Horsta Teltschika, w lutym i czerwcu 1989 r.

Fakty te wraz z okolicznościami polskiego udziału w konferencji 2+4 i prawnomiędzynarodowego uregulowania statusu zachodniej granicy świadczą o tym, że wbrew teom lansowanym przez obecną politykę historyczną, która całkowicie unieważnia okres PRL, III RP wyrosła z PRL i jest jej prawno-polityczną kontynuacją w zmienionych warunkach ustrojowych i geopolitycznych.

Bohdan Piętko

* Dokumenty dyplomatyczne: kanclerz Kohl zwlekał z uznaniem granicy na Odrze i Nysie, dzieje.pl, 14.07.2015.

** J. Sulek, *Traktat graniczny RP-RFN z 14 listopada 1990 roku jako ostateczne zamknięcie polsko-niemieckiego sporu o granicę po II wojnie światowej – ze wspomnień głównego negocjatora po 25 latach*, w: A. Dragan, J. Engeldard, T. Skoczek (red.), *Powrót nad Odrę i Bałtyk z perspektywy siedemdziesięciu lat. Materiały z konferencji zorganizowanej w dniu 24 października 2015 roku w Muzeum Niepodległości w Warszawie*, Warszawa 2017, s. 102-103.

9 lutego 1943 r. – zbrodnia w Parośli

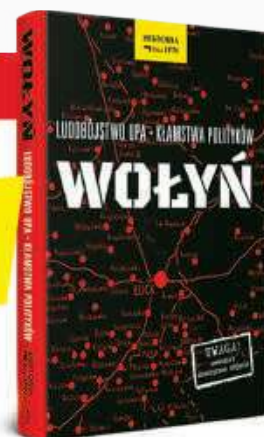
Sotnia UPA w bestialski sposób wymordowała niemal wszystkich mieszkańców, w tym niemowlęta i kobiety.

RABAT **20%** ~~44 zł~~ 35 zł



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nieregulowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Narodowa terapia jodowa

Po katastrofie w Czarnobylu przez siedem dni 18,5 mln Polaków, w tym 95% dzieci, dostało leczniczą dawkę płynu Lugola

Małgorzata Szczepańska-Piszczyńska

Gdy wczesnym rankiem 28 kwietnia 1986 r. radioaktywny pył zawisł nad Mazurami, wychwycono go w stacji monitoringu radiacyjnego w Mikołajkach. Początkowo nie bardzo wiedzano, jak zinterpretować zaskakujące pomiary. Bo czujniki wykazały, że radioaktywność powietrza wzrosła z dnia na dzień aż 550 tys. razy! Prof. Zbigniew Jaworowski z Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej, który koordynował prace 140 stacji pomiaru skażeń rozsianych po całej Polsce, najpierw podejrzewał, że gdzieś wybuchła wojna atomowa. Inni sugerowali, że to odprysk prób z bronią nuklearną. Może w Nowej Zelandii? Brali pod uwagę także akcję terrorystyczną z użyciem bomby jądrowej. Albo jakąś manifestację, próbę sił mocarstw atomowych. Wkrótce analiza składu chmury, którą przeprowadziło CLOR, wskazała awarię elektrowni jądrowej. Może radzieckiej? Rosjanie stanowczo zaprzeczyli.

Szwedzi alarmują

Podobnie po omacku działali Szwedzi, którzy także odnotowali drastyczne podwyższenie radioaktywności. Gdy sprawdzili, że to nie ich elektrownia Forsmark jest źródłem i że wiatry wieją z południowego wschodu, a w radioaktywnym pyłe znaleźli substancje typowe dla radzieckich elektrowni atomowych, domyślili się, że promieniotwórcza mieszanina dociera do nich przez Bałtyk z europejskiej części ZSRR. Chcieli – oczywiście – jak najszybciej się dowiedzieć, która to elektrownia. Jak duży był wybuch? Co grozi Szwecji i Europie? Ale żeby uzyskać te informacje, musieli sprawę nagłośnić i wytworzyć międzynarodową presję na ZSRR. Bo Kreml – choć zobowiązany umowami – nie zamierzał informować, że w nocy z 25 na

26 kwietnia wybuch rozsadził elektrownię atomową w Czarnobylu na Ukrainie i do atmosfery zaczęły się przedostawać substancje radioaktywne, a złowroga chmura poleciała nad północno-wschodnie rejony Polski i Skandynawię. W rezultacie Polacy, w tym polskie władze, o katastrofie dowiedzieli się dopiero 28 kwietnia późnym popołudniem, od Anglików, z radiowej stacji BBC.

Gdy świat znał już prawdę, tegoż 28 kwietnia w wieczornym wydaniu

Była to największa w historii medycyny akcja profilaktyczna dokonana w tak krótkim czasie.

radzieckiego dziennika telewizyjnego „Wremia” podano w lakonicznym komunikacie: „Doszło do awarii elektrowni atomowej w Czarnobylu. Uszkodzony został jeden z reaktorów. Powzięto środki w celu usunięcia następstw awarii. Poszkodowanym udziela się pomocy. Powołana została specjalna komisja rządowa”. Wiadomość podano jako siódmą z kolei.

Rakotwórczy jod

A wtedy w Warszawie stężenie cezu-137 w powietrzu było ponad 80 tys. razy większe niż średnio przed rokiem, stężenie jodu-131 wyniosło zaś ok. 100 Bq/m sześć, choć przed awarią badania nie wykrywały go w ogóle. Natomiast moc promieniowania gamma okazała się trzy razy większa niż zwykle. Najbardziej martwił jod-131. Ten promieniotwórczy pierwiastek wchłonięty przez organizm koncentruje się w tarczycy i wywołuje raka. Jest niebezpieczny zwłaszcza dla młodych. Instytut Problemów Jądrowych: „Z pobieżnych ocen wynikało, że dawka promieniowania od promieniotwórczego jodu w tarczycy dzieci może przekroczyć 50 mSv, powyżej którego Międzynarodowa Komisja Ochrony Radiologicznej (ICRP) zalecała blokowanie tarczycy jodem nieradioaktywnym”.

Dlatego komisja rządowa powołana 29 kwietnia o godz. 6 pod przewodnictwem wicepremiera Zbigniewa Szajdy już o godz. 11 zadecydowała o wprowadzeniu profilaktyki jodowej w Polsce. Ustalono – po raz pierwszy w historii medycyny – że dzieciom będzie podawany płyn Lugola zamiast tabletek z jodkiem potasu.

Dlaczego płyn Lugola? Bo nie było wystarczającej ilości tabletek, a płyn Lugola bez trudu sporządzić mogła każda apteka z ogólnie dostępnych

składników. Ten preparat wynaleziony w 1829 r. przez francuskiego lekarza Jeana Lugola składa się z wody destylowanej (97%), jodku potasu (2%) i jodu (1%). Działa bakteriobójczo. Stosuje się go powszechnie do odkażania ran i otarć skóry. Jest pomocny w zwalczaniu chrypki, zapalenia gardła. Ale w 1986 r. ważne było, żeby jod z płynu Lugola przyswojony przez dziecięce tarczycy blokował osadzanie się tam promieniotwórczego jodu-131.

Błyskawiczna akcja

„Akcję rozpoczęto jeszcze wieczorem, 28 kwietnia, i kontynuowano nocą w województwach północnowschodnich”, podkreślił Instytut Problemów Jądrowych i ocenił: „Akcja przebiegała bardzo sprawnie. Podawanie płynu Lugola zorganizowano we wszystkich przedszkolach, szkołach, ośrodkach zdrowia i aptekach. Około 75% populacji dzieci w Polsce w tych województwach przyjęło stabilny jod w ciągu pierwszych 24 godzin akcji. W innych rejonach kraju (...) akcja ciągnęła się jeszcze do 5 maja. Jod otrzymało 18,5 mln osób, w tym 10,5 mln dzieci (...)”.

Po brązowy płyn Lugola – szybko nazwany radziecką coca-colą

Jod w postaci płynu Lugola otrzymało 10,5 mln dzieci.



– w całej Polsce ustawiały się kolejki w aptekach. Jego przykry smak często powodował wymioty, nie tylko u najmłodszych. Jeszcze trudniej przyswajalna była rozcieńczona jodyna, którą także masowo pito w obawie przed promieniotwórczym jodem. Bo aptekarze nie nadążali z produkcją wynalazku dr. Lugola.

Była to największa w historii medycyny akcja profilaktyczna dokonana w tak krótkim czasie – podkreślał w wywiadach prof. Zbigniew Jaworowski, lekarz radioterapeuta. I chętnie porównywał Polskę z USA, gdzie w 1979 r. po awarii w elektrowni jądrowej Three Mile Island podano okolicznej ludności tabletki z jodem dopiero po ośmiu dniach. Instytut Problemów Jądrowych 20 lat po wybuchu w Czarnobylu napisał wprost: „Trudno zgodzić się z oceną o »nieco opóźnionej« akcji podawania płynu Lugola, gdyż nawet dzisiaj zapewne akcja nie przebiegałaby sprawniej”.

Dodatkowo władza wstrzymała wypasy bydła i nakazała podawanie dzieciom tylko mleka skondensowanego lub w proszku. Zalecano nieotwieranie okien i ograniczenie spożycia nowalijek, czyli rzodkiewek, sałaty, młodej marchwi itp. A jednocześnie nie było jej stać na odwołanie 1 maja pochodów i towarzyszących im zabaw na świeżym powietrzu. 6-22 maja odbył się również Wyścig Pokoju, który startował przecież z Kijowa, leżącego 134 km od Czarnobyla.

Jakie skutki?

Jak katastrofa w Czarnobylu odciśnie się na zdrowiu Polaków? Jakie będą długofalowe skutki? – zastanawiano się w 1986 r. w wielu polskich domach. Po latach okazało się, że wzrost promieniowania beta 550 tys. razy nie jest dla ludzi groźny. Prof. Zbigniew Jaworowski tłumaczył cierpliwie w swoich wywiadach, że był to jedynie wzrost tzw. całkowitej aktywności beta w powietrzu, „która stanowi wyłącznie wskaźnik alarmowy, sygnalizujący, że dzieje się coś niedobrego z radioaktywnością. Tego nie da się prosto przeliczyć na dawkę promieniowania pochłanianą przez ludzi. Natomiast dla człowieka niebezpieczny jest radioaktywny cez i jod oraz promieniowanie gamma wielu innych radioizotopów. Jego dawki, jak się okazało, wzrosły wówczas tylko trzykrotnie i nie stanowiły żadnego zagrożenia dla zdrowia”.

Prof. Maria Górską, kierownik Kliniki Endokrynologii, Diabetologii i Chorób Wewnętrznych w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Białymstoku oceniła po latach w jednym z wywiadów: „Mielśmy świadomość, że po katastrofie może wzrosnąć liczba zachorowań na raka tarczycy. I rzeczywiście w naszych kolejnych badaniach, już po katastrofie, stwierdziliśmy wzrost. Nie potrafiliśmy jednak jednoznacznie ocenić, z czego to wynika: czy z tego powodu, że mamy

lepszą diagnostykę, robimy więcej badań USG i jest lepsza wykrywalność, czy też jest to skutek awarii elektrowni w Czarnobylu. Okazało się jednak, że wzrost zachorowalności na raka tarczycy obserwuje się nie tylko w Polsce, ale na całym świecie: w Stanach Zjednoczonych czy w Europie. (...) Ten nowotwór łączy się otyłością, dobrobytem; nie powinniśmy tego łączyć z awarią w Czarnobylu”.

Komitet Naukowy ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR) ustalił, że w wyniku katastrofy w Czarnobylu w pierwszym roku każdy Polak otrzymał średnio dawkę promieniowania wielkości 0,3 mSv, a w kolejnych 70 latach przyswoi 0,9 mSv. Dodatkowo, w tym samym czasie, dostanie 170 mSv dzięki naturalnemu promieniowaniu. Dlatego uznał, że to czarnobylskie promieniowanie nie miało – najprawdopodobniej – wpływu na zdrowie Polaków.

Zmarły prawie 10 lat temu prof. Jaworowski, który był specjalistą w dziedzinie skażeń promieniotwórczych o międzynarodowym autorytecie, przyznawał wprost, że gdyby w kwietniu 1986 r. miał pełną wiedzę na temat wybuchu w Czarnobylu, na pewno nie zalecałby podawania płynu Lugola.

m.piszczy@tygodnikprzeгляд.pl

* Cytowane uwagi Instytutu Problemów Jądrowych pochodzą z opracowania „W 20-tą rocznicę awarii Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej” W. Trojanowskiego, L. Dobrzyńskiego, E. Droste.

Po weselszej stronie wolności

Jak punki, rastamani i anarchiści budowali podwaliny nowej Polski

Rozmawia Jan Bińczycki

Wniosek po lekturze twojej książki: zamiast budować pomniki „żołnierzyom wyklętym” i fetować polityczną opozycję PRL, trzeba upamiętniać punkowe załogi z czasów transformacji ustrojowej.

– Nie bardzo. To do nich nie pasuje. Choć dziwię się, że nikt nie wpadł na to, by w śródmieściu Warszawy, w okolicach Pałacu Kultury, nadać jakiemuś skwerowi imię Roberta Brylewskiego. Tędy biegła trasa, którą załoga chadzała do klubu Hybrydy. Krótco po śmierci Brylewskiego robiłem wywiad z Kostkiem Usenką, muzykiem, pisarzem i kronikarzem wschodnioeuropejskiej kontrkultury. Akurat wydał książkę „Buszujący w barszczu” o radzieckim undergroundzie. Opowiadał o tym, jak różni się przeżywanie muzyki u nas i na Wschodzie. Gdyby tam zmarł ktoś formatu Brylewskiego, to w każdym mieście siedzieliby ludzie z gitarami, śpiewali jego piosenki, malowali murale. W Warszawie murale poświęcone Robertowi i zmarłemu w październiku Pawłowi Kelnerowi Rozwadowskiemu powstały niedawno. Pomników by sobie nie życzyli, ale skwer by się przydał. „Dzika rzecz” zaczyna się od opowieści o tym, jak Izrael, grupa Kelnera i Brylewskiego, pokazał polski bunt w socjalistycznej Czechośłowacji. A potem jest o tym, jak muzycy Praffdaty podczas występu w NRD symbolicznie zburzyli mur berliński. To pokolenie artystów podziemia w praktyce realizowało zmiany, o które dopominało się społeczeństwo. Robili to za pomocą gitar i syntezatorów, happeningów i graffiti, wdrażali nowe techniki nagraniowe i filmowe. To niedocenieni bohaterowie czasu przemian.

– Mówimy o tym okresie, kiedy skończyła się PRL, a nowa, kapitalistyczna epoka jeszcze się nie zaczęła, o latach 1989-1993. Oni w tym momencie już niekoniecznie tworzyli

RAFAŁ KSIĘŻYK

– dziennikarz muzyczny, autor książki „Dzika rzecz. Polska muzyka i transformacja 1989-1993”.



kulturę buntu i kontestacji, choć byli krytyczni wobec nowej rzeczywistości. Kiedy zniknęły ograniczenia, swój sen o wolności zaczęli ziszczać w inny sposób, dobrze się bawiąc. Robili pierwsze imprezy techno, prekursorskie animacje komputerowe, teledyski, otwierali kluby muzyczne z prawdziwego zdarzenia. Przecierali ścieżki dla całego społeczeństwa. Nikt nie umiał wtedy tego robić. Ludziom wpływowym zazwyczaj brakowało talentu i wyobraźni. Freaki pokazały im, o co chodzi. Byli awangardą tej weselszej, jaśniejszej strony wolności po 1989 r., bo była i ciemna, w postaci gangsterki i finansowych przewalek. Ale nie zgodzę się, że robili to, czego dopominało się społeczeństwo. Społeczeństwo koncentrowało się na lęku o jutro i etosie przedsiębiorczości.

W pewnym momencie artyści podziemia w ogóle zostali „odcięci”. Za bohaterów transformacji uchodzili eksopozycjoniści, biznesmeni i ludzie ze świecznika kultury. A pamiętać o dokonaniach freaków zanikła.

Być może Polska dziś wygląda tak, jak wygląda, właśnie przez to, że ich odcięliśmy i przestaliśmy zwracać uwagę na to, co robili.

Dochodziło do egzotycznych sojuszy między punkami a przedsiębiorcami, pacyfistami a gangsterami i nie tylko.

– W Zgorzelcu był koncert elektro-nicznego duetu Max i Kelner. Wpadli bandyci. Urzekły ich słowa „każdy chłopak z mafii wiele dziś potrafi”. Przyklejali muzykom kolejne stowy do klawiatury, chcieli, żeby im to grać raz po raz. Nie dało się wytłumaczyć karkom, co to satyra, ironia. Ale rasowy muzyk poradzi sobie w każdej sytuacji.

Dla mnie najbardziej egzotycznym powiem pierwszym lat wolności był festiwal Solidarność Anti Apartheid, który odbył się 13 grudnia 1989 r. Związkowcy chcieli pokazać, że zwyciężyli swoją walkę, ale nadal interesują się wolnościowymi ruchami na świecie. Włodzimierz Kleszcz, specjalizujący się w muzyce etnicznej dziennikarz

Rafał Księżyk – autor książek o kontrkulturze „23 cięcia dla Williama S. Burroughsa” i „Wywracanie kultury. O dandysach, hipsterach i mutantach” oraz biograficznych wywiadów z ręk. m.in. z Tomaszem Stańką, Ryszardem Tymonem Tymańskim, Robertem Brylewskim i Muńkiem Staszczykiem. Artykuły publikował m.in. w „Brumie”, „Machinie” i „Jazz Forum”. Współpracownik portalu Dwutygodnik.com. Prowadzi audycję „Nokturn” w Programie II Polskiego Radia.

Polskiego Radia, ściągnął śmietankę brytyjskich artystów reggae. Między innymi Lintona Kwesi Johnso, dziś guru w kwestiach czarnej kultury w Wielkiej Brytanii. Miał on na koncie piosenkę „What About Di Workin’ Class” z wersem o Solidarności. Wpadł mi w ręce bilet na ten festiwal. Logo Solidarności pojawiło się na tle kolorów reggae, w asyście rastafariańskich lwów Syjonu. Patrząc na ten bilet, mam poczucie fantastycznej możliwości, która zaiskrzyła: unia reggae i Solidarności.

Za pośrednictwem koncertów i fanzinów trafiały do młodzieży nowe idee: feminizm, ekologia, prawa zwierząt.

Wyobrażałem sobie, co by było, gdyby na festiwal wpadli Lech Wałęsa i młodzi bracia Kaczyńscy, spalili z Lintonem jointa i dostrzegli nową opcję dla Polski.

Wymiar polityczny książki zdaje się opowieścią właśnie o możliwościach. To były przecież złote lata polskiego anarchizmu. Po tamtym fermentie też niewiele zostało.

– Nie wiem, czemu tak się stało. Na historię transformacji patrzę przez pryzmat muzyki m.in. dlatego, że jej twórcy czuli się w tych realiach jak ryba w wodzie. Pamiętajmy, że wyzwania nowych czasów wielu ludzi paraliżowały. A freakowo-artystyczna awangarda korzystała z pełni możliwości. Powstał wspólny front undergroundowych artystów, muzyków i aktywistów politycznych. Prekursorzy ruchów miejskich działali m.in. w Łodzi, we Wrocławiu, w Gdańsku. Zagospodarowywali pustostany sztuką. Tak działały Totart czy wrocławska grupa Kormorany. Drugim wspólnym frontem były zakończone sukcesem protesty przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu. Ich podsumowaniem były dwie edycje wielkiego festiwalu Energia Sztuki.

Po tych czasach powstało dręczące pytanie, co się stało z tymi wszystkimi ludźmi. Była też przecież powiązana z anarchistami scena hardcore punk, kilkanaście tysięcy sympatyków. Poprzez koncerty i fanziny trafiały do młodych ludzi nowe idee: feminizm, ekologia, prawa zwierząt. Tematy, którymi dziś żyje młode pokolenie, spływały do nas poprzez muzykę.

Do ciekawych spotkań dochodziło też w sferze estetyki. Max i Kelner nagrywali prototechno, Kazik Staszewski zaczynał rapować.

– Wolta Kazika nie była aż tak zaskakująca. Z nowej fali wszedł w formułę hiphopową. Kiedy po latach posłuchałem pierwszej płyty Kultu, stwierdziłem, że to esencja nowofalowych inspiracji czarną muzyką. Można usłyszeć echa afrobeatu, reggae, nie wspominając o funku. A wracając do epoki przełomu – wszystkie przełomowe płyty tamtej

epoki bazują na nowoczesnym czarnym bicie z getta. Da się to usłyszeć na „Spalam się” Kazika, „1991” Izraela, „Tehno Terror” Maxa i Kelnera czy „Urojone całe miasta” Apteki. Kelner był prawdziwym „agentem informacji”, jeśli chodzi o czarną muzykę w Polsce. Nie tylko jest pionierem polskiego rapu, ale też jedynym bodaj, obok Kamana, przedstawicielem nurtu punk funk. Prowadził w Hybrydach imprezy Rap Club, gdzie puszczał hip-hop czy house. Przetarł szlaki krajowym raperom i didżejom. **Z kolei pierwsza komercyjna stacja w dawnych demoludach transmitowała surrealistyczny program „Senny Wrocław”.**

– I to w piątkowe wieczory, w prime timie. Mniemos, muzyk industrialnej formacji S.A.D. i przez

Tematy, którymi dziś żyje młode pokolenie, spływały do nas poprzez muzykę.

chwilę reporter Prywatnej Telewizji Echo, chodził po Wrocławiu i pytał przechodniów o ich sny. Do ich opowieści dokładał abstrakcyjne obrazy i eksperymentalne dźwięki. Echo było prawdziwą telewizją obywatelską i znajdowało miejsce również na takie opowieści o życiu wrocławian, np. policjanta, który tłumaczył, że „w związku z natłokiem pracy nic mu się nie śni”. Dziś nie ma miejsca na oniryczne wyznania przy wtórze tużów muzyki industrialnej.

Byłem wtedy dzieckiem i do obiadu oglądałem z rodzicami nadawany w TVP magazyn „Lalamido” – obrazoburczy program gdańskich

ekscentryków na czele z Konjem, Skibą czy Dariuszem Brzóska-Brzósiewiczem. Kontrkulturą zainteresowałem się dzięki mainstreamowym mediom.

– Dlatego opowiadając o tamtych czasach, kręcę się wokół haseł: bogactwo, otwartość, różnorodność. A jeśli chodzi o program „Lalamido”, mam nadzieję, że ktoś przeanalizuje jego wpływ na to, co się działo np. wśród pierwszych youtuberów, twórców „Władców Móch” lub w programach grupy Łyżka Czyli Chilli. Absurdalne poczucie humoru zainfekowało całą generację kreatywnych ludzi. Przysłużyło się też reszcie społeczeństwa, pomagało spuszczać powietrze, wychodzić i z patosu, i z wyszcigu szczurów. Wystarczy sobie przypomnieć powitanie Pawła Konjo Konnaka z pierwszego odcinka: „Życzymy wam orgazmu permanentnego”.

Jaki wpływ na kulturę polskiego undergroundu miała „gospodarka niedoboru”, która naznaczyła ostatnią dekadę PRL?

– Taki sam jak na całym świecie. Chłopcy na Jamajce postanowili kiedyś grać rocka. Zrobili to po swojemu, trochę przestawili akcenty i wyszło reggae, które w połowie lat 70. podbiło świat i zainspirowało muzyków punkowych. A wszystko zaczęło się od muzyki z Trzeciego Świata, która miała imitować brzmienie Ameryki, ale okazało się, że stworzyła odrębny świat. Na Jamajce to bieda napędzała kreatywność. Aby nie płacić muzykom, producenci wykorzystywali stare nagrania i z tego swojego recyklingu zrodził się remiks, który stał się formułą napędzającą globalny rynek muzyczny późnego kapitalizmu.

Tak samo było u nas w okresie, który nazwałeś czasem niedoboru. Do muzyki trzeba było się przebijać. Te warunki wymagały większej kreatywności. A ludzie mieli czas, bo nawet jeśli ktoś marzył o karierze czy zbiciu kapitału, to nie miał wielu możliwości. Brylewski kiedyś powiedział, że dawniej najzdolniejsi ludzie szli do punk rocka, a dziś mogą robić kariery w banku czy wrzucać filmy na YouTube. Zmienił się status muzyki. Kiedyś to była ogromna siła, spoiwo w życiu młodych ludzi. Dziś ▶



Robert Brylewski z zespołem Izrael, Jarocin 1986 r.

▶ jest najwyżej jednym z atrybutów, częścią stylu życia. Ale nie buduje już tak rozległych więzi społecznych. **Zmiana systemu, w tym reforma ministra Wilczka, miała gigantyczny wpływ na dostęp do muzyki. Uwolnienie gospodarki wywołało m.in. eksplozję biznesów związanych z dystrybucją nagrań. Jak grzyby po deszczu wyrastały firmy fonograficzne, sklepy muzyczne, przegrywalnie. Niby kwitło piractwo, ale porównując do dzisiejszych monopolii korporacji rozrywkowych, wspominam te czasy z rozrównaniem.**

– Sytuacja była dwuznaczna. Artyści byli okradani przez piratów. Czekałem na autobus, obok przystanku stał stolik turystyczny, a na nim 300 kaset z nagraniami, o których wcześniej mogłem co najwyżej poczytać. I to w przystępnych cenach. Bywały też przegrywalnie z absolutnie sensacyjnymi zasobami. W prywatnym mieszkaniu przy ul. Marca Polo na Ursynowie można było sobie przegrać wszystkie płyty Toma Verlaina z artpunkowej grupy Television. Młodzi ludzie zostawali muzycznymi erudytami. Te pirackie przegrywalnie przygotowały grunt pod złote lata polskiej alternatywy, które zaczęły się w drugiej połowie lat 90., kiedy gwiazdami były zespoły takie jak Świetliki czy Mazzol & Ahythmic Perfection.

Był też inny etos. Najkrócej można go opisać jako szlachetną naiwność.

– Ona brała się stąd, że ci ludzie działali w kręgu niewielkich społeczności skupionych wokół muzyki,

gdzie panowały relacje koleżeńskie, a nie biznesowe. Bohaterowie tej książki nieraz się na niej przejechali. Koronnym przykładem jest historia studia Złota Skała. Jeśli młody zespół nie miał kasy, to nie dość, że mógł dokonać nagrań niemal za darmo, to jeszcze przemieszkać tydzień w studiu. Ale kiedy nie wystarczyło na kolejny rachunek za prąd, komornik nie oglądał się na to, że ma do czynienia z wartościową instytucją

Zmienił się status muzyki. Kiedyś to była ogromna siła, spoiwo w życiu młodych ludzi. Dziś jest jednym z atrybutów.

kultury. Po prostu ją zamknął. Powstała tam hurtownia dywanów.

Ktoś nam wmówił, że najważniejsze w wolności są przedsiębiorczość i możliwość dorobienia się. Słupki zysku przestroniły wszystkie inne sprawy. Chciwość jest najgorszą plagą naszej chylącej się ku upadkowi cywilizacji. Wtedy zniszczyła entuzjazm związany ze zmianami w 1989 r. i nie zostawiła nic w zamian.

Kontynuatorką tego entuzjazmu i etosu wydaje się dziś Tekla – Małgorzata Tekiel, wybitna basistka i podpora najważniejszych grup tamtej epoki. Dziś nadal gra, zakłada kolejne projekty, szuka nowych formuł dla swojej muzyki.

– Tyle że Tekla po 20 latach grania musiała iść do pracy etatowej. Kiedy świetna, doświadczona artystka z niepowtarzalnym brzmieniem gra „po godzinach”, to jest mi smutno. Ale ona wołała realizować swoją wizję

muzyki w ten sposób, niż grać do kotleta, sama sobie jest mecenasem. **To porażka publicznych instytucji kultury. Nie potrafiono skorzystać z dorobku polskiego undergroundu. Aż trudno uwierzyć, że ludzie tacy jak Brylewski, Kelner czy Sławomir Gołaszewski – muzyk i popularyzator reggae – nie doczekali się propozycji z Ministerstwa Kultury. Choćby po to, by mogli je demonstracyjnie odrzucać.**

– Oni nie pasowali do instytucjonalnej kultury. Gołaszewski to postać o korzeniach sięgających jeszcze hipisowskiego podziemia. Człowiek z kręgu Grotowskiego, filozof i gnostyk. Z kolei punkowcy z Hybrydy byli poniekąd skazani na kontrę. Jednak, aby przywołać zastanawiający paradoks, takie oficjalne wsparcie ta ekipa miała przecież w czasach PRL. Hybrydy były klubem zarządzanym przez działaczy socjalistycznego związku studentów. Konszachty z muzycznym undergroundem na tyle ich kręciły, że klub wystawiał nawet muzykom lewe zaświadczenia o zatrudnieniu, co dla poruszania się w realiach PRL było bardzo ważne. W wolnej Polsce wielu dawnych bohaterów undergroundu otrzymało odznaczenia państwowe, ale nic poza tym.

„Dzika rzecz” kończy się w 1994 r. Alternatywa schodzi do podziemia, media zajmują się muzyką środka.

– Zaczęło się formatowanie i mówienie ludziom, czego mają słuchać. Ale w drugiej połowie lat 90. rynek był na tyle silny, że starczało miejsca dla wszystkich. Kto chciał, mógł sięgnąć po Kobong lub Świetliki, a jeśli ktoś wołał Varius Manx lub Edytę Bartosiewicz, to była jego sprawa.

„Dzika rzecz” to początek cyklu książek o polskim undergroundzie?

– Trudno powiedzieć. O późniejszych latach, wspomnianej złotej epoki, sporo już napisano. Sam wydałem kilka wywiadów z rzek na ten temat. W tych czasach byłem czynnym dziennikarzem muzycznym, widziałem ten świat od kulis. I to, niestety, trochę zniechęca. Najwyraźniej widziałem za dużo. Jeśli już, to wołałbym napisać o historii polskiego off jazzu.

Jan Bińczycki



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Zakorzenie

Powiadają, że władza odmroziła muzea i galerie, bo jej się skojarzyło z tymi handlowymi. A może dlatego, że rządzący sami są żywą skamieliną PRL, skansenem politycznym – zresztą motywacje nieistotne, nawet jeśli „otworzyli” sztukę przez pomyłkę (co wielce jest prawdopodobne – im wszystko się udaje przez pomyłkę, to rząd pomyślników i nieudaczników, wierzę, że niebawem i przez omyłkę stracą władzę), stało się dobrze.

Od razu cud przy Alejach Jerozolimskich – w biały dzień kolejka do Muzeum Narodowego niczym podczas Nocy Muzeów – to nie tylko za sprawą rozmrożenia, ale i otwarcia po latach odnowionej Galerii Sztuki Starożytnej, znużone zdalnością dzieciaki wyciągnęły rodziców „na mumie”. Mnie chodzenie po lesie może odrobinę się przejadło, zwłaszcza że teraz wszyscy do lasu, dukty zatłoczone jak Marszałkowska, przecinki przeludnione, psy wszech ras rozbiegane po gąszczach, ludzkości za rozrywkę służą już tylko wędzarnie i niespodzianie saneczkarstwo miejskie, po latach zim bezśnieżnych. Wygłodniały pobiegłem więc do Zachęty na wystawę i znowu trafiłem do lasu. A ściślej – pod las. Joanna Rajkowska, ta od Palmy, czyli najstojniejszego w Polsce dzieła sztuki *site-specific*, z niejaką pomocą Urszuli Zajackowskiej, tej od „Patyków, badyli”, przebojowego tomu esejów botanicznych, posadziła, nie, zaraz, powiesiła w galerii las.

Rajkowska w galeriach gości rzadko, jej specjalnością są interwencje w otwartej przestrzeni, tym bardziej niezwykle jest jej „miasto korzenne”. Projekt „Rhizopolis” polegał na przeniesieniu do galerii karczowiska, ale cała jego zmyślność tkwi w pomyśle na to, byśmy oglądali karpę od spodu. Efekt jest piorunujący: sala przypomina organiczną jaskinię z martwymi korzeniami zwisającymi jak stalaktyty, olbrzymia instalacja tonie w półmroku, więc bardziej przeczuwamy, niż widzimy materiał, po którym stąpamy – korę, próchno, wszystko to, co się osypało z podwieszonych karczów. Rajkowska wysnuwa dystopijną opowieść o podziemnym schronieniu na czas ekoapokalipsy, ale i bez autorskich komentarzy recepcja instalacji jest bardzo silna i jednoznacznie ekologiczna. Truizm o powrocie do łona ziemi nabiera tu nowego wymiaru dzięki zmianie antropocentrycznej perspektywy na – by tak rzec – telluryczną, patrzymy spod ziemi, spod korzeni, oczyma tych wszystkich robaczek, dla których

powierzchnia ziemi jest dachem nad głową. W życia wędrownie, na połowie czasu, zaiste w głębi lasu ciemnego się znalazłem, za co Rajkowskiej serdeczności ślę najszersze. I choć artystka myślała o tej przestrzeni jak o refugium, mnie się skojarzyło zgoła grobowo – ale też całkiem przytulnie; jeśli kto czuje irracjonalny lęk przed własnym pochówkiem, powinien się udać do „Rhizopolis”, będzie tam mógł bezpiecznie „powąchać kwiatki od dołu”, zakorzenie się w myśli o życiodajnym rozkładzie.

Dobrze jest wejść do „Rhizopolis” po obejrzeniu wystawy „Rzeźba w poszukiwaniu miejsca”, instalacja Rajkowskiej to idealne pendant. Kuratorka Anna Maria Leśniewska obmyśliła retrospektywę współczesnej rzeźby polskiej wedle tytułowego ruchu – w istocie rzeźby w salach Zachęty intensywnie szukają dla siebie przestrzeni, wiercą się, wyrwywają na zewnątrz, chcą być w ruchu, chcą być wszystkim, byle nie bryłą. Zdarza im się

Projekt „Rhizopolis” polegał na przeniesieniu do galerii karczowiska, ale jego zmyślność tkwi w pomyśle, byśmy oglądali karpę od spodu.

przebić przez ściany, jak w „In Homage to Bruce Lee” – człokształtnej dziurze Oskara Dawickiego, który jest jedną z najjaśniejszych na tej wystawie świecących gwiazd. To negatyw rzeźby, artysta przebił sztuczną ścianę w miejscu wyjętych drzwi; Koji Kamoji chciał zrobić dziurę prawdziwą – on już tak ma (ileż było hałasu, gdy wykopał prawdziwą studnię w legnickiej galerii) – nie pozwolono mu, więc zrobił „dziurę w powietrzu”, otwór w przezroczystej płachcie dociążony metaforycznie kamieniem brukowym leżącym u jego stóp. Mamy tu też rzeźby kinetyczne – w ścisłym ruchu, jest olbrzymi abakan, jest pomnik przyrody nieożywionej – mistrz falsyfikatów Robert Kuśmirowski wyrzeźbił sztuczną skałę przypominającą kształtem wielkie prawidło, są rzeźby trujące (znowu Dawicki – inicjały OD usypane z trutki na szczury), są fotografie „rzeźb” ze spłotów dłoni, interdyscyplinarne prace łączące video-art i instalację, nie brakuje kanonicznych mistrzów (Kobro, Szapocznikow, Hasior), a nawet średniowiecznych świątków i masek afrykańskich. Ale narracja wystawy jest logiczna i spójna, spuentowana zaś wspomnianym „Rhizopolis” stanowi nader pożywne danie po pandemicznej głodówce.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Pandemia czytelnictwa

Jeśli wierzyć suchym danym, ubiegły rok dla sprzedawców książek nie był taki zły

Mateusz Mazzini



Z pierwszymi dniami wiosennego lockdownu często przychodziła myśl, co zrobić z tym czasem. Niekoniecznie zupełnie wolnym, ale przynajmniej na chwilę pozbawionym stałego rytmu, rygoru, sztywnego planu. Zwłaszcza osobom, które nie musiały nagle zamienić domu w biuro, szkołę i restaurację jednocześnie, początek społecznej izolacji mógł się wydać wymarzonym momentem na powiększanie tego, co francuski socjolog Pierre Bourdieu nazwał kapitałem kulturowym. Można więc było pochłaniać nowe i stare produkcje

Statystycznie w 2020 r. świat nie tylko więcej czytał, ale też więcej książek kupował.

filmowe, zapisywać się na wirtualne zwiedzania muzeów, ale przede wszystkim czytać. Pozycje stare, wiecznie odkładane na później, te od wielu lat niedokończone, ale też nowości wydawnicze wszelkiego rodzaju. Im dłużej trwała izolacja, tym czytanych w jej trakcie książek bywało coraz więcej. Niektórzy czytali je, bo mogli, a pandemia niespecjalnie naruszała ich spokój ducha i stan posiadania, inni – bo były ucieczką od stresu nowej codzienności i niepewności jutra.

Ze wstępnych badań przeprowadzonych przez zespół literaturoznawców z Aston University w Wielkiej Brytanii wynika jednak, że w czytelnictwie – podobnie jak w innych obszarach życia – zamiast wielkiego wyrównania pandemia przyniosła pogłębienie dysproporcji. Innymi słowy ci, którzy czytali sporo przed wybuchem zarazy, najprawdopodobniej częstotliwość sięgania po książki w 2020 r. jeszcze zwiększyli. Tych z kolei, którym do książek było daleko, koronawirus do nich nie zbliżył. Podobne wnioski płyną z badań

dotyczących innych krajów: Włoch, Stanów Zjednoczonych, Francji, także Polski. COVID-19 dał okazję do powiększenia kapitału kulturowego i pochwalenia się nim – aż 65% uczestników badania przeczytane książki omawiało ze znajomymi – lecz społecznej rewolucji nie przyniósł.

Po drugiej stronie tego równania byli sprzedawcy książek, prawdopodobnie wcale nie tak optymistycznie nastawieni do „nowej normalności”, jak szybko ochrzczono świat w czasie pandemii. Pozamykane centra

handlowe, ograniczenia dla często sprzedających również książki kawiarni czy punktów gastronomicznych, przeniesienie praktycznie całego handlu do internetu – wszystko to spowodowało, że przyszłość raczej nie napawała optymizmem. W dodatku reżim sanitarny miał przełożenie nie tylko na sprzedaż, ale i na, mówiąc językiem przemysłu, „produkcję książek”. Autorzy, zwłaszcza pozycji z literatury faktu (w tym piszący te słowa), uziemieni przez restrykcje dotyczące podróży, nierzadko musieli daty swoich publikacji zmieniać na znacznie późniejsze. Do tego dochodziły problemy z dystrybucją, konieczność wymyślenia czasem całkowicie na nowo strategii promocyjnych i wreszcie brak możliwości zapewnienia czytelnikom fizycznego kontaktu z autorami. Wszak spotkania z pisarzami, jak wszystkie inne, odbywały się w minionym roku niemal wyłącznie w przestrzeni cyfrowej. Mimo to branża wytrzymała burzliwe 12 miesięcy. A w wielu przypadkach zakończyła je ze sporym zyskiem.

Przy okazji analizy danych dotyczących sprzedaży książek w poszczególnych krajach w roku zdominowanym przez koronawirusa należy już na wstępie zastrzec, że nawet jeśli wskaźniki wyglądają jednoznacznie optymistycznie, nie należy ich za takie

uznawać. Statystyki pokazują bowiem sytuację w sektorze ogółem, a ten bywa zdominowany przez wielkie sieci handlowe, które oprócz książek sprzedają inne produkty. Nie uchwycą więc tragedii małych księgarń, które w pandemii upadały lub ledwo przeżywały, w pośpiechu ucząc się marketingu w mediach społecznościowych czy optymalizacji sprzedaży internetowej i dostaw do klientów. Na wielu czytelniczych forach internetowych nietrudno natknąć się na opinie, że jeśli gdzieś widać negatywne skutki

w naszym kraju, w pozostałych państwach europejskich, jak i za oceanem rośnie praktycznie wszystko – wydania papierowe, ale też e-booki (słabiej, choć także na plus, szło w pandemicznym roku audiobookom).

Według danych Nielsen BookScan w Stanach Zjednoczonych sprzedaż książek wzrosła o 8%, co jest najlepszym wynikiem od ponad dekady. Madeline McIntosh, szefowa Penguin Random House, jednej z największych grup wydawniczych na świecie, w rozmowie z „New York

wieć. Innymi słowy, komu urosło najbardziej. Wspomniany zespół literaturoznawców z Aston University zauważa, że w skali globalnej pandemia miała kilka hitów. Z początku kupowaliśmy przede wszystkim pozycje traktujące, rzecz jasna, o chorobach: „Dżumę” Alberta Camusa i „Miłość w czasach zarazy” Gabrieli Garcii Marqueza. Oba tytuły już wiosną sprzedawały się kilka razy lepiej niż w latach poprzednich. Szybko jednak oddały palmę pierwszeństwa. Im dłużej tkwiliśmy w izolacji, tym mniej interesowała nas sama jej przyczyna, a bardziej społeczne skutki. Dlatego na topie pojawił się „Rok 1984” George’a Orwella, uwielbiany zwłaszcza w kręgach wyznawców teorii spiskowych i w środowiskach radykalnej prawicy. Wizja pandemii jako spisku działających w ukryciu polityków, miliarderów i naukowców napędziła też sprzedaż innych dystopijnych książek ostrzeżeń, takich jak „Nowy wspaniały świat” Aldousa Huxleya czy nieprzetłumaczone na polski „It Can’t Happen Here” noblisty Sinclair’a Lewisa.

Generalnie jednak czytaliśmy nie tylko więcej, ale i szerzej. Abigail Boucher, współautorka badania, podkreśla, że szybko przestaliśmy być wybredni. Dla wielu czytelników pandemia okazała się doskonałym momentem do sięgnięcia po tematy, którymi do tej pory nie byli zainteresowani. Jednocześnie często wracali do pozycji, które dobrze już znali. I tutaj, kontynuuje Boucher, czytelnicy podzielili się na wyraźne dwie grupy.

Na początku epidemii czytaliśmy „Dżumę” Camusa i „Miłość w czasach zarazy” Marqueza. Oba tytuły sprzedawały się lepiej niż w latach poprzednich.

pandemii dla sprzedaży książek i czytelnictwa, to właśnie w liczbie miejsc, które w ubiegłym roku zniknęły. Co bardziej snobistyczni komentatorzy posuwają się do stwierdzeń, że COVID-19 małych z rynku wyrzucił, a wielkich uczynił jeszcze potężniejszymi. A ponieważ nazywać gigantów „prawdziwymi księgarniami” często nie chcą, twierdzą, że pandemia była dla branży wręcz zabójcza. I znów dane w tym zakresie należy interpretować z dużą dozą ostrożności. Wprawdzie z raportu Ogólnopolskiej Bazy Księgarń wynika, że od stycznia do grudnia 2020 r. zniknęło w naszym kraju 266 księgarń, jednak aż 60% należało do sieci księgarskich. Ich likwidacja częściowo była więc spowodowana cięciami kosztów dużych marek i wyprowadzkami z długo zamkniętych centrów handlowych, a rzadziej śmiercią romantycznej idei klimatycznej księgarni.

Statystycznie rzecz ujmując, w 2020 r. świat nie tylko więcej czytał, ale też więcej książek kupował. Te dwie rzeczy warto rozgraniczyć, bo nie zawsze idą przeciw w parze. Dodatkowo, paradoksalnie wręcz, z ekonomicznego punktu widzenia miniony rok mógł być dla sprzedawców mniej stresujący, bo zakupy rozłożyły się w nim zdecydowanie bardziej równomiernie niż w poprzednich latach. Zamiast tradycyjnych skoków w okolicach świąt (w Polsce najczęściej książek sprzedaje się 23 grudnia), końca roku szkolnego czy popularnych imienin mieliśmy powolnie, ale systematycznie wznoszącą się falę. Zarówno

Timesem” przyznała, że wyniki sprzedaży na koniec roku były tyleż dobre, co niespodziewane. Po początkowych spadkach w marcu i kwietniu branża bardzo szybko odbiła. Do tego stopnia, że wyniki rok do roku już na koniec trzeciego kwartału pokazywały wzrost o 6,4%. Co ciekawe, największy przyrost zanotowały książki klasyfikowane jako nastoletnia literatura faktu. Na amerykańskim rynku takich książek sprzedano w ubiegłym roku o prawie jedną trzecią więcej niż w 2019 r. Trend ten można interpretować na wiele sposobów, jednak większość ekspertów, w tym autorzy magazynu „Kirkus Reviews”, pisma poświęconego literaturze i branży wydawniczej w USA, zwracają

Co ciekawe, największy wzrost zanotowały książki klasyfikowane jako nastoletnia literatura faktu.

uwagę na korelację wzrostu czytelnictwa młodych z edukacją zdalną (i jej częstym brakiem). Młodzież, wolna od typowo szkolnych lektur i obowiązków, sięgała po książki z wyboru, nie z przymusu. Swoje dołożyli rodzice, nieraz spanikowani, że ich dzieci stracą cały rok edukacji z powodu koronawirusa. Kupowali im więc przystępnie napisane książki popularnonaukowe, starając się choć trochę zrekompensować utracony szkolny materiał.

Sukces książek dla młodzieży przybliżył nas zatem do odpowiedzi na pytanie, co czytaliśmy, skoro czytaliśmy

Spragnieni nowości czytali, by eksplorować, inni czytali ponownie stare książki, bo w tej czynności znajdowali spokój, bezpieczeństwo, wolność od stresu i niepewności. Znajome treści tworzyły chociaż na chwilę stabilną strefę komfortu, w którą łatwo można było uciec. Bez względu jednak na tematykę oraz częstotliwość kupowania i czytania przez nas książek, gdy za oknami szalał nieznany dotąd wirus, wniosek dla wszystkich pozostaje ten sam – bez słowa pisanego przetrwać ten czas byłoby nieporównywalnie trudniej.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

ZASŁUCHAJ SIĘ

FABUŁA



Natalia Moskal
There Is a Star
Fame Art

W klipie do promującego album singla „Mambo Italiano” Natalia Moskal pojawia się w stylizacjach przywołujących sceny z filmów z Sophią Loren, np. w czerwonej sukience podobnej do tej, w której gwiazda tańczyła słynne mambo w „Chleb, miłość i...”. Trzecia płyta młodej wokalistki, dzielącej życie między Polskę i Włochy, jest bowiem hołdem dla tej aktorki, a także sposobem na połączenie różnych pasji: muzyki i włoskiej kultury, zwłaszcza kinematografii. Poza tym dobrze teraz „przenieść się chociaż poprzez filmy czy właśnie muzykę do świata, który w tym trudnym momencie może dostarczyć trochę niezbędnej energii”, mówi wykonawczyni. Jej ciepły głos znakomicie koresponduje z dominującym tu klimatem kina sprzed lat. Aranżacje piosenek, autorstwa Jana Stokłosa, utrzymane są w większości w stylistyce oryginałów. Jest w nich i stosowna melancholia, i uśmiech, i ta potrzebna nam energia. Płyta miała premierę równolegle u nas i we Włoszech, gdzie solidne wykonawstwo, talent wokalny i językowy Natalii Moskal – bo śpiewa też po francusku i po grecku, a w balladzie „Felicità” w dialekcie neapolitańskim – zapewniły jej duże zainteresowanie.

Aleksandra Pańko

MIEDZY OKŁADKAMI

Tomasz Stawiszyński
Co robić przed końcem świata
Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020



„Co nas czeka. Wielki kryzys? Społeczeństwo powszechnej kontroli? A może powrót do zamkniętych narodowych wspólnot? Boimy się, a zarazem staramy się rozumieć, co się dzieje”, pisze w najnowszej książce Tomasz Stawiszyński, ceniony filozof i publicysta. Zapis jego radiowych audycji „Godzina filozofów” to lektura idealna na obecny niespokojny czas. Przywraca dystans i ćwiczy w myśleniu, ale także pozwala odważnie, choć bez złudzeń spojrzeć w przyszłość. Zbiór „Co robić przed końcem świata” wziął się z przekonania, że właśnie w takim dziwnym świecie dystans oraz nieśpieszna analiza unikająca łatwych ułożeń i zbiorowych odruchów są potrzebne co najmniej tak samo jak maseczki w czasie pandemii. Choć eseje Stawiszyńskiego traktują o sprawach mniej lub bardziej poważnych – od płaskoziemców po kryzys klimatyczny – każdy fragment smakuje wybornie i skłania do refleksji.

Rafał Piłku



BLISS

reż. Mike Cahill, prod. USA, dostępny w Amazon Prime

Zaczyna się świetnie. W gabinecie Grega (Owen Wilson) telefon wariuje – to asystentka szefa wzywa go na dywanik. Mężczyzna opiera się, dopiero po wciągnięciu białego proszku udaje się w otumanieniu na konfrontację. Spotkanie Dawida i Goliata w korporacyjnym wydaniu, ten pierwszy przez przypadek uśmierca drugiego. Gdy Greg chowa ciało i udaje się do pobliskiego baru, film Mike’a Cahilla obiecuje najwyższych lotów thriller – z pulsującym napięciem i niejednoznacznym bohaterem o wątpliwej moralności. Wszystko się zmienia, gdy na drodze Grega staje Isabel (Salma Hayek), która twierdzi, że świat nie istnieje, a nasza rzeczywistość to projekcja wybrańców takich jak on i ona. Thriller zamienia się w popłuczyny po „Matriksie”, bohaterowie przemierzają się między poziomami świadomości, unoszą siłą woli samochody i mentalnie popychają przechodniów, ale nie ma to większego sensu. Miejscami jest na co popatrzeć, a nawet z czego się pośmiać, lecz to zdecydowanie za mało jak na obietnice, którymi film nas mamił.

Artur Zaborski

KULTURALNE DZIECI



MORAŁ W KWIECIE PAPROCII

Spektakl łódzkiego Teatru Pinokio przeznaczony jest dla dzieci powyżej dziewiętego roku życia. Niesie on bowiem przesłanie, którego znaczenie trzeba dobrze zrozumieć. Chodzi o naturalne dążenie do szczęścia, przez które wielu rozumie tylko bogactwo i władzę.

Cudowny kwiat paproci ma taką moc, ale stawia też trudne warunki: trzeba porzucić osoby bliskie, rodzinę, przyjaciół. Na scenie oglądamy taki bajeczny przypadek ukazany bardzo atrakcyjnymi środkami – ciekawą akcją, scenografią, kostiumami, młodzieżową muzyką. Zbuntowany chłopiec osiąga sukces, jest u szczytu, ale nie znajduje szczęścia. Kiedy odkrywa swój błąd i chce wrócić do dawnego życia, widzi, że to możliwe, jednak dużo kosztuje. Co wybrać? – pytają twórcy przedstawienia.

Bronisław Tumiłowicz

„Kwiat paproci”, reżyseria Justyna Zar, Teatr Pinokio w Łodzi, emisja w sieci 29 stycznia 2021

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Ryzyko i wypoczynek

Wiadomo, słowniki, którymi się posługujemy, to przysłowiowe lustra naszych czasów. Wydawałoby się, że globalizacja i płynna nowoczesność uniwersalizują je gruntownie, ale to tylko iluzja, którą zresztą pod koniec zeszłego wieku z wdziękiem rozbroił Richard Rorty, przypominając, że nasze słowniki mają charakter przypadkowy i historyczny. Żaden słownik nie jest uniwersalny, a jedynie „grecki”, „zachodni” czy „burżuazyjny”. W grudniu przez Polskę przetoczyła się dyskusja wokół plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku 2020. Kapituła zdecydowała się nie przyznawać tytułu żadnemu słowu, ponieważ najwięcej głosów oddano na wyrazy „wulgarne lub obrażające niektóre osoby”. Bardzo mnie to rozśmieszyło, bo organizatorzy konkursu sami się prosili o psikus: „Młodzieżowe Słowo Roku” brzmi jak konkurs z zimowiska lub pedagogiczny kiks, który co rano na lekcji wygłasza Pan Równiacha. Ale plebiscyt miał dobry marketing i wywołał poród kilku poważnych szkiców na temat modnych „słów”. Teksty zestarzały się równie szybko jak słowa. Tak to jest z gadżetami: szybko się nudzą, przyjemność, którą przynoszą, jest naskórkowa, jednak czy nie na tym polega ich urok?

Te – jak to nazwano – młodzieżowe słowa, oprócz tego, że są kapryśne, efemeryczne i zazwyczaj zabawne, mają jedną godną odnotowania tendencję: są płynne. To znaczy nie nazywają tylko jednej rzeczy, zachowania, zjawiska, a rozszerzają się, zagarniając coraz większe obszary rzeczywistości. Na końcu oznaczają już wszystko – i wtedy dewaluują się albo trafiają do drugiego obiegu, czyli np. do słownika Pana Równiachy.

Każda lokalna i globalna zmiana społeczna przynosi nowy zestaw słów, które odpowiadają nowym potrzebom, lękom, przedmiotom. Pandemia przyniosła całe zbitki, które zrobiły błyskawiczną karierę: weźmy słynne wypłaszczenie krzywej, choroby współlistniejące, odmrażanie gospodarki, zdalne nauczanie itd. Ale na drugim planie zamajaczyło nie tak efektowne, bo tylko zremasterowane słówko komfort – w nowej erze i nowej odsłonie. Swoją ekspansję zaczęło od świata mody, żeby natychmiast skolonizować cały tzw. lajfstajl. Część przerażonych widmem bankructwa projektantów zaczęła na potęgę kroić tę najwygodniejszą, miękką bawełnę, którą tak uwielbiamy w dresach. Bo, siłą rzeczy, sprzedaż wyjściowych szmat spadła, a w nowych miejscach pracy (czyli naszych mieszkaniach) najważniejszy stał się właśnie komfort. Ale kolonizacja nastąpiła nie bez oporów: część wpływowych blogerek/szafiarek/kołczerek (czyli ludzi znikąd, którzy wiedzą wszystko) mówiła, że to źle wpłynie na psychikę

osobników, którzy do pracy powinni zasiadać ubrani elegancko niezależnie od okoliczności, nawet w domu. Inaczej komfort niepostrzeżenie zamieni się w *sad clothing*, a to już objaw depresji.

Jednocześnie przaśny komfort zaczął się rozpychać w słowniku kulinarnym. I tu od razu popadł w dwuznaczność: jedni używali go do opisanego jedzenia, które przynosił szczęście (czyli nostalgicznych posiłków, które „napętniały was ciepłem i spokojem”), drudzy nazywali tak bezpieczne jedzenie. Czyli proste, ciepłe i lekkostrawne. Znajoma producentka koncertów orkiestrowych zawsze podkreśla, że światowej sławy muzycy, którzy w trasie spędzają wiele miesięcy w roku, zwykle proszą właśnie o *comfort food*. Mniej im zależy na odkryciach kulinarnych, bardziej na tym, żeby nie złapać nieżytnego żołądka i nie przeżywać niestrawności lub biegunek, zwiedzając kible Europy.

Pisarze futurologów słusznie przewidzieli karierę komfortu, ale czy trafnie zdiagnozowali jego szkodliwość społeczną? Herbert George Wells w słynnym „Wehikule czasu” opisał intelektualną degradację gatunku: łagodne

**Czy komfort nie jest czymś, co usypia umysł i czujność?
Nie robi z nas miłych poddanych?**

plemię Eloi, które – pozbawione wyzwań, wykastrowane z przemocy, ale i z namiętności – staje się podobne rybom, kołyszającym się w oceanie.

Podobnie Stanisław Lem w kultowym „Powrocie z gwiazd” opisał społeczeństwo przyszłości, które – dla pełnego komfortu, poczucia bezpieczeństwa i spokoju – wprowadziło nie tylko masowe ulepszenia w stylu ubrań w spreju lub współpracujących z ciałem foteli, ale też „betryzację” – zabieg usuwający z psychiki skłonności do agresji. Powstało społeczeństwo jakby „uśmierzone”, wypłaszczone jak pandemiczna krzywa. Pogodne, ale pozbawione namiętności i pragnień. Nie ma tu ryzyka czy, co ważne dla bohaterów, fantazji na temat eksplorowania kosmosu. A przecież – jak pisał Platon – największe dobro zawdzięczamy szaleństwu: „Piękniejsze jest szaleństwo od rozsądku, bo tamto od boga pochodzi, a ten jest od ludzi”.

Czy komfort nie jest czymś, co usypia umysł i czujność? Czy w skrajnym przypadku może zrobić z nas miłych poddanych? Kogoś, kogo kocha system – precyzyjnie opisane, doskonale przewidywalne metrum w pracy systemu, np. partii rządzącej? Przełamywanie własnego wzorca też nie jest komfortowe, a przecież jest potrzebne, kiedy trzeba na wieszaku zostawić *savoir-vivre* i krzyknąć głośniejsze do tych, co próśb nie rozpatrują: wypierdalać!

Jedzenie i miłość

W świecie zwierząt jedzenie może pomóc w zwiększeniu prestiżu i umocnieniu pozycji w grupie



Eva Meijer

Zwierzęta, które żyją w grupach, robią to dlatego, że bezpieczniej jest wspólnie szukać pożywienia, wydawać na świat i wychowywać młode. Życie w grupach ma też pewne wady, takie jak konkurencja w razie niedostatku. Żyjące w grupach zwierzęta często mają dobrze rozwinięty system porozumiewania się na temat powyższych spraw. Pojedyncze mrówki szukają jedzenia na chybił trafił, kolonie mrówek – według pewnego systemu. Odbywa się to następująco: mrówki zwiadowcy samowolnie udają się na poszukiwanie pożywienia. Kiedy je znajdują,

czynności mających na celu przekazywanie sobie nawzajem lokalizacji pożywienia.

Tańczą, wydają dźwięk i używają skomplikowanych sygnałów chemicznych, na które składają się różne zapachy, jak słowa w zdaniu. Pewne gatunki pszczoł bezładowych preferują sygnały chemiczne – ślady zapachowe z feromonami – z własnego gniazda. To jest wyuczone, nie wrodzone. Poszczególne zwierzęta dzielą się też ze sobą pokarmem. Rodzice żywią swoje młode, lecz także inne zwierzęta z grupy mogą sobie pomagać, niekiedy nie domagając się od razu niczego w zamian. Często oczekuje

krów w pysku. Zwykle odbywa się to między krewnymi, ale nie zawsze. U rudawki gromadnej (*Pteropus rodricensis*) samiczki pomagają innym samiczkom przy porodzie, mimo że nie są spokrewnione. Okrzyki alarmowe też zresztą stanowią formę altruizmu wzajemnego: okrzyk przyciąga uwagę, a celem jest pomoc innym. Kiedy robią to wszystkie zwierzęta w grupie, bezpieczeństwo grupy wzrasta. Krzyczący wydają okrzyki, ponieważ inni też to robią, i w ten sposób współpracują. Na tej samej zasadzie działa iskanie, dodatkowo wzmacniając więzi między poszczególnymi osobnikami.

Nawyki żywieniowe dostarczają nam też wiedzy na temat pamięci określonych gatunków zwierząt. Szympansy pamiętają dobre drzewa owocowe sprzed trzech lat i wracają, żeby sprawdzić, czy znowu wiszą na nich smaczne owoce. Lemury, które żywią się głównie owocami, mają lepszą pamięć niż osobniki z ich gatunku stosujące inną dietę. Ponieważ owoce są dostępne tylko przez określoną część roku i tylko w niektórych miejscach, lemury te muszą lepiej zapamiętywać położenie jedzenia. Sikory, wrony i sójki zwyczajne chowają pożywienie

Koguty jedzą w ciszy, dopóki w pobliżu nie ma kur.

wracają do gniazda, zostawiając po drodze ślad zapachowy. Inne mrówki trafiają po tym śladzie do jedzenia, a po drodze również one pozostawiają ślad zapachowy. W ten sposób trasa do pokarmu zostaje coraz lepiej oznakowana. Starsze mrówki są zreźniejsze w odnajdywaniu jedzenia i najszybszej do niego drogi niż młodsze mrówki. Pszczoły bezładowe dysponują bogatym repertuarem

się, że inni będą robili to samo – nazywamy to altruizmem wzajemnym. Wampiry (nietoperze) wykazują bardzo osobistą formę altruizmu wzajemnego. Żywią się krwią ssaków, na której poszukiwanie udają się nocą. Umierają, jeżeli przez 70 godzin pozostają bez pożywienia, dlatego wampiry, które jadły, żywią swoich współtowarzyszy z grupy, którym się mniej poszczęściło, i przekazują im

jesienią i zapamiętują, gdzie leży, żeby zimą mogły je odnaleźć. Modrowronki zaroślowe strategię chowania pokarmu dostosowują do sytuacji: kiedy inne osobniki ich gatunku patrzą, zjadają go od razu, natomiast kiedy znajdują się w zasięgu słuchu, cichutko go chowają. Oznacza to, że stosują projekcję doświadczenia: rozumieją, że inne ptaki ukradną

godowym, przez kilka miesięcy w roku, z różnymi partnerami. Z każdym sezonem doskonalą taniec – który zawiera całą skalę zrytualizowanych elementów, takich jak okrzyki, spojrzenia, wskazywanie, dziobanie piór – i co roku zmniejsza się liczba partnerów, z którymi tańczą. Reguły, zasad i struktury tego fizycznego języka uczą się szybciej, kiedy mogą

zaproszeniem do spółkowania – z kolei drugą stroną, zwróconą do samczyka, mówi mu kolorami zebry, że nie ma tu czego szukać. Kiedy samiczka odpowiada kolorami zebry, a jej ciało staje się coraz ciemniejsze, nie chce spółkować. Wzory kolorów mogą zmieniać się błyskawicznie i są dość skomplikowane, dlatego ludzie nie za bardzo wiedzą, jaka dokładnie informacja jest przekazywana. Niektórzy badacze sądzą, że zmiany kolorów mają gramatykę, tymczasem kałamarnice idealnie się rozumieją.

Kolor stanowi także ważną formę komunikowania się ryb. Ryby rafy koralowej mają jaskrawe ubarwienie i podobnie jak kałamarnice mogą zmieniać kolor. Korzystają również z ultrafioletu (światła, którego my nie dostrzegamy) i komunikują się z rafą koralową. Pewien gatunek

jedzenie, kiedy zobaczą, gdzie zostało ukryte, i antycypują tę sytuację.

Jedzenie może też pomóc w zwiększeniu prestiżu zwierzęcia i umocnieniu jego pozycji w grupie. Koguty jedzą w ciszy, dopóki w pobliżu nie ma kur. Kiedy te się pojawiają, samce wydają okrzyki na temat znalezionej przez siebie pożywienia w nadziei, że to zwiększy ich prestiż. Czasem używają okrzyku odnoszącego się do pokarmu również wówczas, gdy nie ma go w pobliżu, tylko po to, żeby zwabić kurę. I tak dochodzimy do tematu miłości. Przechwalanie się na temat pożywienia jest sposobem imponowania, ale inne ptaki używają jeszcze bardziej wyszukanych form. Altanniki zbierają piękne drobiazgi – muszle ślimaków, listki, kwiaty, kawałki plastiku, kamyki, które barwią sokiem jagód, chrząszcze, które w tym celu pozbawiają życia, nawet niebieskie piórka, dla których zabijają noszącego je ptaka. Budują z nich altanki. Następnie zwabiają samiczkę, śpiewając przed nią i tańcząc. Samiczki przychodzą obejrzeć altankę i jeśli im się spodoba, między ptakami coś się zaczyna. Samiczki często się jednak rozpraszają i zdarza się, że samczyk najpierw bardzo długo buduje altankę, potem ogromnie się stara

je podpatrywać u starszych ptaków. Ostatecznie po trzech lub czterech latach pozostaje odpowiedni partner. Dwa ptaki, które się w ten sposób wybrały, z biegiem lat wykształciły w tańcu godowym własny unikalny język. Zwykle pozostają ze sobą przez resztę życia.

Sepioteuthis sepioidea (z rzędu kałamarnic) mają w skórze chromatofory. To znaczy, że ich komórki zawierają pigment i odbijają światło. Dzięki temu napinając lub rozluźniając mięśnie połączone z tymi komórkami, zwierzęta te mogą zmieniać kolor. W ten sposób na przykład przybierają barwy ochronne i komunikują się z innymi kałamarnicami. Kiedy samczyk spotyka samiczkę, z którą chce się połączyć, okazuje to za pomocą wzoru kolorystycznego skóry. Samiczka swoimi kolorami informuje, czy ma na to



papugoryb może na ogonie pokazać obraz oka, gdy w pobliżu jest drapieżnik. Wiele gatunków ryb ma zdolność przybierania barw ochronnych. Podobnie jak w przypadku kałamarnic przyjmuje się, że u ryb kolor stanowi złożony język, i tak jak u kałamarnic ludzie na razie jeszcze mało o nim wiedzą.

Do uwodzenia ukochanej (oraz omawiania innych rzeczy) ryby wytwarzają też dźwięki, który składa się z pomruku, terkotu i odgłosu przypominającego otwieranie butelki. Powstaje przez wprowadzanie w drżenie pęcherza pławnego (wypełnionego gazem pęcherza na brzuchu). Wszystkie ryby mogą usłyszeć

Szympansy pamiętają dobre drzewa owocowe sprzed trzech lat i wracają, żeby sprawdzić, czy są na nich smaczne owoce.

w tańcu, a na koniec przerywa mu inny samczyk, tak że musi zacząć od nowa.

Albatrosy dożywają nawet 60 lat. Są monogamiczne, a przy wyborze partnera nie ryzykują. W wieku około pięciu lat osiągają dojrzałość płciową i w kolejnych latach tańczą w okresie

ochotę, czy też nie. Zwykle konkurencji czyhają – inne samczyki, które też chcą współżyć – i kałamarnice mogą się w takiej chwili porozumiewać równocześnie z dwoma osobnikami swojego gatunku. Stroną zwróconą ku samiczce samczyk daje jej sygnał – biały pasek jest

► ten dźwięk, lecz nie wszystkie mogą go wydawać, a to zależy od gatunku i zapewne także od danego osobnika. Najbardziej chętnymi do mówienia rybami są kurki, które właściwie przez cały dzień produkują dźwięk, swego rodzaju warkot. Dorsze nie są tak wokalnie przystosowane i tworzą dźwięki tylko podczas odbywania tarła, tak że zarówno samczyk, jak i samiczka robią to w tym samym momencie. Tuńczyk wielkooki wydaje dźwięk przypominający otwieranie butelki, który inne ryby muszą sobie rozszyfrowywać niczym alfabet Morse'a.

Wiele zwierząt tańczy, żeby zwrócić uwagę obiektu swoich uczuć oraz pokazać, co potrafią. Uca, maleńkie krabiki o bardzo dużych szczypcach (stanowiących jedną trzecią albo połowę wagi ich ciała), zwabiają samiczki, wykonując dużymi szczypcami coś na kształt tańca przed swoją norką. Walczą też tymi szczypcami, uprawiając swego rodzaju siłowanie się na rękę. Flamingi tańczą w grupach, robiąc małe kroczki z wyciągniętą do góry szyją. Wysunąwszy dziób wysoko w powietrze, poruszają głowami tam i z powrotem. Po tańcu grupa dzieli się na pary, żeby ze sobą współżyć. Samczyki modrogrzbiecika tęposterne, niebieskiego ptaka o czarno-czerwonej główce, całą grupą podlatują do samiczki, żeby się do niej

zalecać. Siadają obok niej rzadkiem na gałęzi i wykonują niejako taniec w kółko, podczas którego ten, który siedzi najbliższej samiczki, skacze na następną gałąź i z powrotem, a kolejny w rzadku się przesuwa (wygląda to tak, jakby siedziały na taśmie produkcyjnej). Następnie dominujący samczyk odbywa stosunek z samiczką, jeżeli ona jest tym zainteresowana, a pozostałe samczyki pomagają mu, prawdopodobnie

Sikory, wrony i sójki zwyczajne chowają pożywienie jesienią i zapamiętują, gdzie leży.

chcąc mu się przypodobać albo dlatego, że mają nadzieję stać się później samczykiem alfa.

Oczywiście istnieje też zwierzęta, które w celu wywołania wrażenia na potencjalnej ukochanej używają głosu. Kiedy samcom pandy spodoba się jakaś samica, wydają dźwięk przypominający beczenie owcy, a gdy samice także są zainteresowane, reagują swego rodzaju ptasim ćwierkaniem. Czasem są z tego małe pandziątka i te mówią „hau-hau”, gdy są trochę nieszczęśliwe, oraz „ge-ge”, kiedy są głodne. Swoją drogą, najnowsze badania w ogrodach zoologicznych pokazują, że szansa pand na potomstwo zdecydowanie się zwiększa, gdy same wybierają sobie partnera, który

im się podoba, niż kiedy robi to za nie człowiek na podstawie selekcji genetycznej. Chińscy badacze pracują nad maszyną tłumaczącą język pand, żeby je łatwiej zrozumieć. Mają nadzieję, że dzięki lepszemu poznaniu będzie także możliwa skuteczna ochrona tych zwierząt.

Dla wielu pajaków miłosny rytuał ostatecznie okazuje się niebezpieczną sprawą. Zanim samczyki ruszą w drogę, muszą napętnić spermatę

nogogłuszczy, narząd dotyku w przedniej części ciała. Robią to, spuszczając na pajęczynę kroplę, którą następnie zasysają. Potem muszą znaleźć samiczkę. Wiele pajaków żyje samotnie i kieruje się feromonami wydzielanymi przez samiczki w czasie tkania pajęczyny. Samczyki mają na przednich odnóżach chemiczne sensory, którymi wyczuwają te feromony. Pozostaje jeszcze odpędzić ewentualnych konkurentów – samce pajaków niszczą czasem pajęczynę, żeby przeszkodzić innym w dostaniu się do samiczki; jeżeli już się jednak pojawiły, dochodzi do walki. Kiedy samiec odniesie sukces, musi dać znać samiczce, że nie jest ofiarą, która przypadkiem wpadła w sieć, lecz samczykiem własnego gatunku pragnącym współżycia. Z tego powodu krzyżaki ogrodowe wystukują rytm na pajęczynie, a pogońcowate i skakunowate, które mają lepszy wzrok, wykonują taniec. Pogońcowate często przynoszą też ze sobą prezent w postaci zapakowanej zdobyczy (albo muszelkę, kiedy bardzo chcą współżyć, a nie mogą znaleźć prawdziwej ofiary). Samiczki – uciekając bądź poruszając siecią – mogą odpowiedzieć, że także chcą współżyć lub że nie mają na to ochoty. Niekiedy samczyki próbują mimo wszystko, narażając się przy tym na ryzyko pożarcia przez samiczkę.

Fragment książki
Evy Meijer
Języki zwierząt,
przeł. Alicja Oczko,
Marginesy, Warszawa 2021





była to norma, dziś właściciele wysyłają konie na śmierć, opowiadając wyszane z palca historie o obszernych łakach i godnej emeryturze.

Stajnie handlarzy pełne są starych, spracowanych koni — chwilę temu nazywanych przyjaciółmi. Poznasz je od razu. Są posłuszne, bardzo pokorne. Uważne na człowieka, bez ociągania spełniają każde polecenie. I bez ociągania wchodzą też na trap ciężarówką, która zawozi je do ubojni.

Stara Kwartę badawczo przygląda nam się przez chwilę. W końcu opuszcza głowę, zamyka oczy i znika w swoim świecie. Cierpliwie czeka na rozkazy. A pozornie miły handlarz aż cmoka z zachwytem. Takie konie lubi, nie trzeba się z nimi szarpać. To łatwo zarobione pieniądze.

Kwartę, kiedyś piękna, dziś już nie zachwyca. Zarwane, spracowane plecy, zniszczone nogi. Zmarowane, byłe jakie życie. Dziś tuczona, by więcej ważyła, czeka na swoje miejsce w samochodzie odwożącym zbędne konie do rzeźni. Życie Kwarty warte jest 3800 zł. Czas na jej spłatę mamy do 15 lutego. Jeśli uda się ją uratować, godnie dożyje do końca swoich dni. I nie będzie musiała już nic robić dla człowieka. Prosimy, podaruj Kwarcie życie.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem KWARTA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/r/kkm>

Wyślij SMS o treści KWARTA

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT

7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT

91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT

i kup tapetę

Wymiana starych, zużytych koni na młode trwa, odkąd koń został parobkiem u człowieka. Wymieniają ośrodki jeździeckie, hodowle, wielu miłośników bez skrępowań sprzedaje na rzeź swoje zwierzęta. Kiedyś przyjeżdżał stary żuk i zabierał, nikt się z tym nie krył, bo

Oto nowa dyplomacja

Przy okazji głośnych zapasów między byłym ambasadorem w Japonii Jackiem Izydorczykiem a dyrektorem generalnym MSZ Andrzejem Papierzem wyciągane są do publicznej wiadomości nazwiska podwładnych Papierza, którzy mu służyli i którzy zostali za to sowicie, ponad miarę, wynagrodzeni. To jest ten system, ten układ!

Jeżeli bowiem popatrzymy na ich oficjalne życiorysy, to tylko łapać się za głowę. Wyczytać można z nich sporo, w każdym razie tyle, że pracowali w MSZ parę lat, na stanowiskach drugorzędnych, nie zajmując się sprawami merytorycznymi.

Weźmy pierwszego z brzegu Artura Lomparta, którego prezydent Duda odznaczył w listopadzie 2019 r. Złotym Krzyżem Zasługi. Pytanie tylko, za co. Lompart zaczynał jako dziennikarz w prawicowej redakcji dziennika „Życie”, potem pracował w Biurze Informacji i Promocji Uniwersytetu Warszawskiego. Tematyki spraw zagranicznych liźnął dopiero w 2007 r., kiedy wyjechał do New Delhi na stanowisko radcy do spraw kultury i nauki, a potem był tam konsulem. Pracę w centrali MSZ rozpoczął w grudniu 2015 r. W Departamencie Konsularnym, skąd trafił, jako dyrektor, do Biura Rzecznika Prasowego, a potem na stanowisko dyrektora Biura Spraw Osobowych.

Teraz został ambasadorem w Grecji. I równie dobrze mógłby zostać ambasadorem w każdym innym kraju, bo o każdym ma mniej więcej podobne pojęcie. Za to – możemy wnioskować – świetnie zna się na teczkach personalnych.

A teraz zadajmy sobie jeszcze jedno pytanie: jaki interes ma Rzeczpospolita, wysyłając do Grecji człowieka

z tak marnym CV, który ma jak w banku, że będzie ignorany i w korpusie, i we władzach?

A co powiedzieć o zastępcy Lomparta, Radosławie Gruku? On z kolei zaczynał zawodowe życie w MSWiA oraz w Urzędzie ds. Repatriacji i Cudzoziemców. Potem wyjeżdżał na placówki jako wicekonsul i konsul – do Sankt Petersburga, Podgoricy i Ałma Aty. A później, już w centrali, trafił na stanowisko zastępcy dyrektora Biura Spraw Osobowych. Proszę mi powiedzieć, jak w MSZ doszli do wniosku, że człowiek, który w ogóle nie pracował w centrali, konsul w Ałma Acie, może kierować tak wrażliwą komórką jak kadry?

A jak MSZ zweryfikowało jego wiedzę na temat Uzbekistanu i Tadżykistanu, gdzie go wysłano jako ambasadora? Bo jeżeli ją ma, to raczej w MSZ jej nie posiadał.

Inny człowiek Papierza to Lucjan Karpiński. Właśnie Polska wysłała go na ambasadora do Jordanii. Przedtem był szefem Inspektoratu Służby Zagranicznej. Czyli MSZ-owskiej policji. A wcześniej jego specjalizacją była ewakuacja Polaków z terenów zagrożonych konfliktami oraz pomoc dla polskich turystów za granicą, także w sytuacji bankructw biur podróży. Prawie jak jednostka GROM. Poza tym do CV może sobie dopisać pobyt na placówce w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Ale czy to wszystko są wystarczające kwalifikacje, by zostać ambasadorem?

Wiele bębniło się w ostatnim czasie, że ambasadurami zostają ludzie z zewnątrz, że utworzono jakąś dziwną ścieżkę awansu. A tu, proszę, jest inna ścieżka, dla innej kategorii aspirantów.

Attaché



Śniadanie z żyrafami? Czemu nie! Taki wyjątkowy posiłek można zjeść w hotelu Giraffe Manor na obrzeżach stolicy Kenii, Nairobi.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery E ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- osłona na lampę
- zgadzanie się, aprobowanie
- odwoływanie się od wyroku lub do sumienia
- ornament ze stylizowanych motywów roślinnych i geometrycznych
- kawy albo kwiatów
- można go odeprzeć
- składany przez artystę na książkę, płycie

- powinna cechować arbitra
- stoją na osiedlu
- grupa towarzyszy, kompania
- wymarły gad lub weteran estrady
- ciąg wydarzeń o doniosłym znaczeniu historycznym, społecznym
- potocznie nazywany gapą

- wyspa od imienia syna Dedala
- film Morgensterna na podstawie „Disneylandu” Dygata
- psy szczekają, ona idzie dalej
- posłuszeństwo, zdyscyplinowanie
- ulubiony temat obrazów Juliusza Kossaka
- przydatna numizmatykowi i filatelście
- coś nostra, kamorra lub yakuza
- oszustwo, kręactwo
- 100 kg ziemniaków
- przeciwieństwo konserwatysty, rutyniarza
- swojska, rzewna lub zapachowa

- wyznaczany, gdy roboty drogowe
- stadna na koronawirusa
- ważna w diecie śródziemnomorskiej
- co za małpa, proszę pana!
- lekarz chorób dziecięcych
- pieprzyć, smaczek sprawy
- część tułowia poniżej pasa
- niejeden podczas zabawy ze skakanką
- może pouczyć lub wystawić mandat
- Boris Johnson albo Mateusz Morawiecki
- starszy flisak, który kierował spławem
- oprawione czasopism
- okładka do wpinania dokumentów
- ubogi gęsiarek, na tym świecie sam

- potocznie o selekcji, eliminacji
- z niej chochoł
- preparat zawierający ciała odpornościowe
- na jej tle celebryci pozuja do zdjęć
- lekarz chorób dziecięcych
- do broni myśliwskiej
- „...i Cash” z Sylwestrem Stallone’em i Kurtem Russellem
- zasiada z pilotem przed ekranem
- pogrążeni w nim mogą podświadomie wykonywać jakieś czynności
- komplikacja, przeciwność
- wymiana powietrza w pomieszczeniach
- oddzielane od plew
- gdzie się ono kłosi, chłop czapkę na bakier nosi

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-999”. Do rozlosowania książki „W cieniu koronkowej parasolki” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 14 lutego 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-996” z nr. 4: *Zła rada szkodzi doradcy.*
Nagrody otrzymują: Barbara Kurska z Chełma, Maciej Safek z Zielonej Góry, Zbigniew Zielina z Gdyni.

PENETRACJE

charaktery
magazyn psychologiczny

**PROF. WIESŁAW
ŁUKASZEWSKI,
PSYCHOLOG**

W obliczu doświadczanej pandemii nie widać przyczyny, nie ma wroga, którego można obwinąć o swój los. Ten wróg jest tu nieuchwytny, niewidoczny. W tej sytuacji uczucie bezradności zastępowane jest przez złość i skłonność do agresywnego odreagowania. Spójrzmy na hejt w sieci. Fala agresywności przetacza się przez Polskę. Wystarczy błahy pretekst.

FORUM
MYŚLI WOLNEJ

**JÓZEF KABAJ,
REDAKTOR NACZELNY**

Czy może być coś złego w pięknie? Według Sokratesa – nie. Czy ciało ludzkie – według jego prezentacji od Fidiasza, poprzez Boticellego, poprzez Goyę, po pornograficzne prezentacje ukazujące piękno ludzkiego, szczególnie kobiecego, ciała – to coś odrażającego, „godnego” potępienia? Kto właściwie oddzielił piękno od dobra? A nawet je sobie przeciwstawił? I co z tego wyszło? Bo wydarzyło się nam (przytrafiło) – spadkobiercom (po trosze) kultury greckiej – chrześcijaństwo, mutacja judaizmu i w ogóle nomadycznej „kultury” środkowo- i przednioeuropejskiej.

PANI

**JERZY STUHR,
AKTOR, REŻYSER**

Moje choroby to oddzielny rozdział. Bez żony już bym nie żył. Dopiero po 50 latach pojąłem sens małżeńskiej przysięgi: „Nie opuszczę cię aż do śmierci”. Nagle zrozumiałem, że to jest prawda. To jest miłość. Na dobre i na złe. Co będzie dalej? Nie wiadomo. Kiedyś zapytano prof. Bardiniego: „Co pan robił przez ostatnie 20 lat?”. „Przygotowywałem się do starości”.

URODA

**ANDRZEJ GRABOWSKI,
AKTOR**

Dojeżdżając do liceum w Chrzanowie, przez cztery lata wstawałem piętnaście po piątej, szedłem półtora kilometra przez las z olbrzymiej góry na stację kolejową, potem jechałem zatłoczonym pociągiem ciągniętym przez parowóz, do domu wracałem koło czwartej, znowu półtora kilometra przez las, tylko teraz pod górę. Często jak rano wychodziłem, było ciemno i jak wracałem, też było ciemno. Ale nie krzywdowałem siebie, nie płakałem w związku z tym, że tak jest. Wiedziałem, że wszyscy z Alwerni, którzy się uczą, dojeżdżają do szkoły średniej pociągiem. Uważałem, że to normalne.



Walentynki – dzień wyznań miłości. Czy silniejszej niż covid? Oby.

Aby język giętki...

**PROF. KRZYSZTOF POMIAN
O POMNIKACH**

Polska będzie jeszcze przeżywała okres „odwojtylizowania”, czyli obalania tych 700 pomników Jana Pawła II, i okres „odkaczyńszczenia”.

PROF. MAREK BELKA O RZĄDZIE

Ten rząd nie ma już nic do stracenia, bo plan naprawy i tak spadnie na barki następnej władzy.

DANIEL PASSENT O ŻOLIBORZU

Ktoś, wiadomo kto, spowodował, że nazwa naszej dzielnicy wymawiana jest coraz częściej z nutką ironii.

**AGNIESZKA RADWAŃSKA
O PUNKTUALNOŚCI**

Nie uznaję spóźniałstwa. Nigdy nie spóźniłam się na trening, zawsze byłam wcześniej. To będzie ze mną zawsze.

**HENRYK MARTENKA
O ZBIGNIEWIE GIRZYŃSKIM**

Bogobojny poseł, pokornego serca roztropek, skorzystał chytrze z dostępu do szczepionki przeciwko COVID-19, najbardziej reglamentowanego towaru na świecie.

**ANDRZEJ OLECHOWSKI
O JANIE ROKICIE**

Źle bym spał po wyborze pana Rokity na rzecznika praw obywatelskich.

**DOROTA SEGDA O EGZAMINACH
DO SZKOŁY AKTORSKIEJ**

Czterdziestu kandydatów na jedno miejsce. Tygodniami śnią mi się twarze odrzuconych kandydatów.

**CHRIS NIEDENTHAL
O MICHAILE GORBACZOWIE**

Zaimponował mi pierwszy radziecki przywódca, który okazał się normalnym człowiekiem, z normalną żoną, prawdziwy polityk.

MAGDALENA RÓŻCZKA O MIŁOŚCI

Nikogo nie można zepsuć miłością. Jej nigdy nie jest za wiele. To siła, która daje nam energię, by żyć.

**KUBA WOJEWÓDZKI
O JAROSŁAWIE JAKIMOWICZU**

Udawanie aktora to coś, w czym jest naprawdę dobry.

Z rodziną najlepiej wychodzi się na selfie?

Rząd Korei Południowej planuje objęcie definicją rodziny par nieformalnych, jak również... singli. Korekta przepisów jest reakcją na to, że coraz więcej Kóreanek i Kóreanów decyduje się na luźniejsze relacje zamiast małżeństwa lub na życie w pojedynkę. Wiąza się z tym poważne problemy – beżenni są pozbawieni części uprawnień socjalnych, jakimi cieszą się ci, którzy poszli ścieżką tradycji. Jednak model rodziny jednoosobowej też ma plusy. Odpada problem porannych kolejek do łazienki.

Coraz więcej przebierańców

Współczesności wychodzi naprzeciw także japoński ustawodawca, który chce uregulować coraz popularniejszy *cosplay*, czyli przebieranie się za bohaterów popkultury. Obecnie każdy mieszkaniec Japonii może publicznie wcielić się w ulubione postacie bez ograniczeń i opłat, nawet gdy osiąga z tego tytułu korzyści finansowe. Po zmianach cosplayerzy, którzy zarabiają dzięki uczestnictwu w imprezach, na reklamach czy sprzedaży produktów, mieliby odpalać dołą posiadaczom stosownych praw autorskich. Kierunek słuszny, ale w przypadku Polski zaczęlibyśmy od innych odgrywać ról. Przede wszystkim od lokatora Pałacu Prezydenckiego, któremu wpadają niezłe sumki za udawanie, że ma na cokolwiek wpływ.



Za mundurem swingersi sznurem

Argentyńscy policjanci, którzy odpowiedzieli na zgłoszenie w sprawie seksprywatki na kilkadziesiąt osób, nielegalnej w dobie pandemii, zostali przez jej uczestników wzięci za wynajętą erotyczną atrakcję. Balujących libertynów i libertynki trudno było przekonać, że nie są striptizerami, a ich upomnienia – zwykłym droczeniem się. Jak widać, życie niebieskich nie zawsze jest różowe.

Szczęścia w nieszczęściach

Bliscy Rogelii Blanco zdążyli już wyłukać oczy, gdy dowiedzieli się, że informacje o jej śmierci były nieco przedwczesne. Jak się okazało, błąd w systemie nastąpił, gdy 85-letnia Hiszpanka, u której test wykazał obecność koronawirusa, została przeniesiona do innej placówki na leczenie. Jeszcze mocniejszych wrażeń doświadczyła rodzina 89-letniej Argentynki. Lekarz stwierdził zgon kobiety, jednak gdy miała już trafić do pieca krematoryjnego, jej córka zorientowała się, że nieboszczka nie wszystkich umarła. Pracownicy spoielarni wstrzymali proces, a jego podmiot przewieziono do szpitala. Jak mógłby to skomentować Dariusz Szpakowski, „złe złego początku, ale koniec radosny”.

Imperium w opałach

W manifestacji przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego wzięła udział maszyna do złudzenia przypominająca droidy z uniwersum „Gwiezdnych wojen”. Sterowany aplikacją Ninebot, oryginalnie służący jako środek lokomocji, przyłączył się do protestów dzięki doczepionemu bezprzewodowemu głośnikowi, za pośrednictwem którego dosadnie apelował do polityków PiS, aby czym prędzej się oddalili, najlepiej do innej galaktyki. Taki mały, a dobre wie, kto jest po ciemnej stronie Mocy!

Absurd wysokich lotów

„Antywirusowe” zamknięcie granic Norwegii zrodziło wiele nieoczywistych problemów.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Gdyby Lubow Morechodowa mieszkała w Kaszmirze, do Igloo Cafe przyjechałaby na łyżwach. Dla 79-letniej Rosjanki znad Bajkału łyżwy to nie tylko środek transportu, ale i pasja. Codziennie przemierza po lodzie wiele kilometrów.

Przykładem może być los skoczków narciarskich korzystających z jednego z ośrodków sportowych. Wieża i najazd jego skoczni stoją bowiem w Töckfors po stronie szwedzkiej, natomiast zeskok w Ørje po stronie norweskiej. Każdy skok to ryzyko 1000 euro grzywny za przekroczenie granicy. Jeśli organy państwa potraktują przepisy dosłownie, to dopiero będzie przekroczenie wszelkich granic.

Królestwo (no, prawie) za dysk

James Howells z Newport w Walii w 2013 r. wyrzucił do śmieci dysk, na którym znajdował się klucz umożliwiający dostęp do bitcoinów wartych obecnie ok. 275 mln dol. W związku z tym mężczyzna zwrócił się do rady miasta, by wyraziła zgodę na przeszukanie wysypiska, a otrzymała 10% znaleźnego. Mimo podwyższenia stawki do 25% wartości bitcoinów radni pozostają nieugięci. Podkreślają, że koszty operacji byłyby ogromne, a gwarancji sukcesu brak. Mężczyzna nie jest jedynym pechowcem: ocenia się, że zagubione lub utracone bitcoiny stanowią ok. 20% istniejących.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordynski, Wojciech Osiński (Berlin),
Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tuńłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Władcki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupieczowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Karolina Jaklewicz

Cykl malarski Karoliny Jaklewicz powstawał od 2016 r., a w trakcie pandemii został ukończony. Jest kontynuacją specyficznego geometrycznego języka jej sztuki, ale z dodatkiem symbolicznej kolorystyki: zieleni niosącej nadzieję i szmaragdowej głębi końca życia. „Chciałam, żeby raj był mocny, zdecydowany, obecny. Chciałam, żeby był pozbawiony religijnych naleciałości, obiektywny i ogólnie dostępny”, tłumaczy artystka. „Raj nieutracony” to z jednej strony walka o prawo do raju tu, na ziemi, z drugiej obraz tonących uchodźców. Dla wielu „światlisty lazur

Raj nieutracony

to ostatni kolor, jaki widzą. Jeśli toną w dzień. (...) Czy w tym powolnym opadaniu mijają gdzieś raj? Czy kolor morza się nie zmienił od setek utopionych ciał? Czy nie zmienił się w waszych oczach?”, pyta Karolina Jaklewicz.

Galeria Artrakt
Wrocław, ul. Ofiar Oświęcimskich 1/1
do 25 lutego

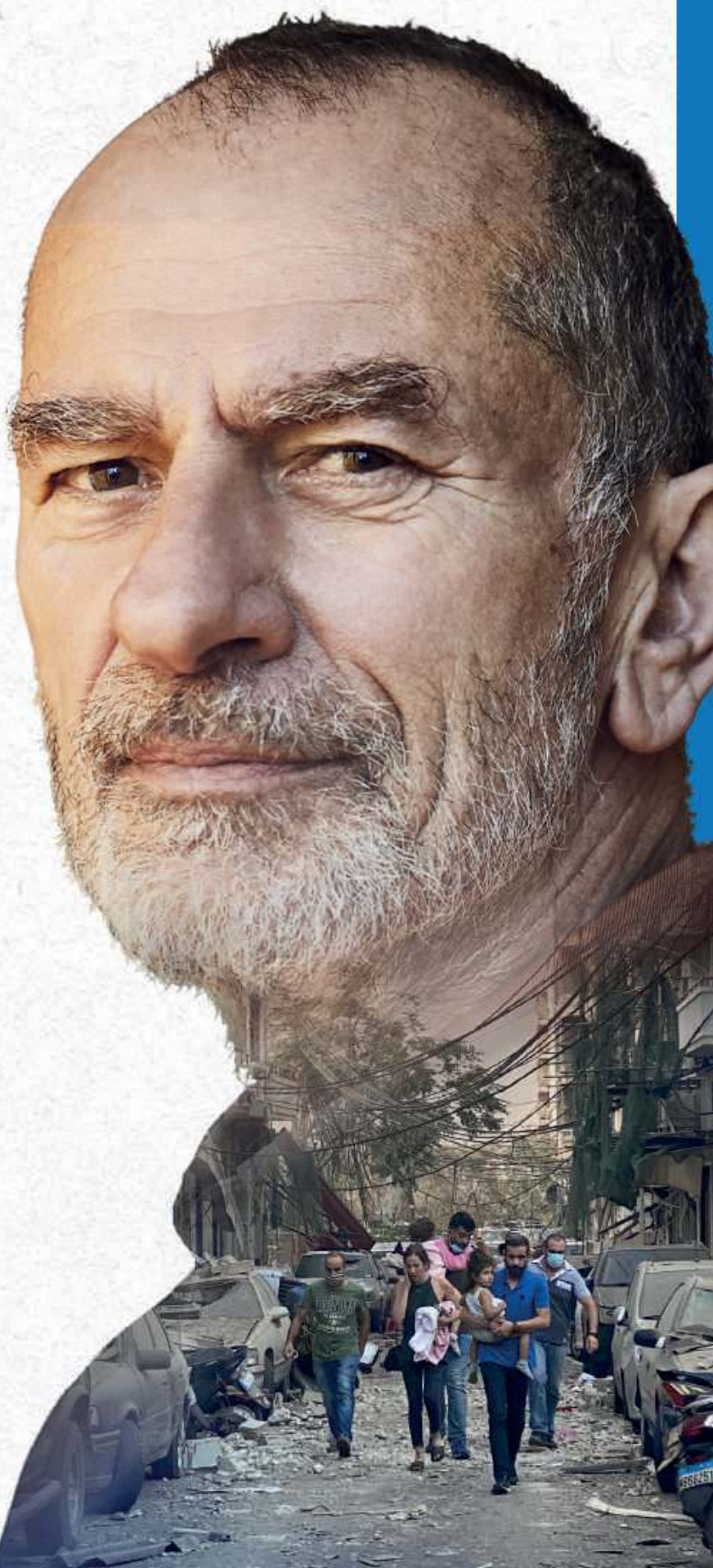


JESTEŚMY W TYM RAZEM

POMAGAM, GDY TYLKO MOGĘ.

WPŁACAM

WWW.PAH.ORG.PL/RAZEM





**PIES
W KORONIE**

ZOSTAŃ WOLONTARIUSZEM!



**MOŻESZ POMÓC W SPACERACH Z PSEM
OSOBOM CHORYM, NA KWARANTANNIE?
A MOŻE SAM POTRZEBUJESZ POMOCY?**

ZNAJDŹ NAS NA FACEBOOK I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ:



PIES W KORONIE - GRUPA WSPARCIA